

Zdzisław Morawski

Pałac ślubów

Gorzów Wielkopolski 2025

Copyright by ©: Zdzisław Morawski
Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim

Redakcja i korekta: Krystyna Kamińska, Magdalena Kubacka,
Magdalena Matuszewska

Skład: Sebastian Wróblewski

ISBN: 978-83-63404-67-3

Wydawca:
Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim
ul. Sikorskiego 107
66-400 Gorzów Wielkopolski

Gorzów w trudnych latach

Miasto nazywa się Rzym, ale ulice w jego centrum to: Sikorskiego, Dzieci Wrzesińskich, Chrobrego, Pocztowa, Wodna, Teatralna, Marchlewskiego. Co prawda jakiś czas temu Marchlewskiego zastąpiła historyczna nazwa Welniany Rynek, ale pozostałe brzmią znajomo. Bo „Pałac Ślubów” Zdzisława Morawskiego to powieść nie o Rzymie, ale o Gorzowie.

Akcja rozgrywa się w latach 1968-1982. Główny bohater – Henryk Garbarz – pracuje w Urzędzie Miejskim i z tej perspektywy patrzy na procesy, jakie w tym czasie zachodziły w Polsce i w mieście: utworzenie województwa gorzowskiego, powstanie „Solidarności”, pierwsze wyjazdy do Niemiec za pracą, brak towarów w sklepach, wprowadzenie stanu wojennego.

Zdzisław Morawski był uważnym obserwatorem życia i przemian Gorzowa Wielkopolskiego. Oddał w powieści bardzo dużo realiów, które składają się na obraz życia miasta na przełomie lat 70. i 80. XX wieku. Wiele z nich jest jeszcze czytelnych, ale coraz więcej odchodzi w niepamięć. Czy wiedzą Państwo, że tytułowy Pałac Ślubów rzeczywiście miał stanąć u zbiegu ulic Warszawskiej i Ogrodowej? Że siedziba Wydziału Rolnictwa, o której dużo się mówi, to dzisiejsza zabytkowa część Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej przy ul. Sikorskiego? Na początku powieści bohater jedzie ulicą Świerczewskiego (dzisiejszą Wyszyńskiego) do Pilawy (Kłodawy) w pobliżu „szpitala w budowie, na tapetowanie którego niecierpliwie czekają władze prowincji i centrum”. Kto pamięta, że budowę tego szpitala - obecnie przy ulicy Dekerta - rozpoczęto w 1977, a zakończono w 1986 roku?

Do historii przeszły wydarzenia i procesy z tamtych dni, jak bunt radnych miejskich, którzy nie przyjęli narzuconego przez województwo zielonogórskie planu ograniczającego rozwój miasta, jak przebieg pierwszego Zjazdu Regionalnego „Solidarności”, jak represje po wprowadzeniu stanu wojennego. Na kartach powieści wydarzenia te nie są suchymi faktami historycznymi. Zachowały swoją temperaturę, bo uczestniczył w nich główny bohater, przeżywający w tym czasie duchowe rozterki.

Bardzo dużo w tej powieści miejsc, ludzi i spraw, którymi żyło ówczesne miasto. Punktem kulminacyjnym jest autentyczne zdarzenie z udziałem dra Wojciecha Sadowskiego, etnografa z gorzowskiego muzeum, który stanął przed kolegium do spraw wykroczeń, ponieważ wyprowadził przed dom chorego psa podczas obowiązywania godziny milicyjnej. Natomiast rozwiązanie swoich problemów główny bohater widzi w utworzeniu zakładu pogrzebowego. A trzeba wiedzieć, że pierwszy Polsce prywatny zakład pogrzebowy w 1982 roku założył gorzowianin Sergiusz Protoklitow. W powieści jest bardzo dużo takich smaczków, które coraz bardziej odchodzą w niepamięć, z drobnych spraw czyniąc krajobraz kulturowy miasta i czasów.

Jednak „Pałac Ślubów” to nie jest powieść z kluczem. Powieściowy prezydent nie przypomina ówczesnego prezydenta Gorzowa Włodzimierza Kiernożyckiego. Nie było trójkąta z udziałem żony szefa „Solidarności” Tadeusza Borowskiego. Nawet historycy nie pamiętają, kto w tamtych latach sprawował funkcję sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej w Urzędzie Miasta, jaką w powieści pełni główny bohater. Ważniejszy od indywidualnych jest tu bohater zbiorowy – społeczeństwo miasta: ci z Akademii, którzy pamiętają uporządkowany stary świat, i współcześni, wiecznie intrygujący urzędnicy, sterroryzowani w myśleniu przez władzę zwierzchnią, przede wszystkim partyjną. Na ich oczach rodzi się nowy ruch, „Solidarność”, co narrator obserwuje z uwagą, ale i z dużą dozą nieufności. Rozterki głównego bohatera wywodzą się właśnie z niezgody na współczesność, ale i niepewności, co przyniesie „Solidarność”. Nie były to rozterki jednostek. Na początku lat 80. wielu ludzi wątpiło w jakąkolwiek możliwość politycznych zmian.

Powieść Zdzisława Morawskiego pt. „Pałac Ślubów” zachowała się w maszynopisie w archiwum autora. Stanowi znakomite źródło wiedzy o Gorzowie i dlatego dyrekcja Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Zbigniewa Herberta zdecydowała, że trzeba ją pokazać przede wszystkim mieszkańcom miasta. Dziękuję, że mnie powierzyła jej redakcję. Z ramienia biblioteki pracowała ze mną Magdalena Kubacka, która wniosła wiele ważnych spostrzeżeń. Dziękuję.

Coraz mniej osób pamięta tamten Gorzów i tamte czasy. Powieść napisana jako współczesna, stała się powieścią historyczną. I tak proponuję ją czytać.

Krystyna Kamińska

Uwagi edytorskie

Przy przygotowywaniu do druku tekstu nieżyjącego autora edytor (przejmując jednocześnie rolę redaktora, adiustatora i korektora) nierzadko mierzy się z niełatwym zadaniem, jakim jest przygotowanie tekstu w takiej formie, która będzie jasna i czytelna, ale także zgodna z intencją autorską. Nie jest to zadanie łatwe, poprawek i zmian powinno być, co do zasady, możliwie jak najmniej. Biorąc jednak pod uwagę fakt, że autor powieści, którą mają Państwo w rękach, długi czas pracował nad nią, przerabiając kolejne wersje (w zbiorach Biblioteki Herberta znajdują się trzy maszynopisy „Pałacu ślubów” z adnotacjami samego Morawskiego), zdecydowaliśmy się na kilka poprawek, które przedstawiamy poniżej:

- Zmieniono zapis nazwy własnej z „akademia” (małą literą) na „Akademia” (wielką literą), ponieważ bohaterowie traktowali utworzoną przez siebie grupę jako instytucję.
- Poprawione zostały oczywiste błędy ortograficzne (pojawiający się w wielu miejscach nieprawidłowy, choć konsekwentnie stosowany zapis „preator” poprawiono na prawidłową łacińską formę „praetor”), składniowe oraz fleksyjne.
- Ujednolicono użycie wyrażen „jaki” i „który” zgodnie z zasadami pisowni polskiej tam, gdzie zmiany były konieczne.
- Dla lepszej czytelności dodano kilka wcięć akapitowych.
- Ujednolicono pisownię łączną i rozdzielną, dostosowano ją do zasad pisowni polskiej.
- Usunięto literówki.
- Ustalono interpunkcję zgodną z obecnie obowiązującymi normami.

Nie ingerowałyśmy w warstwę fabularną tekstu. Wszystkie zmiany miały wyłącznie na celu ujednoczenie formy oraz usunięcie przeoczonych, zapewne w toku wcześniejszej pracy nad powieścią, błędów. Pozostawiłyśmy charakterystyczne dla języka narratora i bohatera cechy, takie jak: oryginalne słowotwórstwo, wyrażenia ludowe lub gwarowe. Uszanowałyśmy autorskie inwersje, a nawet sposób zapisu poszczególnych wyrażań. Mam nadzieję, że nasze zmiany pomogą w czytaniu tej interesującej powieści.

Krystyna Kamińska
Magdalena Kubacka

Zdzisław Morawski

Pałac ślubów

I

Droga, po której jechałem tam, gdzie bytują czaple, wyskakuje z naszego Rzymu w górę granitową kostką. Po prawej mija szereg domków jednorodzinnych na wykończeniu – miejscowy satyryk mówi, że są pryszczami miasta – dalej, też po prawicy, zostawia odskok do szpitala w budowie, na tapetowanie którego niecierpliwie czekają władze prowincji i centrum. Później, już na górze, pod laskiem, zostaje stacja napełniania butli turystycznych gazem, nieco dalej małe jezioro, ale to już Pilawa, najmilsza gmina pisarza Zygmunta Brodatego, któremu pilawianie od lat kręcą sznur z konopi, wkładając w każdy splot warkocz tęgich wymysłów za to, że ich zohydził.

Maluch lazył na wyżyne, stękając przekładniami, a ja cisnąłem pedał gazu, by osiołek nie złapał dławicy w gaźnik lub nie siknął olejem spod jakiejś uszczelki. Dzień był wrześnieowo pogodny. Podczas pluchy, jaka często nawiedza nasze miasto, trudniej pokonać wzniesienie z oślizgłą kostką, której władze nie kwapią się pokryć asfaltem, chociaż z innymi ulicami dawno zrobiono gładki porządek. Przyczyną mitręgi są kłótnie urzędowe o to, czy droga w całości leży w obrębie miasta, a zatem, kto ma roboty sfinansować: patrycjat miejski, czy naczelnikostwo gminne? Znak graniczny miasta stoi w połowie skosu i podobno nie na swoim miejscu, co powoduje, że jeśli zajdzie potrzeba, spór żarzy się z nową siłą. Wiem coś o tym, bowiem od lat jestem urzędnikiem miasta i nieraz wyszukiwałem przepisy za sprawą lub przeciw niej, w zależności od tego, jakie odniesienia do rzeczy miał pierwszy patrycjusz.

Teraz już Pilawa, a w niej po lewicy knajpa i sklep wielobranżowy, gdzie zawsze można kupić wódkę, rzadziej naftę, pieprz, cytrynę lub mydło. Po prawicy jest posterunek milicji, przed którym od pewnego czasu staje łązik, widomy znak, władza otrzymała samochód terenowy zdolny pokonać śródleśne drogi i dukty terenu nadleśnictwa Pilawa, a także wypędzić z lasu niesfornych turystów zwanych przez leśników stonką lata i jesieni. Trzeba bowiem wiedzieć, że w trosce o stan lasów wódarz naszej prowincji wydał ostry zakaz wjazdu samochodami na leśne trakty, a milicji i straży leśnej polecił wypędzanie winnych z miłych im w letnią porę ostępów: tam są tropy saren, zdarza się jeleń, dzik buchtuje pod dębami, śmiga lis w młodniakach, płoszy się czaple i grzyby rosną w znacznej obfitości. Ostatnio zauważono nawet wilka, ale sądzę, że ten długo nie pochodzi, bo myśliwi, wbrew surowym zakazom, już się zmówili, że złożą każdego bandytę, jaki im pod lufę wlezie. Ponieważ należę do ochroniarzy LOP, mam prawo wjazdu do lasu i nieraz widziałem długie rzędy cywilnych samochodów z mandatami karnymi za wycieraczkami, jakby rachunkami za wjazd do lasu w czas grzybobrania – widoczny znak, że milicja pracuje wydajnie. Jeszcze mijam ostatnie za Pilawą gospodarstwo na skraju szosy, bo dalej już las młodszy i na wzniesieniach suchy, a dołem podmokły, kryjący liczne oczka śródleśne, strużki i zwierzyńce, ciągnący się aż do samego Barlewa, gdzie jest jezioro żeglowne i rybne, miejsce wczasów nauczycieli akademickich naszej poduczelnii. Lecz mnie droga do Barlewa dziś nie prowadzi, a do zakrętu, gdzie po prawicy stoi tablica z napisem „Do zbiornika wody”, bo tak moje jeziorko językiem nadleśnictwa jest nazwane. Wjeżdżam więc na rozkwaszoną przez maszyny eksploatacji lasów drogę, kluczę wśród

wyrw i najróżniejszych muld, konstatując, że maluch na zawilosciach drogowych czuje się lepiej niż podczas pokonywania ułożonego z kostki wzniesienia: kluczy, zgrabnie omija wykroty, przepelza pagórki, gdy trzeba, jedzie parę kół po wygarbieniu jak kark dzika, a drugą już we mchu lub zaczynającym kwitnienie wrzosie. Kręcę kierownicą z upodobaniem, jak dłońmi Lucyny w czas miłosnych igraszek i myślę: maluch to pojazd na płaski leśny dukt, a jadąc pod górę stęka i smrodzi, zjazd z góry czyni z niego chybotliwe pudełko, jak nogi magistra Kaduka, gdy ten wraca z posiedzenia alkoholowej ligi magistratu. Jeszcze jeden zakręt w lewo, za nim bramka z drzewa osiki i wysokiego odziemka olchy po prawej, za bramką zawsze błotna, prawie bagienna kałuża i szuwar, zwiastuny miejsca, gdzie zawsze przybywam po spokój. Przeskakujemy maluchem wygarbienie mostku, pod którym leniwie przepływa struga, a zaraz za nią wyjazd na wysoki brzeg, gdzie stoi zbudowana z bierwion ława i przed nią stół, nad leśną jadalnią dach ułożony z grubo dartych gontów, z tyłu stary las, a przed oczyma panorama na niedalekie jezioro.

Z tego miejsca wszędzie blisko. Jeżeli chcesz nasycić oczy urodą powstającej wiosną zieleni, siadasz na omśzałej ławie i patrzysz tam, gdzie woda styka się z trzcina, a nad nią rozwija pąki olcha. Jeszcze wyżej dotyka nieba ciemna zieleń dębu. Masz ochotę wejść w dzicz, tedy idziesz drogą, jaką wjechałeś, mijasz groźny napis „Uprawy leśne, wstęp wzbroniony”, powoli schodzisz w dół nad szerokie bagnisko, gdzie z prawej strony w rozrośniętym młodniaku gniazdują czaple siwe. Jeśli jednak odbijesz w lewo, wejdiesz w dębowy gaj, gdzie prawie każdego lata rosną czerwone borowiki. Możesz iść dalej prosto do nowego skrzyżowania duktów i wtedy skręcisz w prawo,

a będziecie już daleko za bagnem czapli, na wysokości dziczego barłogu, ale nieco dalej, gdzie ostro tną komary i gzy, tam latem znajdziesz ogromne połacie jagodzin. I jeśli zechce ci się zbierać, a nie wypędzi cię owadzie paskudztwo, zbierzesz w godzinę półtorej kwarty jagód, z których matka sporządzi pierogi lub zwarzy czarną zupę. Najbliżej jednak masz tu do samotności, do obcowania w pojedynkę z tym, co się przydarzyło lub ze zdarzeniem, jakie może nastąpić i dotknąć głównią do żywego mięsa.

Urokliwe miejsce pokazał nam przed kilkoma laty ojciec Garbarz Antoni, kiedyś dzielny żołnierz, później strażnik leśny w komendanckim stopniu, dzisiaj półemeryt i taksówkarz. Dla faterka leśne ostępy nie miały tajemnic: żywicznym powietrzem nerwy leczył, matkę wśród boru poznał – leśniczanką, szlachcianką jest moja mamusia – mnie, Henryka, pod jałowcem pocałował. Pokazał mi to miejsce, wciskając uśmiech w wąs. Ładne jest, szeleszczące, ma jarzębinowe otoczenie i dębowy dach nad głowami. Już z dwoma dziewczynami godnie je ucziliem. Razem z matką rozkładali bambetle, rozstawiali namiot, palili ognisko, na którym podwędzaliśmy kielbaski, a czasem złowioną przez starszego pana rybę. W tamtym, odległym czasie nie było jeszcze ławy na wysokim brzegu ni dachu z gontów, ale było dojście do wody, gdzie taplaliśmy się z Małgosią pod żurawim okiem matki.

– Pamiętaj, synu – mawiał ojciec, pipcąc fajkę – las był zawsze zdrowiem człowieka i jak długo na ziemi boru stanie, będzie gdzie jechać po ukojenie duszy.

Samochodzik stygnie pod kępą drzew, a ja siadam na ławie i patrząc na przymglone dziś obrzeże wody myślę o tym, co zawsze mnie tu przywodziło i przywodzi: ojcowy kult lasu, rowerowe wycieczki podczas kształtowania pierwszych przyjaźni, wypadki z dziewczynami po

miłosne nasycenie i apatię, rozczarowania i ludzkie zdrady, całonocne orgiaszki z koleżkami i lampucerami. W ten sposób kalalem świętą polanę ojca, który zawsze przykazywał, bym własny kąt chronił przed obcymi, bo ludzka stopa trawę podepcze i zniszczy, gałąź złamie, człowieka pozbawi zbawczego cienia. Lecz były w moim życiu czasy, w których ojcowe pouczenia miałem za bzdurę. Zuchwałość moją wobec nauk ojca, to przyznaję, wspierała matka, wspaniała ochronicielka niecných poczynań pierworodnego. Pewnego razu wyniknęły z eskapady w las pewne perturbacje towarzyskie, po których kręciła głową nawet matka, spluwał dokoła mnie ojciec. Przyjechaliśmy tutaj z namiotem w trzy pary, z których dwie były małżeńskimi po rocznym stażu i naszymi sąsiadami, a ta trzecia, samotna, moja, była przyjezdną żoną dalekiego kuzyna. Zmowę zrobiliśmy podczas podwórkowych spotkań: pojedziemy nad wodę, zapalimy ognisko, napieczemy kartofli w mundurkach, pogadamy, pośpiewamy, pobędziemy z dala od gwaru miasta. Mamcia zrozumiała nasze chęci konwersacyjne i upiekła nam kurczaka, przyrządziła chłodnik na bazie zsiadłego mleka nazywany przez nią egzotycznie tara-tor, lecz myśmy matczynego leku bezpośrednio po picu alkoholu, jak należy, nie zażywali, a dopiero następnego dnia rano, kiedy z prawdziwym absmakiem patrzyliśmy na siebie, drwiący wzajemnie z człowieczego wyglądu: kobiety wytarte z makijażu wyglądały jak zmokłe kury, my zaś śmieliśmy się dziko, szukając choćby najmniejszej resztki płynu w butelkach. Do poszukiwań dorabialiśmy teatr. Jarek doił szyjkę butelki jak kozi cycek, Antek chciał to samo robić z piersią Anielki, ja wykraplałem resztki wyborowej na pępek Irki, by z tego naczynia zlizywać ją z prawdziwym upodobaniem. Dopiero teraz przyszedł czas na tara-tor. Przypomniała go sobie kuzynka, Irka, opiekunka

naszych zapasów. Z pijackiej choroby wyprowadziła nas kąpiel, zaczem wyjście parami do lasu, ponowna kąpiel i poranny sen. Było miło i słodko, a po miesiącu prawie afera towarzyska. Po prostu jedna z mężatek, które tej nocy zgodnie postanowiły zamienić mężów, uznała, że właśnie wtedy zaszła w ciążę i całą rzecz najpierw wypyskowała współwinnej koleżance, następnie wyznała najbardziej autorytatywnej sąsiadce, jaką jest w okolicy moja matka, by ta spokojnym rozumem rozstrzygnęła, która z obecnych nad jeziorem zasługuje na obelżywe miano kurwy. Przed obliczem mamusi stanęły najpierw panie, po czym przywiozły przed sąd swych małżonków, by ci, jako czynni świadkowie zeznali, że fakt zamiany miał miejsce, a także osądzili, której z nich zachowanie bardziej naganne. Matczyska jednak mniej interesowało wymienne współżycie dochodzącej sprawiedliwości czwórki, a bardziej mój udział w rozpuście i czy chciałem odebrać żonę kuzynowi. Zaprzeczyłem. Załamała ręce ze zgrozy. Obie panie nie kryły, że kiedy dokonały wymiany partnerów, ja wiernie dotrzymywałem towarzystwa kuzynce, która na akcję wymienną nie chciała przystać, choć uatrakcyjnienie pobytu jej proponowały...

Od dnia sądu przez miesiąc jadłem posiłki osobno. Ojciec ze mną nie rozmawiał, a matka załamywała ręce i z drżeniem oczekiwała wieści z Częstochowy, czy przypadkiem jakiegoś większego nieszczęścia pamiętnej nocy nie zasiałem: piekło, szatani, diabli w saganie, nam nic się nie przydarzyło, nasza wina z Irenką przez miesiąc zmaląła. To jednak było później, kiedy już pracowałem jako młodszy urzędnik Wydziału Komunikacji w magistracie, gdzie wkręcił mnie ojciec z obfitym urąganiem na infamisa, zarazę, złodzieja i utracjusza, który wszy pieczonej nie jest wart. Powinienem byki paść albo

wywozić fekalia, bowiem taki smród tylko do smrodu się nadaje. Do wymyślania mój ojciec język ma dobry, potrafi nim gadać, jakby golił bez mydła. Ja po nim trochę mówczego daru odziedziczyłem, ale moje słowa są kwileniem przy wielkiej arii mistrza. A maestro wymyślania sierdził się wtedy mocno, bo i miał rację. Po latach, kiedy nabrałem stażu życiowego i dostałem wiele ciągów, przyznaję ojcu rację, a ilekroć słodko myślę o swoim postępowaniu, skręca mnie wstyd, jakby wlaźł we mnie soliter brzucha i umysłu: dobre było moje życie, ale szpetne.

Początek był banalny. Ojciec postanowił wykierować mnie na inżyniera. Zamarzył sobie, że kiedy skończę studia, otworzymy warsztat z pełnym osprzętem i dumnym napisem: Euroservice, Mercedes i Opel, Garbarz i Syn. Prawda, że w tamtych czasach samochodów zagranicznych mało jeździło po naszych drogach, ale ojciec był przewidujący i wciąż prorokował, że motoryzacja w Polsce musi się rozwinąć, jak rozwinęły się kraje, z których wyszli na podbój kulturalnego Bizancjum barbarzyńscy krzyżowcy. Natomiast nasz przemysł – twierdził – aut produkować nie nadąży. Wypowiedzi ojca uznawano wtedy jako heretyckie, posądzono go nawet o sianie nieufności do gospodarki socjalistycznej, ale ojciec był twarzym i upartym kacerczem i furt powtarzał swoją kantatę o przyszłym imporcie samochodów. Przyznaję, że szkołę średnią przeszedłem jak po nutach popularnej piosenki. Nauka szła mi gładko. Dodatkowo chodziłem na kurs języka niemieckiego, bo jeśli chce się prowadzić serwis samochodów niemieckich, trzeba język znać – nauczał ojciec. Po pomyślnej maturze wstąpiłem w szyki starających się na studia: egzamin zdałem tak pomyślnie, że nie zaszkodziło mi inteligenckie odium i pojechałem pobierać nauki na Politechnice Warszawskiej. Dziwne to

były studia. Swobodne. Zakończone na pierwszym roku... Wróciłem do domu w 1968 roku w aureoli kłamstwa, bo po powrocie do rodziców nałgałem, że relegowano mnie z uczelni za to, iż brałem udział w ruchach studenckich, które miały ludowi przynieść demokratyczną swobodę. Ale na takie wabidła nie weźmiesz starego szpaka, jakim był mój tatko. Przy pierwszej sposobności do Warszawy pojechał, zaliczenia i egzaminy na uczelni sprawdził, z asystentami pogadał, słowem – niczego w dochodzeniu prawdy nie przegapił.

– Ty tchórze i birbancie, fetorze ludzki i nosacizno człowieka, bohateraś chciał z siebie zrobić, kanalio.

– Hamuj się, ojciec – wołała matka. – To twoje dziecko, a nie żaden fetor.

– Zgnilus jest – upierał się ojciec, chodząc po pokoju dużymi krokami. – Utracjusz. Syn marnotrawny. Wszystkie pieniądze, co mu wysłaliśmy, z dziwkami przepuszczał, łotr i mierzwiac, gnida.

– Hamuj się, ojciec, bo mi serce pęknie – wołała mamusia.

– Dobrze mówię i powtarzam, że z dziwkami najgorszego autoramentu w praskich melinach bywał. Nie wiadomo, czy choróbska nie dostał.

– O Jezusie i Maryjo...

– Tu nic Jezus i Maryja nie pomogą. Jutro do doktora Franciszka pójdziesz, zakało, żeby cię zbadał, czy francy do domu nie przywiozłeś, paskudniku.

Pokornie odbyłem badania u zaprzyjaźnionego z ojcem lekarza. Stary nieufnik sam po badania krwi chodził, sam u doktora diagnozę brał. Badania wykazały, że mogę spokojnie odsypiać warszawskie mozoły, ale kazania nie ustały, a ludzki fafoł było jednym z tkliwszych określeń faterka o mojej osobie. Poza fafołem był jeszcze

drażał, faryzeusz, swołocz i łańcuśnik, a także gówniarz pospolity. Przyznaję, że ze wszystkich wyzwisk najbardziej podobał mi się „łańcuśnik”, czyli ten, co zerwał się z dybów ciężkiego więzienia, a najmniej „parkuć”, co u ojca znaczyło króliczego rozplodowca – przecież dziecka nigdzie nie zostawiłem. Jak można tak nieprawdziwie człowieka wyzywać. Matka, o ile mogła, neutralizowała gniew ojca i pouczała mnie szeptem:

– Jak ci mówi: „Zgiń mi z oczu”, to schodź mu spod nosa, ale bądź w domu, bo twoja nieobecność też go mocno sierzdzi. Znam go, wyfuka się i uspokoi.

Miała rację mamusia. Pewnego razu ojciec dopuścił mnie do wspólnego obiadu i po zupie, a przed pierogami z mięsem, które bardzo lubił – mama podtykała mu wtedy jedzonko najprzedniejsze – faterek powiedział, nie patrząc na mnie:

– Jutro pójdzie do magistratu i papiery przedłoży. Zgłosi się do kierownika Wydziału Komunikacji. Wśród papierów ma być podanie, życiorys, odpis matury. W życiorysie smrodu warszawskiego niech nie uwydatnia, bo oni wszystko wiedzą. Zrozumiano.

– Zrozumiano – odpowiedziałem ochoczo, bo były to pierwsze słowa wypowiedziane przez ojca do mnie od dwóch miesięcy.

– Darmozjada trzymał nie będę – dodał, a mamusia skinęła głową aprobująco, bowiem wiedziała, że właśnie uczyniono pierwszy ruch do przebaczenia i wobec tak wielkiego aktu drobiazgów nie ma sensu się czepiać. Następnego dnia w Urzędzie Miejskim dowiedziałem się od kierownika wydziału, a ojcowego kompana od szachów, że polityczne relegowanie studentów z uczelni zdarza się, że on w młodości też miał podobne kłopoty za to, że w akademiku grał w brydża, za co o mało ze studiów nie

wyleciał. Uratowała go porządna samokrytyka, co było w modzie. Tak dowiedziałem się, że ojciec zełgał dla mojej czci. Nie sprostowałem ojcowego kłamstwa, wstąpiłem w urzędnicze szeregi jako prześladowany bohater i ofiara nadmiernej surowości rządu, który nawet rozwichrzeń w wieku młodzieńczego pojąć nie potrafi. Miałem z tego powodu w urzędzie nawet pewne fawory, a organizacja młodzieżowa postanowiła otoczyć mnie szczególną opieką. Dla mnie była to jednak pierwsza poważna nauka życiowa: ojciec skłamał, by ratować moją cześć rozpustnika, przyjął cygańską wersję usunięcia ze studiów, by zabić swój wstyd, że rok przełajdaczyłem z lampucami, zełgał, chociaż prawda i wszelka prawość były dla niego największymi świętościami. Po wyjściu z urzędu nie chciało mi się wracać do domu. Poszedłem w odwrotnym kierunku, hen za szpital, na szerokie rozlewiska łąk i tam wykrzyczałem do chmur, nieba i traw wszystko, co miałem przeciwko sobie: ancymonie, fafole, draniu, łańcuśniku i parkuciu nie będziesz więcej kurwiarstwa uprawiał – przyrzekłem, ale przysięgi nie dotrzymałem. Stała się rzecz w trzy pary. Ojciec miał prawo przypuszczać, że u mnie nastąpiła recydywa.

II

Kariere ̇ urżdnicż zaczął̇ jako praktykant biurowy. Wspomniał̇ juŹ, Źe do magistratu miał̇ dobre wej̇cie, protekcyjne ze strony magistra Dobrysiaka, który oprowadził̇ mnie po niektórych wydziałach, przedstawiając nowego głȯsno z imienia i nazwiska, a szeptem, co i jak ze mṅ w Warszawie było. Kierownicy wydziałów spogl̇dali na mnie uwaŹnie, jakby mierżc moją przydatnȯ do urżdniczych prac, odzywali si̇ uprzejmie, łaskawie ṙk̇ podawali. W kȯncu ł̇ncuszka zapoznawczego sam wiceprezydent wygł̇sił̇ do mnie kṙtk̇ moẇ. Mówił̇ o doniosł̇oci słuŹby pȧstwowej, a k̇cikami ust ziewał̇, odwracaj̇c dla niepoznaki twarz w stroṅ okna. Kiedy juŹ ceremoniał̇ inicjacyjny urżdnika został̇ zakȯnczony, magister Dobrysiak zapoznał̇ mnie z kolegami z wydziału, a zwi̇szcza z Jarkiem Kruṗ, który mnie, nowego, miał̇ wprowadżc w arkana urżdniczej słuŹby.

– StaŹysṫ tutaj nazywaj̇ „młody”. Ale młodzi ṡ zwykli i niezwykli. Młodzi ṡ w naszej Akademii, u Karciarzy ṡ fuksy. Do dnia dzisiejszego młodym byłem ja, teraz masz być ty, bo ja awansowałem. Poza nauk̇ zawodu, co jest bedłk̇ i kanapk̇ szczawioẇ, musisz przej̇c przeszkolenie towarzyskie. Po to magister Dobrysiak oprowadził̇ ci̇ po naszych wydziałach. Musisz, kolego, poznać prawdziẇ geograḟ Urżdu Miejskiego, ale nie tylko, kto i gdzie co załatwia. To jest małe piwo. Podczas obchodu znawcy twarzy i charakterów z oblicza twego mieli wysondować, czy nadajesz si̇ na młodego w naszej korporacji. Oceṅ dostał̇ pozytywṅ. Rada Akademii zaakceptowała ci̇ na moje zasṫpstwo. Tutaj musż ci powiedzieć, Źe w naszym urżdzie ṡ dwie partie...

– Robotnicza i chłopska – wtrąciłem naiwnie.

– Też są, ale dla nas nie mają istotnego znaczenia.

U nas są „Akademyści”, czyli my, i „Karcjarze”, czyli ludzie z wydziałów, w których nie byłeś. Akademyści, czyli my, to partia źródła i przyszłości. Prowadzimy naszą pracę, tworząc człowieka prostolinijnie, od węgla aż po kres myślenia, jak uczy magister Jałowiecki. Karcjarze zaś są partią dnia dzisiejszego. Im chodzi o to, by nabrać, nagarnąć maksimum w dniu im danym. Oni nazywają nas frajerami, a my ich Karcjarzami. Każda partia ma swoje mateczniki: Karcjarze opanowali finansowy i budownictwa z architektem miejskim, my siedzimy w kulturze, w zieleni, w USC, organizacyjno-prawnym, ostatnio weszliśmy do komunikacyjnego, bo tu były aresztowania pewnych graczy. Rozumiesz? Jeżeli nie rozumiesz, to zrozumiesz, że do jakiejś partii musisz należeć. Mówi się u nas, że w warszawskich urzędach ministerialnych też jest taki podział, ale nieco inny: na endeków i kosmopolitów. A teraz oprowadzę cię po miejscach posiedzeń rady. Na wstępie pokój, w którym jesteś. Rozejrzyj się dokładnie. Co widzisz? Drzwi, pokaźne okna, przed sobą masz wbudowaną w ścianę szafę trzysegmentową: dwa na akta, trzeci na ubrania. W tej szafie, kolego, są ukryte drzwi, a te prowadzą do studia radiowęzła miejskiego, gdy jeszcze funkcjonowało. Jesteśmy więc w studio i to jest pierwsze miejsce posiedzeń Akademii.

– Ciemno tu – rzekłem.

– Ciemno i brak ubikacji, co razem jest dużą niedogodnością, gdyż posiedzenia Akademii odbywają się przy winie, a trunek ten, jak każdy, jest trochę moczopędny. Dlatego zebrania tutaj są nagłe i krótkie. Zobaczymy następne miejsca spotkań.

– Ile ich jest?

– Jeszcze trzy. Na wstępie pójdziemy do gołębnika.

Gołębnikiem nazwano pomieszczenie na trzecim piętrze, gdzie podręczne akta trzymał szef obrony cywilnej naszego Rzymu, magister Kaduk, członek Akademii. Pokój ten był wygodniejszy od studia. Miał małe okienko, które uczestnicy posiedzeń nazywali „rozetką”, a pół piętra niżej, w pokoiku pośrednim pomiędzy urzędniczą siedzibą szefa Kaduka a gołębnikiem, był zlew z bieżącą wodą – wodopój i ubicacja w razie potrzeby. Trzecim miejscem była „piwnica”, czyli archiwum miejskie: pomieszczenie obszerne, podzielone regałami, w razie alarmu akademicy mogli rozejść się między półki i szukać potrzebnych im do niby załatwienia urzędowej sprawy dokumentów. Miejscem czwartym okazał się Urząd Stanu Cywilnego, dokładnie pokój za salą ślubów: tam leżały księgi stanu cywilnego, tam wisiał dostojny łańcuch z godłem.

– Teraz już wiesz, jakie świerszcze grają w magistrackich kominach. Znasz miejsca, nie znasz jeszcze ludzi, ale tych poznasz, jak obejmiesz funkcję młodego. Zgoda?

– A jakbym nie chciał?

– Musu nie ma, ale jeśli nie chcesz, rozmowy naszej nie było, a ty za pewien krótki czas wylecisz z urzędu jako niedojda.

– Ja tylko tak powiedziałem. Kto będzie mnie zawiadamiał o posiedzeniach rady i o całej służbie? – spytałem Jarka, od tych dni mego serdecznego przyjaciela, prawie wyrażając zgodę na objęcie funkcji „młodego”, gdyż cała tajemnica bardzo mnie zainteresowała. Przecież była to konspiracja, o jakiej nazywałem się dość dużo. Może łoża masońska? Może krew z czaszek każą pić? Przysięgnę na cyrkiel składać? Może poznam tajemnicę kabały?

– O tym po tym. Oczywiście jako strażnik posiedzeń będziesz znał członków Akademii, ale kto jest pierwszym, na razie nie będziesz wiedział.

– Słuchaj, a dlaczego mnie wybrali na „młodego”?

– Nie wiem. Jesteś z rekomendacji magistra Dobrysiaka, a on ma u nas duże znaczenie. Po drugie jesteś szlachetnie podpadnięty, a rada takich lubi.

Tak zostałem przybocznym Akademii rzymskiej, gdzie oficjalnie rządili patrycjusze z mianowanym przez górę prymariuszem, znaczy prezydentem lub praetorem, jak go w radzie nazywano. Przyznaję, że od pierwszego dnia byłem dumny z przynależności do ugrupowania wtajemniczonych, które przez wiele lat nieformalnie urzędem władało. Przez dwa lata młodziankowania przede wszystkim poznałem urzędnicze machinacje, jak należy sprawę klarować, a jak ją kudłacić. Poznałem biurokratyczne złośliwości jako integralną część urzędniczego stylu pracy. Nauczono mnie, jak rozpoznawać intrygę i jak ją stwarzać, jak w praktyce funkcjonuje urzędniczy dualizm. Nasze ugrupowanie z zasad podwójnego oblicza się wywodziło. Byliśmy urzędnikami podporządkowanymi zwierzchności, a zarazem członkami podwójnie zakamuflowanej korporacji. Rozpuszczona przez nas plotka głosiła, że jesteśmy ligą alkoholową urzędu i jeszcze głębiej utajonym zakonem erotomanów. Nie piliśmy. Na posiedzeniach Akademii sączone było wino. Człowiek, który chciałby podczas posiedzeń nadużywać alkoholu, był z naszego gremium eliminowany. Początkowo nie zapraszano go na zборы, a jeżeli domagał się obecności, rwano mu opinię jakimś manewrem urzędniczym. Tak było z Drewniakiem, którego obłożono – niby przez życzliwość – trudnymi zadaniami, by winą za ich niewykonanie go obciążyć i z magistratu wyrugować. Podobne wypadki były jednak niezmiernie rzadkie, bowiem dobór ludzi do Akademii był staranny. Człowiek naszego portusu, jak czasem posiedzenia nazywał magister Wirt, mógł być ateistą i mahometaninem,

ale nie mógł być nicniewartusem i oportunistą, łapserdakiem i alkoholikiem. Dodać trzeba, że było to w czas powstawania nowego obyczaju, który wyrażał się w ścisłym stwierdzeniu: jeżeli nie pije, nie jest szczery, boi się rozluźnić i odkryć. Kiedy zostałem pełnoprawnym członkiem Akademii, mówiłem razem z innymi, że jak mało kto realizujemy zasadę socjalistycznego samokształcenia. Prawda. Wzbogacaliśmy siebie w ten sposób, że każde nasze posiedzenie poza omówieniem tego, co piszczy w magistrackim kominie, miało jeden temat dnia: jak i za co wyklęto Spinozę? Istota hasła „Anarchia matką ładu”? Na czym polega kult etatyzmu i jakie mogą być jego skutki? Fetyszyzm towarowy i jego odbicie w socjalizmie. Seks jako technika miłości. Czy istnieje pedagog, czy już tylko technik nauczania? Czy widziany dookoła dualizm moralny jest nową moralnością? Jak wyhodować nowego mieszcza i opis jego cech. To pierwsze z brzegu tematy, którymi wzbogacaliśmy siebie na posiedzeniach Akademii. Wokół nas szalała prasowa i telewizyjna propagandowa indoktrynacja, a my w naszym porcie braliśmy intelektualny ładunek, by ocalić przynajmniej siebie z rozchłapanej tandety. Magister Reis mówił, że stworzyliśmy arkę, by przetrwać czas potopu. Nasze wyłączenie z codzienności było jednak połowiczne. Wszak chcieliśmy mieć wpływ na to, co się dzieje w urzędzie, a zwłaszcza interesował nas ruch personalny. Wpływaaliśmy na siebie pozytywnie także w ten sposób, że odradzaliśmy zdanie „człowiek porządny”. Znaczyło to, że wystrzegaliśmy się robienia komukolwiek świństwa, jeżeli na to specjalnie nie zasłużył, a sobie nakazywaliśmy czynić dobro, zwłaszcza dla członków rady. Niejeden człowiek wiele nam zawdzięcza. Niemalże też zrobiliśmy dla magistratu. Mnie na przykład powiedziano szczerze,

że jest moją powinnością ukończyć studia urzędniczo przydatne, najlepiej prawo administracyjne. Nie pomogły gniewy ojca, perswazje matki nie poskutkowały, pomogło zdanie rady obiektywistów, a zwłaszcza magistra Jałowieckiego, o którym inaczej nie mogę myśleć, jak tylko ze czcią i rozrzewnieniem. Był kierownikiem zieleni miejskiej i kochał każde drzewo w naszym Rzymie. Betoniarzom, czyli Biuru Budownictwa i Architektury wydziełał każdy skrawek ziemi pod trawniki, a po śmierci żony z prawdziwym oddaniem wychowywał przybraną córkę. Grał na skrzypcach, szukając w muzyce radości i o czasach Oktawiana rozprawiał jakby August nad Tybrem. W chwilach słabości mówił o swoim marzeniu: stanąć w efeskim amfiteatrze i zagrać na skrzypcach. Tylko raz, sam, może nawet wieczorem, bez jednego widza ani słuchacza, zagrać dla siebie, kamieni i czasu.

Poznałem wspaniałych ludzi. Na przykład pana Karlińskiego, grzybiarza rozmiłowanego w rydzach i kurkach, który jeździł po leśne runo z synkiem i wypatrywał łąbków borowików, a chłopiec je ścinał, bowiem Karliński po urazie kręgosłupa nie mógł się schylać. Miał miłość do zbierania grzybów, miał giętkie plecy syna, a w pamięci wiele biblijnych wersetów, które nieraz cytował z pamięci. On to właśnie zapoznał nas z psalmami i opatrzył komentarzem o tekstach, które uczyły człowieka pokory aż do nicości i okrutnej rozprawy z niewiernymi. Opowiadał nam, że do znajomości Biblii doszedł przez seminarium duchowne, skąd wyszedł wyleczony gruntownie z kapłańskiego powołania. Jemu zawdzięczamy opis techniki głosowania na konklawe, gdy temat wyboru papieża stał się w Polsce po stokroć ważny w związku z wyborem kardynała Wojtyły głową Kościoła katolickiego. Piliśmy wtedy zdrowie Ojca Świętego winem mszalnym wszyscy:

były uczeń seminarium duchownego magister Karliński, mahometanin Achmatowicz, poganizujący przez zakochanie w starożytnych bóstwach magister Jałowiecki, pił prawie ze łzami w oczach magister Kulpa, który do kościoła i do partii należał, pił Kaduk, człowiek niewierzący, piliśmy wszyscy z umiarem, ogłaszając Jana Pawła II największym Polakiem naszych dni. Posiedzenie Akademii było w tym dniu poszerzone o zaproszonych gości, którym chcieliśmy objaśnić technikę wyborów na papieża. Zebrani słuchali prelekcji Karlińskiego z ogromnym zainteresowaniem, nawet wiceprefektus przyszedł do archiwum, by usłyszeć, jak Polak zasiadł na tronie Świętego Piotra. Wychodząc powiedział, że taka wiedza jest urzędnikom potrzebna. Samo jednak toastowanie oraz roztrząsanie, jaki fakt wyboru Polaka papieżem będzie miał wpływ na Polskę, urządzaliśmy w wąskim gronie, a inicjatorem spotkania był magister Reis, który sam przyznawał, że lubi w dzień szabasu słodką rybkę przyrządzić, świecznik zapalić, pejsachówkę wypić. Tak to wobec sukcesu Polski na konklawe przy winie pojednała się ryba z szynką, pilaw z boczkiem, chała z mazurkiem. Jednak nawet w tym dniu alkoholu nikt nie nadużył. Wyznać dziś mogę na szczerzej spowiedzi w intymnym zakątku, że poza birbantką z męzatkami przez kilka lat wódy nie nadużyłem, przeciwnie, okropnie sporządniałem. Nauka życia w urzędniczej Akademii, wkuwanie formuł i przepisów prawa na uczelni, czasem przygodny flirt zakończony z reguły rozejściem się stron, powolnie dojrzewająca i w końcu całkowita zgoda z ojcem, który od roku 1970 przestał nazywać mnie gryzipiórem, ale nie przestał nastawiać ucha na wieści, jak postępuje jego ancymon. Słyszając o mnie dobre opinie, tajał: powoli zgnilusa zastąpił gagatek, gagatka wyrugował ancymon, a kiedy powiedzieli mu, że w roku 1970

na zebraniu urzędników publicznie zganilem strzelanie do robotników gdańskich, powiedział do matki: „Z niego może jeszcze coś będzie”.

Mamusia, dla której jako pierworodny byłem ciąglą nadzieją na wnuki i utrapieniem, że trwam w kawalerskim stanie, zdanie ojca mi powtórzyła, a ja dumny byłem, że u wąsatego faterka zasłużyłem na wyróżnienie. Mój głos był spontaniczny. Prawda, że na posiedzeniu Akademii dyskutowana była sprawa zachowania władzy robotniczej wobec robotników, ale nikt nikogo, jak zawsze zresztą, do niczego nie inspirował. Akademia była po to, by nas samych oświecić i duchowo budować, a nie wpływać na przekształcanie ogółu. Nas bardziej interesował szczegół człowieka niż ludzki ogół. W stworzonym inkluzie mieliśmy stawać się pełnymi obiektywistami. Wystąpienie jednak przysporzyło mi wielu zwolenników pośród urzędniczej braci, chociaż to była aprobata cicha, wyrażona ukradkiem, by jej nikt nie dojrzał. Natomiast na posiedzeniu Akademii – byłem jej nowym członkiem – sam magister Jałowiecki powiedział, że mówiłem jak przystało na człowieka, co swój czas pokonał. Ze strony magistra była to wielka pochwała, bowiem w jego mniemaniu człowiek jest zawsze tak mocno uwikłany w rzeczy, jakie z nim powstają, że prawie nie może stworzyć sobie do nich dystansu. Słowa Jałowieckiego były dla mnie tym cenniejsze, że nasz doktos miał powody do niechęci ku mnie: zapraszał do siebie, winem z głogu częstował, w dysputy wciągał i przybrana córkę swatał. Po dwóch spotkaniach i jednej zabawie zobaczyłem, że z dziewczyny jest przydrożny zajazd, gdzie każdy wstępuje, odsypia i jedzie dalej. Tedy zostawiłem byle co i ojca z jego największym zmartwieniem – okradła go pod koniec 80. roku i uciekła z Turkiem do Berlina, gdzie pełni funkcję gospodyni barowej. Ale to

było później, kiedy kobieta miała 26 lat, a wtedy, w 1970 roku, była ładną szesnastolatką z puszczalskimi skłonnościami i już z pewną praktyką: ojciec do urzędu, a ona, zamiast do szkoły, do ciepłego łóżka z gachem.

Nasz prymariusz i jego prezydialni pomocnicy w pierwszych dniach po moim wystąpieniu patrzyli na mnie krzywo, bo ich obowiązkiem było stałe popieranie decyzji władz centralnych, niezależnie od tego, jakie one były. Upłynęło jednak kilka dni i stosunek oficjalności do mnie całkowicie zmienił się: z centralnego zenitu odeszły władze bożyszcza, przyszły nowe, a te wydarzenia z Gdańska uznały za dramat narodowy. Wtedy od góry do dołu rozległ się głośny lament administracyjny. Teraz każdy z prezyduszy, chociaż na razie osobno i nieoficjalnie, był przymilny dla młodzieńczego wolontariusza. Edukowano mnie jak należy. Nawet sekretarz organizacji partyjnej poprosił szaraka na rozmowę w cztery oczy, by wygłosić mniej więcej taką orację:

– Nie ukrywam, że obserwujemy kolegę dość długo. Jest to z naszej strony normalne. Mamy prawo obserwować ludzi, którzy nas interesują. Jest kolega młodym, rozwojowym człowiekiem z dobrą opinią u przełożonych. Ma kolega wszelkie dane ku temu, by pójść z nami. Ostatnie wystąpienie kolegi wskazuje, że w ocenie wydarzeń politycznych cechuje was przenikliwość. Uważamy, że wraz ze wstąpieniem do partii obie strony miałyby z siebie pożytek. Ludzie w typie kolegi są nam potrzebni. Zwłaszcza w okresie wielkiego rozchwiania, jakie właśnie przeżywamy. Nie zaprzeczy też kolega, że dla budowania kariery osobistej wsparcie o partię mogłyby mieć duże znaczenie... Oczywiście wstąpić do nas, znaczy zostać kandydatem na członka, czyli podporządkować się naszej dyscyplinie i jej rygorom.

Wstąpiłem do partii. Duchowo rekomendował mnie ojciec, fizycznie magister Dobrysiak i sekretarz. Zamiast represji ze strony władz, jakie tchórzliwy urzędnicy dla mnie przewidywali, spotkały mnie fawory. Stałem się więc w roku 1970 członkiem rady i partii. Sądzę, że wszystko, co nastąpiło w moim życiu później, miało początek w tych dwóch znamiennych faktach. Ale wcześniej było dziesięć lat urzędniczego bytowania, w którym jasną polaną były posiedzenia Akademii i studia, a ciemną urzędnicze intrygi, których było tak wiele, że można mniemać, iż intryga jest formą urzędniczej obecności, a nawet moralności. Sytuacja podobna do tej, jaką poznałem w domu Ostrowąsów, gdzie zacna matka Ostrowąsowa uważała, iż popełniłaby śmiertelny grzech, gdyby wywożonej na targ śmietany nie zaprawiła mąką i mlekiem. Akademia nasza zjawisko nowej moralności rozpoznała po pogadance magistrza Wirta, który dowodził, że człowiek w swej masie postępuje zgodnie z zaistniałymi warunkami; dualizm moralny jest tarczą obronną, jaką się osłania. Ja także bywałem już na naszych spotkaniach relatorem tematów, zostałem nawet w Akademii specjalistą od słabości: słabość petenta wobec urzędników, słabość obywatela w sporze procesowym przeciw instytucji państwowej, urzędu, przedsiębiorstwa, słabość człowieka wobec społeczeństwa i jego instytucji, to tylko niektóre tytuły moich wystąpień wśród regałów archiwum miejskiego, bowiem tak się składało, że tam właśnie przedkładałem moje uwagi o życiu gronu zacnych myślicieli urzędu. Muszę też rzec, że posiedzenia nasze były naturalnymi wyspami języka: dookoła nas odczłowieczony żargon gazet i referatów, wśród nas język kancelaryjny, którym posługiwaliśmy się przez jedną trzecią życia, załatwiając sprawy, redagując pisma, referując je

zwierzchnikom. Mieliśmy zresztą negatywny wzór wymowy, którym był przewodniczący MRN, magister Strój, prawdziwy inżynier bizantyjskiej oracji. Człowiek ten potrafił każdą myśl ukatrupić mnogością nijakich wyrazów: głos miał przy tym miękki, prawie liryczny, słowa kojarzył i wypowiadał łatwo, był prawdziwym poetą biurokracji, jak nazwał go magister Jałowiecki. Najgorsze było jednak, że dla większości urzędników magister Strój był wzorem mówcy. Ale w naszej Akademii nawet zwrot „Mówi jak Strój” był osądem wręcz obraźliwym. Zatem dookoła nas triumfuje paskudztwo, a w samym środku głośnego żywiołu my, konspiratorzy polszczyzny. Wzorem dla nas był język tłumaczy Platona, Cycerona i Cezara, specjalnie przez Wirta czczonego Kotarbińskiego. Nazywaliśmy się Akademią, nasze miasto Rzymem, urząd prefekturą, szefów patrycjuszami lub – nieco ironicznie – prezydiumami. Naganne było u nas używanie młododoktorskich makaronizmów, germanizmów, rusycyzmów, jak choćby modne po roku 1970 „póki co”, którym pstrzyła swoje artykuły cała prasa codzienna przez długie 10 lat mego obywatelskiego dojrzewania. Niech nikt jednak nie sądzi, że ugrupowanie nasze było stajenką dla jagniąt. Gdy zaistniała potrzeba, potrafiliśmy przeprowadzić intrygę, od jakiej zatrzęsa się wojewódzka prowincja.

Wiadomo, że rady pracują na sesjach, a główne ich sesje to posiedzenia budżetowe, na których ustala się, ile w nadchodzącym roku można będzie wydać na oświatę, zdrowie, kulturę, gospodarkę komunalną, zieleń. O tym, że bez pieniędzy niczego zrobić nie można, wiedzieliśmy my i nasi zwierzchnicy: pieniądź rodzi czyn – mówiliśmy żartobliwie. Jednak wskaźniki do ustalania budżetu przesyłano nam ze szczebla wyższego, a to w praktyce

znaczyło i znaczy, że w górze administracyjnej ustalono, że sesja budżetowa naszego miasta będzie pozorna, że uchwała jest już podyktowana, że rada miejska nie ma nic do roboty poza przegłosowaniem danych jej wskaźników. O tym wiedział nasz prymariusz, jego zastępcy, miejska rada, a przede wszystkim my, urzędnicy. Tymczasem cyfry, jakie otrzymaliśmy, wskazywały, że w wielu odcinkach życia miejskiego nastąpi zastój, a niekiedy regres. Na przykład wzrosła ilość obywateli miasta, a powierzchnia sklepów została ta sama, gazownia ta sama, miejsc w szpitalu mniej, wydatki na kanalizację i oczyszczenie mniejsze, ilość miejsc w kinach mniejsza, środki na utrzymanie zieleni skromniejsze. Wtedy właśnie, na nagłym posiedzeniu Akademii w studio ustaliliśmy: wskaźniki budżetowe trzeba w trybie nagłym rozpropagować wśród radnych z odpowiednimi komentarzami. Głównie trzeba wskazać na skutki, jakie po przyjęciu takiego budżetu powstaną. Musimy podpowiedzieć radnym, że nakazami budżetowymi zostaliśmy doprowadzeni do stanu nicości. Może obudzą się w nich obywatelskie sumienia? Oczywiście, trzeba im dowieść, że władza zwierzchnia chce ich głosami miasto udusić, zaśmiecić, niedogrzać, pozbawić zdrowia i kultury. Trzeba to zrobić za pomocą cyfr, jakie nam nadesłano. Musimy wciągnąć w to Karciarzy. Oczywiście my, urzędnicy, wiedzieliśmy doskonale, że rajcy miejscy materiałów przygotowanych na sesję nie czytają, cyfr nie studiują, a jeśli wygłaszają mowy popierające daną uchwałę, to czytają teksty napisane przez urzędników. Nie łudziliśmy się, że radni nagle wkroczą na drogę szczególnej aktywności, ale wiedzieliśmy, że tak stać się musi, bowiem my, urzędnicy, uchwały budżetowej przyjąć ani odrzucić nie możemy. Uchwała zapadnie, a my będziemy męczyć duszę miasta

z powodu braku środków budżetowych. Ostatecznie my będziemy administrować miastem rachitycznie i wywoływać ludzkie niezadowolenie z powodu ciekących dachów i zagrzybionych ścian. Musieliśmy tedy przyjść sobie z pomocą i przez porównanie cyfr powiedzieć radzie:

– Senatorowie, Rzym ginie, a wy możecie go uratować lub zgubić.

Każdy z nas chodził na przedsesyjne posiedzenia komisji radzieckich i posługując się danymi wskaźników, powtarzał dramatyczne zdanie, jakie ułożył wielbiciel Oktawiana, magister Jałowiecki. Radni poczuli się Rzymianami. Wypowiedzieli wotum nieufności wskaźnikom i uchwały budżetowej nie przyjęli. Władze wojewódzkiej prowincji uznały to za bunt. Początkowo grozili naszej radzie i administracji, partia zaś wyższa partii niższej, następnie prosili, by jednak uchwała budżetowa powstała, bowiem rada wojewódzka bez naszej uchwały nie może uchwalić budżetu. Jednak upór naszej rady przeszedł w zaciekłość: ludzie raz wstali z klęczek i nie chcieli znów paść na kolana. Przepychanie trwało kilka dni. Polskę obiegła rozniesiona przez prasę wieść, że w średnim mieście rada miejska wypowiedziała wotum nieufności radzie wojewódzkiej – prasie myśmy dostarczyli wiadomości – i zwierzchnicy skapitulowali. Uchwalono aneks do budżetu. Cała Polska mówiła o samodzielności rady, a jej przewodniczący, magister Strój, wygłosił pięć ławych przemówień o tym, że zgodność intencji, choć wieloskrzydła, musi zawsze znaleźć porozumienie jedyne go lotu. Zadowoleni z siebie radni długo bili brawo swemu oratorowi, a my, urzędnicy, członkowie Akademii, całą rzecz omówiliśmy na kolejnym posiedzeniu. Powtarzało się pytanie, dlaczego my, mali, wygraliśmy z większymi, a pośrednio z największymi?

Po dyskusji przyjęliśmy jako własny taki pogląd: przez lata sprawowania władzy bez kontroli władza zwierzchnia przyzwyczaiła się do braku oporu i bierności podwładnych, nabrała przesadnej pewności siebie, a nade wszystko bezkarności i wobec oporu stanęła bezradna. Była to ważna lekcja wychowania obywatelskiego dla rady, a dla mnie poważny krok edukacyjny w wielkiej akademii życia. Dowiedziałem się, czym może być urząd i kim urzędnik. Wiedzy tej nie może mi dać żaden akademicki wycieruch od prawa i bezprawia. Nie mógł mi tego przekazać żaden wiecowy samonajmita, który wygłasza po cztery przemówienia dziennie: do nauczycieli, do hodowców drobiu, do strażaków, a na koniec do kelnerów, by wreszcie piąty raz przemówić do żony w łóżku fragmentami oracji do nauczycieli, hodowców, strażaków i kelnerów. Rozpierała mnie duma, że ja, urzędniczy pełzacz poziomy, brałem udział w walce z górą i ją wygrałem. Wspaniałe samopoczucie. Istny czar. Może pęknąłbym wtedy z pychy, gdyby nie trzeźwy głos ojca:

– Teraz opuść łeb pokornie, bo w wystający ponad innych, celnej trafiają.

III

Teraz już wiecie. Siedzi przed wami urzędnik położonego na zachodzie Polski magistratu. Siedzi coś poziomego w poziomej strukturze państwa, ale rozpostarte opowieścią na ławie jako graf Woronców i, zapatrzone w wodę niby w zatokę Odessy, opowiada nikłe zdarzenia. Gdybym był przemytnikiem? Skazańcem oczekującym spełnienia wyroku lub łaski? Hodowcą kur przepuszczającym z dziewczynkami setki tysięcy złotych? Choćby ministerialnym inspektorem w podróży służbowej. Rewizorem. Katem? Nie. Chociaż inspektor to ciekawy temat. Kiedy zostanie podszyrywany wódą i podbechtany w męskie słabości przez pannę Kazię lub Irenkę, zamienia się w rozlewnego opowiadacza swego losu, w którym prawie zawsze jest bezmiłosne pożycie małżeńskie, są krzywdy, jakie go spotkały podczas zwrotów politycznych i zahamowały rozwój kariery. Są także plotki o ministrach, ambasadorach, generałach: komu z nich słońce zachodzi, a komu wschodzi. Jest szeptanie. Ja zaś jestem, kim jestem. Czy to przekracza wyobraźnię i ustalony porządek w księstwie narracji? Powinno. Niech raz wyobraźnia zejdzie do poziomu. Prawda, że nauki mówią, iż wyobraźnię powinni posiadać wielcy, a mali powinni mieć zdolności wykonawcze, a nie marzycielskie. Rewolucje robią masy, to prawda szkolna, ale myśl o nich tworzą wybitne umysły przywódców, ci zaś mieszkają blisko spraw wielkich.

Wielcy, a zwłaszcza ich podręczni kontrolerzy, inspektorzy i nadzorcy, naczelnicy i dyrektorzy przybywają do nas małymi watahami. Jest to sposób strzeżenia wykonania zarządzeń i okólników. Urzędnicze oko pańskie.

Przez lata pracy w urzędzie nauczyliśmy się przyjmować inspektorów. Z reguły było tak, że ufetowany wcześniej i doprowadzony do urzędniczej przyjaźni fagas z Warszawy dawał nam wiadomość, że nasze miasto zostało „zaplanowane do kontroli” i wtedy czyniliśmy odpowiednie przygotowanie do przyjęcia nagłej rewizji. Odbywało się generalne uzupełnianie akt, gdyż w urzędzie najważniejsze są zapisy i po nich, jak po tropach zwierzyny, gonią inspektorskie oczy i palce. Czasem zdarzy się wśród inspektorów abstynent i impotent, takiego Kazią i wódzią nie załatwisz, ale postępowania z takim uczył mnie magister Dobrysiak.

– Pamiętaj, Heniu, byś nigdy z takim wypierdkiem mamuta w spór nie wchodził, nie daj Boże kłótnie wyprawiał: argumentów twoich nie wysłucha, bo nie po nie przyjechał, a po to, by zrobić protokół. Jak będziesz się stawiał, obsmaruje cię gruntownie. Na tym polega jego kaleki zawód. Żyje on, chłopcze, z niedociągnięć, z braków i z wykrywania winnych. Swoimi bazgrołami pokontrolnymi musi osłaniać głupie i znoszące się zarządzenia, jakie w ministerstwach pudami pichcą. Musisz być pokorny i udawać, że nauki bździela pojąłeś, żeś się nimi przejął, a nade wszystko, że wszelkie niedociągnięcia naprawisz. Wtedy figurant będzie zadowolony i zrozumie swoją ważność. Jeżeli jednak w protokole namazałby na ciebie zbyt mocno, papieru takiego nie podpisuj, wnies zastrzeżenie, bardzo wiele zastrzeżeń, im więcej, tym lepiej, by go trochę zbić z pantaląku i odebrać mu prawo terminowego powrotu. Gagatek ma normy inspekcyjne i jak ich nie wykona, nie dadzą mu premii. On chce być nagrodzony, ty musisz ten fakt wykorzystać. Musisz go tłuc jego metodą: on czepia się ciebie, ty czepiaj się jego – nie przepuść mu najmniejszego przecinka.

Podczas nauki w Akademii stoickich obiektywistów wypracowaliśmy własny stosunek do inspektorów wszelkiej maści: wojewódzkich i centralnych, pionowych i poziomych, administracyjnych i politycznych, robotniczych i chłopskich, młodzieżowych i kobiecych, wszystkich, którym nakazano doraźne przeszkadzanie nam w pracy. Mieliśmy i mamy na ich użytek rodzaj pogardliwej grzeczności, która prawie zawsze występowała w postaci wyższej uniżoności. Przybieraliśmy pozy prowincjonalnych prostaczków, których życie przebiega w stanie głębokiej niewiedzy i którzy zadają inspektorom wiele bezsensownych pytań. Najwięcej radości dawało nam to, że ludzie ci nabierali się na nasze kawały, a my, pocuzani, zdobywaliśmy orientację o zawiłościach codziennej polityki kraju. Nie muszę chyba przypominać, że za metodą prostaczka krył się mędrzec nad mędrcami, sam Sokrates. Tak właśnie, zadając mnóstwo rzekomo zbędnych pytań, z odpowiedzi ministerialnych delikwentów dowiedzieliśmy się, że w Polsce szykuje się jakaś wielka zmiana strukturalna. Na przykład jeden inspektor z komunikacji przyjechał tylko po to, by na miejscu zbadać ciężenie komunikacyjne do naszego miasta z całej okolicy. Drugi fagas od przemysłu badał, z jakich kierunków dojeżdżają pracownicy do większości zakładów pracy. Trzeci, handlarz, badał ciężenie sieci detalicznej handlu i zasięg hurtu. Każdy kazał sobie pomagać, robić mapy i wykresy, które wykonywano u Karciarzy: dla inspektora jedną, dla naszej Akademii drugą. Z sygnałów tych i wielu innych ułożyliśmy mozaikę, z której w roku 1974 daliśmy proroczy odczyt – będzie nowy podział administracyjny Polski. Znikną stare województwa. Powstaną nowe ośrodki administracyjne, podobne do dawnych powiatów, ale większe. Nadejdzie rewolucja administracyjna.

Degradacje i awanse. Najprawdopodobniej nasz Rzym zostanie stolicą stworzonego regionu. Znaczy to, że duży ruch personalny obejmie nasz magistrat. Będą awanse. Domysły nasze rozgłosiliśmy za pomocą wypróbowanej metody – rozszeptywanej plotki. Cały urząd zajazgotał, bo było o czym mówić. Kto zostanie wojewodą? Kto będzie dyrektorem, naczelnikiem, głównym specjalistą? Komu już należy się podlizywać? Z kim wchodzić w konszachty? Z jakiego źródła są te oszałamiające wieści? W urzędzie zapanował niepokój. Nasz układ nieformalny, obok Karciarzy, był dotąd jedyną strukturą w urzędzie, teraz zaczęły powstawać najróżniejsze grupki. Urzędnicy łączyli się w pary, trójki, czwórki, by chociaż omówić palące kwestie i rozpoznać, kto mógłby mieć wpływ na awansowanie. Urząd przypominał ul przed wyrojeniem. W ciągu jednego tygodnia ustabilizowany spokój urzędu całkowicie się zmienił. W naszej Akademii też zauważyliśmy zmiany. Na przykład magister Kaduk zaczął bywać u Karciarzy, magister Reis wiercił się niespokojnie, jakby stoicki ład Rady im przestał wystarczać. Roznosząc wieść o podziale administracyjnym, nie przewidzieliśmy aż takich skutków – ludzi ogarnął amok awansowania. Każdy badał rzecz na własną rękę. Sygnały z Warszawy były coraz mocniejsze, że nasza plotka będzie prawdą, że jeszcze raz słowo stanie się ciałem. Nie wiadomo, jaką drogą doszła do urzędników wieść, że wywyższenie naszego miasta odbędzie się niezwykle prosto: urząd miejski zostanie wojewódzkim, nasz patrycjusz będzie wojewodą, kierownicy wydziałów będą dyrektorami, ich zastępcy zastępcami.

Druga połowa roku 1974 i pierwsza w 1975 zeszły w urzędzie na przymierzaniu ludzi do stanowisk. Prawda, że przyjmowaliśmy interesantów, sprawy bieżące były załatwiane, ale jakby od niechcienia, a w sprawach

naprawdę ważnych nikt nie chciał podejmować decyzji. Sprawa województwa weszła na plan pierwszy i zachwiała ustalonym porządkiem życia magistratu. Naraz nasz urząd jakby zmalął. Zmaleli miejscy zwierzchnicy jako miejsy. Przesłali być ważni naczelnicy dotychczasowego urzędu wojewódzkiego, bowiem ta władza już odchodziła. Już szeptano: „Król umiera”, ale jeszcze nikt nie krzyknął: „Niech żyje król”, bo kandydatów było zbyt wielu. Po pierwszych dniach plotkarskiej euforii nasz prymariusz uznał za wskazane zwołać ogólne zebranie urzędników w towarzystwie sekretarza Komitetu Miejskiego PZPR, zdemontować szerzące się wieści o zgonie województwa i o powstaniu nowego:

– Mogę was, koledzy, zapewnić, że oficjalnie nic nam o tym nie wiadomo. Jak czegoś dowiemy się, natychmiast was poinformujemy – rzekł, a zdania jego potwierdził sekretarz, zapewniając, że kto jak kto, ale władze polityczne wiedziałyby najpierwsze, a nic nie wiedzą. – Jest naszym życzeniem – instruował nas i prosił – byście, towarzysze, pracowali normalnie, a rozsiewane plotki dementowali.

Nikt im jednak nie uwierzył, a magister Jałowiecki szepnął do mnie, że właśnie teraz, po oficjalnym dementi, powinniśmy oczekiwać zmian. Wraz zaczęły do nas dochodzić jakby pod ziemią dudniący wieści, że na szczeblu centralnym też istniały ugrupowania nieformalne. Praetorzy wojewódzcy spotykali się ponoć w Krakowie, Poznaniu, Olsztynie, jak myśmy zasiadali w gołębniku, archiwum i USC, tylko że nam nie o przejęcie władzy chodziło. Słusznie jednak zauważył magister Wirt, że nie było w historii i nie ma ugrupowania nieformalnego, które nie chciałoby czegoś ulepszyć. Myśmy też zajęli się budowaniem moralnym człowieka, gdy wokół panowało odczłowieczenie życia.

– Jeżeli u podłoża tej decyzji jest walka o władzę – mówił na posiedzeniu Akademii kierownik USC – to będzie zrealizowane niezależnie od kosztów, jakie Polacy poniosą.

– Dla naszego miasta, tak czy inaczej, będzie to korzystne – mówił Kaduk. – Przybędzie nowych stanowisk pracy, będą pobudowane nowe mieszkania, przyjedzie więcej towarów do sklepów.

– Prawda, ale okoliczne miasteczka, zwłaszcza powiatowe, gruntownie podupadną – kontrował Kaduka Dobrysiak. Bo zbliżenie administracji do terenu jest propagandową bajką: nigdy nie było tak, by przez oddalenie ośrodka decyzyjnego od terenu usprawniono podejmowanie decyzji.

Tak tedy po okresie euforii, że zostaniemy wywyższeni i odtąd pszczelarz powiatowy zostanie wojewódzkim, nadeszła pora chłodniejszej refleksji. Upłynął zresztą czas, minął grudzień roku 1974, nastał styczeń 75 i nikt nie słyszał, by kogokolwiek wezwano na rozmowy do stolicy. Przecież, rozumowaliśmy, jeżeli chcą u nas zorganizować województwo, trzeba powołać pełnomocnika, podręczny mu zespół organizacyjny, trzeba ustalić, gdzie jaki urząd będzie urzędował, kto jaką obejmie funkcję. Będzie do zakwaterowania armia przybyszów, bo przecież nawet przy przemianowaniu urzędu miejskiego na wojewódzki miejscowe siły papierowym zadaniom nie sprostają. Oczywiście, ostatnia wątpliwość była żartobliwie asekurancka, gdyż zainteresowani z UM nie dopuszczali do siebie myśli, że razem z awansem może nastąpić degradacja naszego urzędu, a co za tym idzie Akademii, gdzie osiągnęliśmy postawę obiektywistów i mądrość stoików. Dopiero później, gdy decyzja o nowym osiągnięciu PRL w zakresie zbliżenia administracji do terenu została ogłoszona, a na miasto spadł grad przybyszów, tak zwanych

przez lud spadochroniarzy, z byłego urzędu wojewódzkiego i powiatów, gdy nasz prezydent nie został wojewodą, ludzie niezmiernie oklapli. Zamiast awansów – degradacje. Kolejka oczekujących na mieszkania wydłużyła się znacznie, bo kwatery przydzielono dyrektorom, zastępcom, specjalistom, sekretarkom. Stan goryczy pogłębiali przybysze. Pozbawieni funkcji w powiatach przybywali do nowego województwa z konieczności – im też lepiej było być pierwszymi w powiatach niż tutaj piątymi. Wchodzili w trudną pracę wśród obcego i niechętnego im żywiołu. Chcąc tedy zaznaczyć swoją wojewódzkość, puszyli się, dając do zrozumienia tubylcom, że ich, przybyszów, wywyższyli, bo są lepsi. – Skończyła się wasza era w mieście – mówili – zaczyna się nasza.

Degradacja z powodu awansu dotknęła nasze miasto po raz drugi. Pierwszy raz centralny palec administracyjny ominął nasz gród w latach pięćdziesiątych, podczas ówczesnego podziału Polski. Wtedy, opowiadał ojciec, dwa ośrodki pretendowały do miana stolicy województwa: my i miejscina ościenna. Myśmy mieli więcej danych do awansu. Byliśmy więksi, mieliśmy więcej budynków użyteczności publicznej, mieliśmy wiele ulokowanych instytucji wojewódzkich. Ale jakiś olówek wielkości buzdygana dotknął na mapie konkurencyjne miasteczko. Dumny gród nagle spisał. Co było ciekawego, wyrabowano: zabytki muzealne zabrano muzeum okręgowe, urzędnicy teatralni – teatr, ciekawszych ludzi pociągnęło do siebie nowe województwo, inni przycichli w mizerii i upokorzeniu. Od tamtego czasu wiele chmur przeciągnęło nad miastem, spadły nań liczne śniegi i deszcze, wyrosło nowe pokolenie ludzi, którzy stanęli do rywalizacji z nową wojewódzką stolicą: oni osiemdziesiąt tysięcy mieszkańców, my osiemdziesiąt pięć, oni sto tysięcy razem z dołączonymi wioskami, my sto

dziesięć bez wieśniaków mianowanych mieszczanami. Opowiadał ojciec, że kiedy w naszym grodzie podjęto budowę sztucznego lodowiska, szef sportu wojewódzkiego, pokazując palcem środek dłoni, wołał: „Tutaj mi kaktus wyrośnie jak lodowisko zbudujecie...”

Na pierwszym meczu hokeja lodowego wręczono szefowi sportu wojewódzkiego doniczkę z wyhodowanym dla niego kaktusem, który rósł razem z budowanym obiektem. Znani są nasi rzymianie z hardości. Gdy na stadionie grano mecz piłki nożnej pomiędzy drużyną wojewódzką a zespołem naszych – mecz niezmiernie ważny dla wojewódzkich, bo w wypadku remisu awansowali do wyższej klasy rozgrywek – kiedy w ostatniej minucie przy stanie 3:3 nasz zielony strzelił bramkę, opadły ręce i miny sportowym urzędnikom województwa, a nasz kibic powstał z ławki i rozkładając ręce gestem Piotra Skargi, zawołał: „Za nasze męki”.

Dużą atrakcją była opowiedziana wcześniej sprawa budżetu miasta: wygrać z nimi znaczyło zostać bohaterem dnia. Ale teraz, dziś, przeciw komu miasto miało protestować? Przeciw centralnym dobroczyńcom, co nasz gród wyróżnili awansem? Trzeba było zajęć się położyć uszy po sobie i przycupnąć lub manifestować radość z awansu. Opowiadano w inspektoracie oświaty, że dyrektor zespołu szkół budowlanych zainspirował, a następnie łaskawie zezwolił na całonocne bachanalia dla młodzieży, która tańczyła i śpiewała do rana, fetując nowowojewódzką sytuację w mieście. Tworzono tam kulety na cześć wojewody i pierwszego sekretarza partii. Powstała nawet piosenka o włodarzach gospodarzach, co nas wieść będą w bój, za tę przyszłość, co się ścięły nam do nóg. Mówiono też, że aż dwa zespoły ludzkie wpadły na identyczny pomysł, by wręczyć symboliczne klucze

do bram województwa pierwszemu sekretarzowi: jeden wiklinowy, wycieciony przez uczniów technikum wikliniarskiego, drugi metalowy, odlany w Zakładach Mechanicznych. Najpotrzebniejsze jednak były deklaracje pomocy nowym władzom i gotowości do pracy. Słowem, zakotłowało się w mieście. Tubylcy społecznie awansowali, ale osobiście usytuowani byli w drugim, a nawet trzecim i czwartym rzędzie hierarchii urzędniczej, bo w pierwszym zasiedli koloniści. Pamiętam, że na jednym z posiedzeń rady Akademii, już w nowym województwie, magister Jałowiecki powiedział: „Panowie, nasz Rzym został skolonizowany przez barbarzyńców. Ale nie trapić się tym, bo barbarzyńcy, jak wszyscy i zawsze barbarzyńcy, muszą się rozwinąć”.

Uspokajająco prorocze zdanie mądrego człowieka zapamiętałem, gdyż było ono nacechowane optymizmem obiektywisty wielkiego formatu. Nie wywołało jednak żywej dyskusji. Byliśmy smutni. Wychodziliśmy z gołębnika w milczeniu, prawie chyłkiem i ze spuszczo-nymi głowami, jak gdyby w poczuciu winy, że byliśmy świadkami rzeczy, jaka się stała. W tym czasie odbyliśmy jeszcze jedno smutne posiedzenie: dusza naszych zgromadzeń, mój Guru, główny twórca naszej Akademii odszedł na emeryturę. Wiedzieliśmy, że przyszło nowe, do którego musimy przywyknąć, jeśli chcemy być.

IV

Przez pięć lat rządów nowej władzy wojewódzkiej zdymisjonowano trzech prezydentów. Opuściło też posady sześciu wiceprezydentów, a na ich miejsca przychodzili na ogół naczelnicy z poszczególnych gmin. Przedostatni praetor urbanus odszedł dlatego, że nie chciał oddać parterowych pomieszczeń budynku magisterskiego na biura Wydziału Finansowego Urzędu Wojewódzkiego, bowiem tam mieścił się Wydział Finansowy Urzędu Miasta. Uparł się jak bydlę w kocy. Może sądził, że jest prezydentem miasta w dawnym czasie, kiedy niesubordynacja grodu wobec województwa była dowodem dzielności? Nie pojął, że przyszedł nowy ład, a tacy, co znaków czasu nie pojmują, muszą odchodzić. Urząd na tę zmianę prawie nie zareagował. Uważano, że był z niego rzutki i zdolny leń, który nigdy nie miał czasu dla urzędu i urzędników, bo wiele godzin służbowych spędzał przy nadzorze budowy kolonii domków jednorodzinnych, gdzie stawała i jego willa. Bowiem w tym czasie euforycznym lat 1975-1985 nastąpiła u nas gwałtowna moda na budowanie domów. Stawiali je lekarze i rzemieślnicy, badylarze i naczelnicy wojewódzkich wydziałów, sekretarze i docenci, prezydusi i egzekutywnicy, słowem każdy, kto miał jakikolwiek wpływ i łatwiejszy dostęp do kredytu, budował dom. Nowa władza wojewódzka, jak się u nas po kolejarzku mówiło, dawała zielone światło osobom, co nie obciążały państwowych zasobów komunalnych i stawiały domy drugiej Polski. Nastąpił w naszym mieście ogromny nacisk na biuro budownictwa, by przyznawało działki budowlane na terenie uzbrojonym

w instalacje wodne i odpływowe, elektryczne i gazowe. Stawianie domów na terenie uzbrojonym było znacznie tańsze, za przydział takiej działki można było dostać znaczną łapówkę. Karciarze z biura budownictwa specjalnie inwentaryzowali każdy skrawek ziemi i ochraniali go, rezerwując dla wysłannika sekretarza, wojewody lub większego płatnika podatków dochodowych. W urzędzie szeptano, że nasz praetor był wspomnianymi decyzjami poważnie obciążony, a odmową udzielenia kwatery Wydziałowi Finansowemu województwa stworzył sobie pretekst do honorowego odejścia, nim ktoś zrobi na niego poważniejszy donos. Wtedy mogliby ruszać do ataku niezadowoleni policjanci, prokuratorzy, kontrolerzy, wywlec na światło dzienne cuchnące ściery i obwiesić go nimi jako szpetną choinkę. Odszedł jednak honorowo, miał wyczucie. Znacznie gorzej było z jego następcą, który też został wywalony z powodów budowlanych. Cała rzecz w tym, że zezwolenia na budowanie różnorodnych pawilonów handlowych dla kupców Karciarze przyznawali z reguły tym osobom, którym ludzie z biura architekta miejskiego rozrysowywali projekty budowlane. Zdarzało się dość często, że domy i domki stawiano parami: kupca lub wybitnego sportowca z kontem dewizowym i na przykład architekta – bliźniaczy domek, bliźniacze spółka, bliźniacza robota. Gdy domów tych i pawilonów zaczęto stawiać zbyt wiele, gdy ludzie na różnych zebraniach zaczęli wołać o sprawiedliwość, odezwała się milcząca dotąd prasa. Nasz prymariusz, gdy go oficjalnie zapytano, co chce uczynić, by przerwać pasmo dziwnych przypadków, odparł, że niczego czynił nie będzie; jeżeli zabroni architektom dodatkowych prac projektowych, ci z pracy odejdą z powodu zbyt niskich uposażeń urzędników państwowych. Główny architekt miejski miał pobory prezydenta, jego pomocnicy – kierowników wydziałów, ale wraz z budowaniem

domu powstała także moda na wysokie zarobki – pełniona funkcja musi przynosić dochody, mawiano wśród Karciarzy. Władze polityczne uznały, że prezydent biernością popiera machinacje urzędnicze i zwolniono go z funkcji. Odszedł, by zwolnić miejsce dla nowego nasłańca. Ciekawe bowiem w ruchu kadrowym naszego urzędu było to, że urzędnik miejski mógł awansować do szczebla kierownika wydziału: tak było z magistrzem Jałowieckim, z Drewniakiem, Dobrysiakiem, z Wirtem. Jeden Reis odszedł od nas na stanowisko dyrektora w Urzędzie Wojewódzkim. Jak Urząd Miejski urzędem, raz jeden kierownik wydziału został prezydentem i był najlepszy w dziejach, ale też odszedł, by mieszkańcy naszego Rzymu nie pomyśleli heretycko, że mogą być u nas ludzie niezastąpieni. Pokora jest piękną cechą obywatela.

Była w naszym urzędzie sala uroczystych posiedzeń z ogromnym stołem eliptycznym. Na ścianach tej sali magister Wirt urządził coś w rodzaju galerii obrazów miejscowych plastyków: kupował prace i wieszał je na ścianach, by uczestnicy konferencji mogli stale podziwiać malarską kulturę miasta. Pamiętam, że pewnego razu plastyk-fantasta wysunął projekt, by salę nazwać prezydią i przyozdobić ją portretami wszystkich prezydentów.

– Nie pejzaże, a twarze powinny tu figurować. Chlubili się portretami rodowymi feudałowie, przyjęło ich tradycje mieszczaństwo, dlaczego nie mamy tego robić w socjalizmie? Przecież nie jesteśmy obrazoburcami.

– Pięknie mówisz – powiedział do plastyka magister Wirt. – Pięknie mówisz i może masz rację, ale ta racja cię nie chwali, bo przy naszej rotacji kadrowej ścian w sali by zabrakło. Wtedy byli ćwierćwieczni prezydenci, dzisiaj są jednorocznici. Lepiej maluj pejzaże i gołe kobiety. Ten towar jest wieczny i będziemy go kupować.

Kolejny prezydent był spadochroniarzem i do tradycyjnych urzędów nie miał emocjonalnego stosunku: ogromny stół eliptyczny został poćwiartowany i jako drewno sprzedany meblarzowi. Dużą salę prezydiálną przerobiono na klatki biurowe, w parterze osiadł Wydział Finansowy Urzędu Wojewódzkiego, nasi finansiści zajęli przebudowaną salę posiedzeń, gdzie miały wisieć portrety merów. W ten sposób zlikwidowano pustostan, jakim była rzadko używana sala i tym racjonalnym posunięciem nowy praetor urbanus chwalił się w licznych sprawozdaniach – sam je niekiedy pisałem. Natomiast Wirt dzieła ze ścian sali musiał pozdejmować, a nie mając dla nich odpowiedniego miejsca, zostawił je w jednym z kątów archiwum, gdzie stały smutno, licem do ściany. Widywaliśmy je czasem podczas coraz radszych posiedzeń Akademii, która straciła swój dawny charakter: kiedyś były duże dysputy, a mało alkoholu, teraz odwrotnie. Nastaly nowe czasy, zwyciężyła ideologia Karciarzy. Nas coraz szczelniej osaczało miano frajerstwa. Przekształcanie dysput w libacje zaczął magister Kaduk, który królujące wino zamienił na gorzałę, a mocny trunek szybko bełta myśli; zanim temat rozmowy zaczęto, już języki były splątane. Czasem jednak rozgorzała dyskusja, jak choćby ta przy obrazach, kiedy magister Kaduk, waląc się na podłogę, zgniótł ramę dzieła z ukrzyżowaną na nim gołą kobietą. Wtedy, gdy był strofowany za nieuwagę, podstawiając nam pod oczy poranione płótno, odwoływał się do naszej wiedzy estetycznej, pytając, czy takie coś może zasługiwać na miano dzieła sztuki? Nie mogliśmy jednoznacznie sprawy rozstrzygnąć, bo któż zresztą może powiedzieć, jaka jest różnica pomiędzy trójkątem nowoczesnym a tradycyjnym? Czy na krzyżu malarskim należy wieszać gołe kobiety w stanie erotycznej ekstazy?

Wynaturzenie to, czy stan malarskiej nadświadomości? Wszak krzyż był dotąd rezerwowany dla umęczonego ciała mężczyzny, a tutaj kobiety jakby skręcające się w stanie niebywalej rozkoszy.

– Panowie, spokojnie – zawołał Wirt. – W takie przedstawienie symbolu powinien przede wszystkim ingerować kościół, a obrazy te wisiały na wystawie sakralnej w świątyni, gdzie nawet je poświęcono.

– Poświęcili – zawołał pijany sprawca złamania. – Jak mogli poświęcić dzieło największego bigamisty grodu?

– Nieoficjalnego bigamisty – uspokajał Wirt, który wszystkich artystów znał osobiście. – Ma wiele asystujących mu kobiet, ale tylko dwie są oficjalnymi byłymi żonami. Słowo bigamia nie ma tu zastosowania.

– Mnie te obrazki nie rażą – powiedziała Gaśniczka nazywana w urzędzie Gaśnicą, pracownica Wydziału Ewidencji Ludności, jedyna kobieta nowych zgromadzeń Akademii, dowód jej upadku. – On maluje radość życia, a że ta radość jest ukrzyżowana, to znaczy, że jest skazana na cierpienie. W ukrzyżowaniu kobiety jest wielka myśl. Chodzi o umęczoną i skazaną na niepowodzenie miłość. Może on tak boleje nad miłością?

– Powiedz jednak wyraźnie, Ewuniu – przerwał jej Kaduk. – Czy uznajesz to za dzieło sztuki? Przecież kobieta jest tu wymalowana – pogładził płótno – od ud do łokci. Jest na krzyżu, ale jakby w łożu. Wszystko, co ukrzyżowane, miało zawsze rany na nogach i dłoniach. Widzieliśmy zawsze wielką udrękę na wyobrażonej twarzy, a tu oblicza nie ma, jest tylko mocno wyeksponowane łono – po prostu kadłub ze sromem. Sromotne malarstwo.

Ale Gaśniczka już nie słuchała wyводу chwiejącego się Kaduka. Szepnęła coś do ucha Wirtowi, który zachowywał się, jak gdyby równocześnie słuchał Gaśniczkiej

i mowy szefa obrony cywilnej miasta. Na tym zresztą merytoryczna część posiedzenia wygasła. Głosy rozfalały się jak sztormowe bałwany. Każdy miał coś do powiedzenia i parł głosem do przodu, usiłując przekrzywić drugiego, a że pierwszy nie ustępował, w archiwum panna wrzaskliwy tumult. Zaginał cichy porządek obrad, ład krzyku zastąpił ład racji. Usiadłem na odległym od hałasu zydłu i patrzyłem na galimatias ludzki, myśląc, co się stało z naszą Akademią. Weszła tu kobieta, którą czule i po przyjacielsku obejmuje Wirt, weszli rozkrzyczani ludzie ze skłonnościami do spożywania mocnego trunku. Dawniej Akademia miała pozory alkoholycznych biesiad, dziś są to pijackie seanse bez żadnych pozorów.

– O czym pan tak ciężko rozmyśla, panie Henryku?
– wytrąciła mnie z zadumy Gaśnicka.

– O zmianach, jakie ostatnio zachodzą. Pani nie myśli o tym, co przemija i uchodzi?

– Myślę, ale krótko. Od dłuższego myślenia powstają odciski na mózgu – zażartowała, przysiadając się do mego zydła.

– Czy można wiedzieć, o czym pani tak czule szepotała z Wirtem?

– Można, ale nie było w tym czułości, była informacja.

– Tajemnica?

– Nie. Mogę ją panu powtórzyć. Za kilka dni będzie o niej w całym urzędzie głośno: odchodzi Kolasa, a na jego miejsce przysyłają jakiegoś wiceprezesa spółdzielni ogrodniczej. Podobno spółdzielnia splajtowała i powinni ją rozwiązać, ale ktoś musi warzywa i owoce ludziom dostarczać; zamiast zlikwidować bankruta, zmieniają kadry, a jeden z winowajców obejmie posadę wiceprezydenta.

– Trudno. Przywykliśmy. Zmiany na stanowiskach prezydenckich są u nas codzienne.

– Prawda, ale to kolejny spadochroniarz. Jakby u nas nie było ludzi do awansowania.

– O kim pani myśli?

– Choćby o panu.

– O mnie?

– Dlaczego nie? Ma pan doświadczenie administracyjne, studia, jest pan otoczony ludzkim mirem. To właśnie mówiłam Wirtowi. Mamy już dość nasyłania nam ludzi gdzieś skompromitowanych. Powoli nasz urząd staje się ostatnią stacją zbankrutowanych nieudaczników.

– Czy pani wiadomości o odejściu Kolasy są pewne?

– Pewne. Negocjacje trwają od kilku dni, bo Flis wyraził sprzeciw.

– Flis? Sekretarz organizacji partyjnej?

– Właśnie Flis jako sekretarz. Wezwali go, by człowieka urobić, ale on powiedział, że wśród załogi są sprzeciwi wobec nasłańców. Pojutrze ma być zebranie POP, na którym złoży rezygnację z funkcji. Powiada, że jeśli nie może zapobiec złu, nie może pełnić swojej funkcji.

– Flis wysunął moją kandydaturę?

– Nikt jej nie wysuwał. W towarzystwie rozmawialiśmy, że gdyby nas zapytano, wysunęlibyśmy pana nazwisko.

Nawet nie pytałem Gaśnickiej, skąd pochodzą tak ścisłe informacje. Po urzędzie krążyły plotki, że Flisa widziano z panią Ewą nad ustronnymi jeziorkami i wśród leśnych duktów. Mówiono, że już zaczęła w ich stronę zerkać Flisowa, pracownica biura paszportowego. Urząd jest instytucją plotkarską, a o Gaśnickiej mówiono, że ciągle szuka miłosnego ideału, bowiem inżynier Gaśnicki już nie jest dla niej mężem. Dlaczego powiedziała, że jakaś grupa towarzyska mówi o mnie jako o wiceprezydencie? Wynika z tego, że staje się albo już jest nowe ugrupowanie nieformalne. Trudno. Najwidoczniej idea

kształtowania siebie przestaje być atrakcyjna. Nasza Akademia wychodzi z mody, jak stare portki. Przychodzi jakieś nowe, ale jakie? Czyżby karciarskie? A może informacja Gaśnickiej jest zwykłą intrygą urzędniczą? Wysunąć na pożarcie jednego, a na jego padle wyhodować drugiego? Wiedziałem przecież, że jeśli wcześniej jako własny cień nie będę zatwierdzony do awansu przez odpowiednie siły, jeżeli nie wpiszą mnie one do nomenklatury, mogą mnie jako wiceprezydenta ludzkie języki pieścić, ile zechcą. Byłem już na tyle doświadczonym urzędnikiem, by wiedzieć, że ludzkie gadanie nie zawsze jest dobrą monetą. Posiadałem jednak tyle umiejętności technicznych obcowania z ludźmi, by nie zaprzeczać ani nie potwierdzać, nim nie nadejdzie odpowiednia ku temu pora. Najlepszym manewrem jest zmiana tematu rozmowy.

– Słyszałem, pani Ewo, że razem będziemy na weselu hulać.

– Tak. Za pańskiego pracownika wychodzi moja kuzynka, Ostrowąsówna. Będą dwa wesela. Rozmawiałam z Wirtem, czule, jak pan mówił, czy można w klubie towarzystwa kultury zrobić poprawiny dla magistratu...

– Tutaj obok?

– Tak. Stać ich na dwa wesela. Tam będzie pół wsi, a tutaj pół urzędu. Prawdziwy sojusz robotniczo-chłopski. Rolniczka z samochodem i magister z dyplomem.

– A my oboje na jednym i drugim – powiedziałem przymilnie, przygarniając Gaśnicką do siebie, bo była to atrakcyjna kobieta.

– Tańczy pan?

– Tańczę.

– To będziemy tańczyć – powiedziała, wstając z zydlu.

Odeszła. Mnie zaś smutno było patrzeć na paskudne echo struktury, co wiele lat kształtowała charaktery

i której tak wiele zawdzięczałem: pomiędzy półkami archiwum widziałem przekształcone wodą twarze, słyszałem ochryple i bełkotliwe przechwalanie się możliwościami i znajomościami. Ludzie wydalali swoje ułomności, a myśmy tutaj ćwiczyli się w ukrywaniu słabości. „Utrata świadomości po nadużyciu alkoholu jest słabością” – mówił magister Jałowiecki. Krzyk zamiast argumentowania także. A tutaj zapanowała zasada, że rację ma ten, kto głośniej wrzeszczy, a wrzeszczy ten, kto więcej wypije. Wyszedłem, kiedy otyły Sawicki zaczął uczyć szefa Kaduka, jak gasi się w ustach palące zapalki, a magister Grzywny zdjął buty z cuchnących nóg, by mu odciski wypoczęły, co jako dobry dowcip skwitowano gromkim śmiechem. Przy wyjściu dopędził mnie Wirt, by resztkami trzeźwości wysupłać z siebie pytanie, czy rozmawiałem z Gaśnicką i co sądzę o wyrażonej sugestii.

– Z panią Gaśnicką rozmawiałem o weselu Grudnia z Ostrowąsówną – powiedziałem Wirtowi, chociaż wiedziałem, o co mnie pyta.

– Czy tylko o weselu, panie Henryku? – nastawał, konspiracyjnie mrugając lewym okiem.

– Tak. Uzgodniliśmy, że na dwóch weselach natańczymy się do syta.

Prawda, że Wirt był członkiem naszej Akademii, ale jeśli ona zginęła, to rozpadły się łączące nas więzy. Wirt jest kolegą urzędnikiem. Niczym więcej. Po dawnemu jednak uścisnąłem mu rękę i omijając go jako człowieczą zaporę w drzwiach, poszedłem do domu. Zamykając drzwi usłyszałem jeszcze, że najgłośniejszy w tym dniu Kaduk wołał, by Gaśnicka zrobiła im striptiz. Idąc do rodziców, trochę urągałem sobie: czy nie za bardzo ty sporządniałeś, kochasiu? Przecież nie tak dawno jeszcze były praskie tapczany, były leśne orgiaszki, a teraz post, susza, abstynencja i asceza.

Nazajutrz do członków partii w urzędzie przysłała kurenda, że zebranie POP zwołano na sobotę. Wielu ludzi utyskiwało, że sobotę wybrano na zebranie, ale roznościelka listy, pracująca w Wydziale Zdrowia i Opieki Społecznej siostra Lucyna szeptała każdemu, by przyszedł, bo zebranie będzie sensacyjnie ważne. Zawsze to robiła, ale jej wierzo. Była pomocnicą doktora Rybaka, w razie potrzeby potrafiła potrzebującemu załatwić zwolnienie lekarskie do dziesięciu dni chorowania, co zawsze było dodatkowym urlopem. Była członkiem egzekutywy, a tam trochę więcej wiedzą niż wszyscy inni, zwłaszcza w sprawach personalnych. Pełniła też funkcję nieoficjalnej pielęgniarki domu prezydenta miasta. Trzeba było dobrze z nią żyć i wierzyć temu, co mówiła, wszak zawieranie dobrych sojuszy jest ważną umiejętnością urzędniczego bytowania.

– A siostra będzie na zebraniu? – spytałem Lucynę, filuternie patrząc w oczy mile zaokrąglonej i atrakcyjnej rozwódki.

– Oczywiście, że będę – odpowiedziała. – Oczywiście, panie magistrze.

Teraz, po ukończeniu studiów, cały urząd zwracał się do mnie in titulo. Przyznaję, że tytułowanie początkowo mnie śmieszyło, nawet wprowadzało w stan zakłopotania, ale magister Jałowiecki wyjaśnił mi, że taka jest cecha współczesnej obyczajowości: zaginęła szlachta, historia oddaliła tytuły hrabiowskie, polskie „pan” dotyczy każdego człowieka, zdemokratyzowało się, towarzysz jeszcze nie dostąpił towarzyskiej nobilitacji, a ludzie potrzebują hierarchizacji. Właśnie magister wyróżnia człowieka na tyle, że ojciec córek może dziś powiedzieć: „Wszystkie dobrze wyszły za mąż, każda za magistrza”. Magister to współczesny szlachcic herbowy. Prawda, że wyżej są doktorowie, docenci, profesorowie, czyli szlachta dyplomowana, ale

oni są daleko i pracują w mało dziś atrakcyjnych wyższych uczelniach. Przy tym słowo „doktor” jest zbyt blisko lekarza, a tytuł profesorski przydzielono nauczycielom szkół średnich. Pozostał magister, tytuł związany z aptekarskim fachem, a ten łączono z tajemnicą przyrządzania lekarstw, co w rozumieniu społecznym jest umiejętnością prawie czarnoksięską. „U nas w urzędzie magister to kuzyn wiedzy, krewniak biurokratycznego czarta, magistracki krętać, którego trzeba szanować choćby dlatego, że należy go się wystrzeżać” – uczył mnie mój Guru.

– Jeśli pani przyjdzie, to ja też przyjdę – obiecałem pani Lucynie.

– Bardzo dobrze, że pan magister będzie. Widzi pan na mojej liście ptaszki przy nazwiskach? Odfajkowałam tych, co powiedzieli, że mogą nie przyjść... Trochę się tym martwię, jak nie będzie quorum, nie będzie można zrobić wyborów.

– Przewidziane są wybory? – spytałem, chociaż prawdę znałem. Ale dobrze poinformowanemu człowiekowi trzeba dać satysfakcję, że jego rewelacje otwierają w umyśle rozmówcy nowy horyzont. Podpytywanie zresztą należało do taktycznych umiejętności wytrawnego urzędnika.

– Flis złożył rezygnację z funkcji – szepnęła.

– Jest nowy kandydat? – odszepnąłem, rozglądając się dookoła, by dać Lucynie dowód, że zachowuję dyskrecję.

– Nie mają jeszcze. Ostatnio ludzie nie chcą przyjmować żadnych funkcji społecznych. Frekwencja na zebraniach też zmalała, a ta, co przychodzi, nie chce nic mówić. Może by pan magister coś powiedział?

– Ale co?

– Obojętnie – szepnęła, jak ja szepnąłem. – Byle było głos ludzki słycać. Można o polityce międzynarodowej. O Marksie i Engelsie. Może o młodzieży? Albo o ruchu robotniczym. Zresztą, o czym pan chce.

- Pomyśle – droczyłem się z pulchną Lucyną.
- Dobrze, wezmę pana w kółko. Zaobrączkuję pana
- szepnęła mi tuż do ucha i tak blisko, że na małżowinie poczułem jej oddech.

W sobotę poszedłem na zebranie i tam przy 67-procentowej frekwencji wybrano mnie sekretarzem partii robotniczej w magistracie. Flis jako uzasadnienie rezygnacji z funkcji podał, że odchodzi z pracy w urzędzie, bo z poręczenia władz wyjeżdża do NRD objąć funkcję pełnomocnika wojewody do spraw Polaków pracujących w przygranicznym becirk. Natomiast ja otrzymałem teczkę nowych akt, pomieszczenie dla egzekutywy, którym był pokój z wejściem do „gołębnika”. Wniosek, bym objął funkcję sekretarza, postawił sam prezydent, gorąco poparli go Wirt i siostra Lucyna, przyłączył się do nich Kaduk. Byłem trochę zaskoczony obrotem sprawy, ale tuż po zebraniu rozważałem całą rzecz po akademicku i urzędniczemu: Flis za odstąpienie od protestu przeciw nasłańcowi dostał lukratywną posadę. Komedia polegała na tym, że Flis nie zdał języka niemieckiego. Ewentualnego kandydata na wiceprezydenta spośród urzędników wybrano sekretarzem, czyli wykluczono z gry. Biurokratyczna sprawiedliwość zatoczyła swoje ćwierćkolisko.

V

Rodzina Ostrowąsów znana była w gminie głównie dlatego, że po ich obejściu łąziło pełno wszelakiego dobra, a w domu rosły trzy dzielne córki. Nawet najmłodsza Agatka, chociaż dopiero do piątej klasy chodziła, za kierownicą fiata sprawiała się jak wytrawny kierowca bez prawa jazdy. Natomiast najstarsza, Irena, potrafiła ojca na kombajnie zastąpić. Nie było w rodzinie chłopaków i dziewczyny musiały wykonywać pewne męskie roboty, jak uprawy pola traktorem, pielęgnacja bukatów czy uprawianie nowalijek pod foliowymi namiotami, co przynosiło domowi niemały dochód. Było dobra wiele i wciąż go przybywało, były dzielne córki, ale ku utrapieniu ojca żadna nie garnęła się iść za rolnika, by objąć schedę po ojcu. Owszem, wzbudzały zainteresowanie okolicznych kawalerów, bo były ładne, posażne, z dobrej rodziny o ładnym nazwisku, za którym stał porządny gospodarz, ale one nie wykazywały skłonności do wiejskich chłopaków. Każda z nich, począwszy od najstarszej Ireny po najmłodszą Agatkę, pozakładała sobie książeczki mieszkaniowe w spółdzielni naszego miasta, oczywiście na koszt ojca, i tym dawały do zrozumienia, że gospodarstwo ich nie interesuje. „Trudno” – mówił ojciec Ostrowąs – „nie będę dzieci do niczego zniewalał. Jak już nie będę mógł pracować, gospodarkę sprzedam, a kupców jest wielu, bo miasto rośnie”.

Teraz szła za mąż średnia Teresa. Było z tego powodu w domu Ostrowąsów wiele swarów. Surowa matka nawet kuksańcami chciała córkę przywrócić do porządku, że niby starszą Irenę w ten sposób do kąta stawia,

ale musiała ustąpić, bo poza ożenkiem już innej rady nie było. Mój Grudzień w dziewczynie życie zasiał. Matka Ostrowąsowa wstyd przemogła i na welon z wiankiem zezwoliła. Na wesele ojciec Ostrowąs przeznaczył trzy wieprzki i dorodnego bukacika. Na kołduny zarżnięto dwa barany. Rosół zgotowano z kilkudziesięciu kur zakupionych w państwowej ubojni, bo swoich szkoda było. Specjalnie wynajęty masarz z miasta dwa dni z pomocnikiem wyroby przyrządzał, a pieprz aż z Frankfurtu przywieziono, bo u nas tej przyprawy brakowało. Ucztę weselną zorganizowano w największej sali gminnej, gdzie odbywają się ogólne zebrania mieszkańców, potańcówki młodzieżowe, różnorakie mitingi przedwyborcze i wesela znaczniejszych gospodarzy. Biedak do sali nie laźł, bo ubogie wesele w landarze wyglądałoby jeszcze biedniej: duża sala dobra jest dla wielu gości, to fakt, o jakim wszyscy w gminie wiedzieli. O randze swego wesela tak do mnie mówił ojciec Ostrowąs: „U mnie, panie magistrze, musi być wszystko w porządku i jak należy. Wesele córki to oblicze gospodarza. Musi być syte i wesole. O wszystkim pomyślałem, wszystko przewidziałem. Wiem na przykład, że wśród gości są tacy, co właśnie lubią, nawet zwady szukają po wypiciu, to im przydzieliłem tęgich opiekunów, którzy będą czuwać, a jak zajdzie potrzeba, klienta wyprowadzą. Na moim weselu nie może być burd”.

Należałem do gości ważnych: magister z miasta, szef pana młodego, ważna fisza w magistracie – o tym Gaśnicka zdążyła krewnym opowiedzieć. Matka Ostrowąsowa wysłuchała jej uważnie, wypytała o stan rodzinny i cywilny. Posadzili mnie na miejscu poczesnym, obok naczelnikowska gminnego z jednej, a leśniczego z małżonką z drugiej strony. Ponieważ ludzi sadzono parami, samotnych kojarzono z samotnymi, żeby każdy

miał towarzystwo. Nad tym protokołem specjalną pieczę miała matka Ostrowąsowa. To z jej przeznaczenia jako towarzyszkę weselnej zabawy dostałem Irenę, najstarszą siostrę panny młodej, miłą szatynkę z piwnymi oczyma. Znacznie później Gaśnicka wyjaśniła mi, że miałem być pewną rekompensatą dla Irenki za zgryzotę, że nie pierwsza idzie za mąż, jak to być powinno. Nie wiedziałem o intrydze i bawiłem sąsiadkę przy stole jak mogłem najlepiej, tańczyłem głównie z nią, jej dolewałem napojów, troskliwie podawałem półmiski, aż widząc to przyszła do nas Ostrowąsowa zapytać, jak się w ich rodzinie czuję. Przysiadł się też ojciec Ostrowąs, gdy któryś z kawalerów porwał Irenkę do tańca.

– Odejdzie panu córka do miasta – powiedziałem.

– Trudno. Jej życie, jej wola, jej miłość. Każdej córce, jak osiągnęła wiek paniński, mówiłem: rozglądaj się uważnie i bierz takiego chłopaka, którego pokochasz. Pewno, że chętniej widziałbym zastępcę w gospodarstwie, nie mam syna, to chciałbym chociaż zięcia, ale jak go na między nie będzie, trudno.

– Dlaczego córki nie chcą zostawać na gospodarstwie?

– Chcą być paniami w mieście. Tu jest ciężka i brudna robota, wieczne uwiązanie, żywe trzeba nakarmić, krowy oddoić, bo inaczej zwierz człowieka nie nakarmi.

– Są maszyny.

– Maszyna wszystkiego nie zrobi. Maszyna jest dobra jak na prąd, a jak elektryczność wyłączą, krowy trzeba rękami doić. Znaczna mitręga. Może trochę się boją.

– Czego? Roboty?

– A tego, że pewnego dnia przyjdą, gospodarza nazwą kapitalistą i krwiopijcą, podatkami i rekwizycjami gospodarstwo zniszczą. Już raz tak było. Irenka mnie siedzącego na beczce ze zbożem pod skupem GS-u pod

napisem: „Tu siedzi kułak, wróg Polski Ludowej” nie pamięta, młodsze tym bardziej. Ale matka często im o tym opowiadała. Wszystkim też mówiła, potwierdzając to fotografią. Niech pan sobie wyobrazi, panie magistrze, że specjalnego fotografa sprowadzili, by mnie upodłonego utrwalić. Fotograf ten do dnia dzisiejszego ma zakład i zdjęcia u niego robię. Kiedy była wymiana dowodów osobistych, pojechaliśmy do niego. Robi nam mistrz fotografie, a żona do niego: „Pan może robił fotografie kułaka na beczce ze zbożem?”

– Różne rzeczy robiłem – powiedział ostrożnie.

– Panie, jakbyś pan taką fotografię gdzieś u siebie znalazł, to ja bym panu pół wieprzka na Wielkanoc nie pożalowała”. Skuszony świnia odszukał kliszę, porobił odbitki. Dostał za nie obiecane pół wieprza, a my otrzymaliśmy pamiątkę tak prawdziwą, że nikt jej nie zaprzeczy. Siedziałem też, panie, jako element wrogi klasowo, kułak ze szlacheckim pochodzeniem, siedziałem nie tylko na ziarnkach, ale i za ziarnka... Pół roku odbasowałem wśród złodziei i degeneratów, a żona sama z całą udreńką została. Widzi pan stół weselny mojej córki? Widzi pan i niech pan sobie wyobrazi, że na Boże Narodzenie w roku 1953 placki kartoflane pieczone na blasze bez tłuszczu jedliśmy z żoną, bo niczego więcej nie było. Dzieliliśmy się tym plackiem jak opłatkiem i płakaliśmy z radości, że wszystko nam zabrali, ale miłości, wierności i uczciwości zabrać mi nie mogli. Napijmy się, panie magistrze. Złe czasy minęły, pijmy, bo żonę mam dobrą, chociaż z chłopów półtoraków pochodzi – córki do niej podobne, wierne i o rodzinę nadzwyczaj dbałe. Niech pan magister nie sądzi, że kobieta pamięć dzieci budowała, by władzy wciąż przyganiać i złość w nich hodować. Co przeszło, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Ostrowąsowa pokazuje córkom fotografię ojca w stanie

jego udręki i zaklina je, by zawsze przy mężu i rodzinie trwały, żony dobre z nich urabia...

Orkiestra z miasta nagle urwała graną melodię tańczoną i ucięła marsza. Wszystkie spojrzenia zwróciły się w stronę drzwi, gdzie witany przez Ostrowąsową i młodych stał uśmiechnięty młody ksiądz. Ostrowąs zerwał się i bąknąwszy „przepraszam” żwawo podążył do kapelana, rozkładając po drodze ręce w geście kordialnego powitania. Orkiestra grała marsza, a ksiądz, ściskając wyciągnięte dokoła niego dłonie, pozdrowiał każdego to uśmiechem, to skinieniem głowy, to słowem, ale rękę, którą chciały mu całować starsze kobiety, przyciągał w dół. Szedł między rozgrzаныmi tańcem ludźmi i tego po plecach klepnął, tego za ucho delikatnie pociągnął, zapewne z jakąś przyganą, tą po policzku pogłaskał, a orkiestrantów pozdrowił ściskając nad głową do nich obie ręce.

– Ma mir wśród ludzi ten ksiądz – powiedziałem do naczelnika gminy.

– Tak. O niego toczy się zajadła walka pomiędzy wsią a kurią biskupią. Nie słyszał pan?

– Nie słyszałem.

– Prasa o tym nie pisze, telewizja tego nie pokazuje, ale ludzie wiedzą... Był u nas stary ksiądz i parafia miała go za dobrego, ale zachorował, musiał poddać się operacji woreczka żółciowego. Na zastępstwo przysłano młodego. Stary wyzdrowiał i poszedł na urlop, przerwa w jego służbie trwała przeszło pół roku, a przez ten czas parafia poznała, co to jest dobry ksiądz i zażądała, by młody został na stałe. Biskup odesłał radę parafialną z kwitkiem, a oni odwołali się do prymasa, następnie do wydziału wyznań przy wojewodzie, nawet posłali delegację do komitetu wojewódzkiego partii.

– I co tam powiedzieli?

– Że im współczują, ale pomoc nie mogą, bo to nie ich fyrtel. Gdyby o sekretarza chodziło, to inna sprawa.

– I młody został.

– Został i nie został. Kuria go nie zatwierdziła, ale przedłużyła mu zastępstwo, a tamtemu księdzu kurację. Parafia uznała się zwycięską i z nim fetuje swoją wiktorię. On zaś chodzi po gminie jak objawienie i żadnej akcji społecznej nie można bez niego zrobić.

– A skłania się ku temu?

– Wszystko, co pożyteczne, popiera. Stary ksiądz wciąż wołał, by ludzie dawali na kościół, a ten im mówi: „Dawajcie na fundusz zdrowia, bo to człowiekowi potrzebne. Zdrowie jest darem bożym, szpital stoi po to, by zdrowie ludzi ratować”. Potrafi rozmawiać z chłopakami o piłce nożnej, z dziewczynami o fryzurach, z matkami o dzieciach, z gospodarzami o uprawach. Czy pan wie, panie magistrze, że nasza gmina zajęła pierwsze miejsce w zbiorce na fundusz zdrowia?

Wreszcie ksiądz w towarzystwie młodych i rodziców zajął miejsce u czoła stołu, a orkiestra poderwała ludzi do tańca. Irenki nie było przy mnie. Jako najstarsza siostra chwilami zastępowała matkę przy zarządzaniu obsługą weselną. Tedy ja poszedłem tańczyć z Gaśnicką.

– Widzę, że pan dobrze bawi moją kuzynkę.

– Los mi ją przydzielił jako partnerkę uroczystości.

– Tym losem jest ciotka Ostrowąsowa. Sama słyszałam, jak mówiła do kumy, by popatrzyła, jakiego Irenka ma szykownego kawalera. Swatają pana, panie magistrze, ale to chyba nie przeszkadza, by pan czasem ze mną zatańczył.

– Już tańczę.

Znacznie później, już po poprawinach w klubie, dowiedziałem się, że przyjście księdza na ucztę weselną nie było zwykłą kurtuazją kapłana wobec zamożnego

gospodarza, ale miało ogromne znaczenie obyczajowe. Ludzie we wsi pamiętali, że przed trzema laty podobna przygoda co Ostrowąsównie przydarzyła się młodej Ciecierskiej, ale wtedy parafią zarządzał ksiądz stary, kapłan niezmiernie skory do nauk i nagan. Prawda, że pokazanej dziewczynie ślubu udzielił, ale później, anonimowo, chociaż tak, że każdy wiedział, o kogo chodzi, wypominał jej wianek ślubny z kwiatkami, które tylko niewinność stroić mogą. Przed weselem cała wieś wiedziała, że Ostrowąsowa była u księdza po radę, co czynić, jak już im się to przydarzyło. Parafianie wiedzieli, że Tereska przystąpiła do ślubu po spowiedzi, że ślubu im ksiądz udzielił, ale nie wiedzieli, jak będzie dalej postępował. Czy będzie ganiał i piętnował jak stary? A ksiądz przyszedł i bawił się aż do oczepin i w następnym kazaniu mówił, że prawdziwym sakramentem, który kościół rękami kapłana błogosławi, jest miłość ludzka. Bóg człowieka stworzył, by z jego woli miłość rozszerzał, bowiem chwalcąc miłość, chwali Boga w jego najdoskonalszym dziele ciągłego stwarzania człowieka. Kazanie wiernie powtórzyła mi Gaśnicka, dla której miłość była najpiękniejszym spełnieniem się człowieka. Tak więc rodzina Ostrowąsów po okresie domowej sromoty szybko wróciła do równowagi, a matka Ostrowąsowa pysznie rozprawiała z sąsiadkami, że jedna córka ma magistra, a do drugiej magister cholewki smali. „O mało ją pycha nie rozbodzie” – gadały zawistne sąsiadki po weselu, ale Ostrowąsową to mało obchodziło: wyposażyła córkę w wiano w postaci mebli ze Swarzędza i samochodu, a teraz czekała na wnuka i na rozwój znajomości Irenki ze mną, o czym ze złośliwym upodobaniem opowiadała mi Gaśnicka: „Ciotka to wielkiej zacności i dzielności człowiek, ale jest niezwykle pazerna przy urządzeniu domu. Chciałaby widzieć swoje córki księżniczkami: zobaczyła czerwonego starościca i go

wabi dla Irenki. Nie wiem, czy pan się z tego wywinie, bo ciotka jest twardym zawodnikiem”.

Na poprawinach w klubie hulała prawie połowa młodzieży magistrackiego urzędu. Byłem tam z racji szefostwa wobec pana młodego, a także, jako kawaler, byłem zaliczany do młodych. Gaśnicka należała do rodziny. Wesele odbyłem w parze z Irenką, a na poprawinach jej miejsce zajęła Gaśnicka, co dokładnie zaobserwowała młoda mężatka, prawdziwa córka matki Ostrowąsowej. Ponieważ Irenka nie mogła przyjechać z powodu grypowej niedyspozycji, młoda mężatka powiedziała, że byłaby cała rodzina Ostrowąsów rada, gdybym jutro chorą odwiedził. Zaproszenie to zrozumiałem należycie. Wszak nie odwiedza się podczas choroby ludzi obojętnych: jeżeli pojadę, zostanę przyjęty jako oficjalny konkurent do ręki Irenki. Matka Ostrowąsowa postara się nadać tej wizycie należyty rozgłos.

– Od jutra ciotka Ostrowąsowa zacznie planować nowe wesele – judziła mnie Gaśnicka, a ja jakby na przeciw wyzwaniu, brałem do ręki jej długie pukle kasztanowatych włosów i pytałem:

– Ile w tej miedzi jest złota? Jaka jest jego próba?

– Najwyższa – odpowiedziała i poszła tańczyć z panem młodym.

Bractwo urzędnicze, na co dzień karmione wędlinami przemysłowego wyrobu, wartko zajadało wiktuały domowej produkcji, zapijało wódką z Pewexu i poprawiało prawdziwym Żywcem. Najnowsze przeboje grał adapter kolumnowy. Najedzone, rozgrzane alkoholem i tańcem ciała coraz szczelniej przywierały do siebie. Już ten i ów podcałowywał partnerkę w tańcu, inny szeptał do ucha czułości, od których wstrząsały dziewczynami małe dreszcze. Około północy, podczas najmocniej rozjarzonej zabawy, po drugim kawałku tanecznym, Ewa Gaśnicka szepnęła do mnie cicho:

– Chodźmy.

– Gdzie?

– Gdzie oko nie sięga. Chodźmy – powtórzyła prawie stanowczo i w tańcu pociągnęła mnie do drzwi. – Wczoraj miałam dyżur w urzędzie i nie zdałam kluczy. Chodźmy.

Weszliśmy do magistratu i tam na dywanie gabinetu prezydenta miasta zaczęła się nasza gorąca miłość, nasze urzeczenie sobą i wielkie utrapienie trzech rodzin: Ostrowąsów, Garbarzy, a zwłaszcza matki Garbarzowej, że jej pierworodny, zamiast pojąć porządną dziewczynę, zaczął grzeszne kochanie z ożenioną kobietą, i Gaśnickich, bo wszelkie gadanie ludzkie, że Gaśnicy już nie są małżeństwem, miało znaczenie plotkarskie, a teraz Ewa, nie kryjąc się z niczym i przed nikim, opowiadała na prawo i lewo, że znalazła mężyczynę, jakiego w życiu szukała. Donosiła mi o tym smutnawo i jakby z żalem siostra Lucyna. W sprawie mojej niewierności interweniowała u mojej matki Ostrowąsowa. Bowiem ja, zgodnie zresztą z obietnicą daną Teresce, odwiedziłem chorą Irenkę pierwszy i ostatni raz, co jednak Ostrowąsowa uznała za oficjalne zmówiny, jak takie spotkanie w jej okolicach nazywano. Teraz wyglądało na to, że zmówiony kawaler bryknął, a panna została pod ścianą. Wielka gorycz musiała opanować dziewczynę, bo w jakiś czas po weselu zgadała się z koleżanką szkolną, że pojedzie odwiedzić ją w RFN i w paszportowym terminie nie wróciła. Wtedy Ostrowąsowa w wielkiej determinacji przyszła do matki Garbarzowej i powiedziała z prostą otwartością: „Syn pani, kochana pani, wygnał ją z Polski. Sparował się z tą rudą wiewiórą i nam dziecko unieszczęśliwił, nas sromotą okrył”.

– Widzisz, coś ty narobił – mówiła do mnie matka w prawdziwej złości. – Przez ciebie rodzice dziecko stracili. Porządnej dziewczynie głowę zawróciłeś i związałeś się z pokątną wycieruchą.

– Jeżeli mamusia nie przestanie Ewy wyzywać – powiedziałem – moja noga więcej tego progu nie przestąpi.

– Tak mocno cię omamiła? Opamiętaj się, synku, przecież ona żeniata z twoim szkolnym kolegą. Trzy rodziny unieszczęśliwiliście. Ojciec chodzi strapiony – mówiła, wycierając suche oczy rogiem fartucha, bo matczka moja do płaczu wcale skora nie jest.

Na ojcu jednak zbyt wielkiego frasunku nie widziałem. Jeżeli wszystko u człowieka przechodzi normalnie, to wplątywanie i wyplątywanie się z jego życia kobiet jest czymś błahym. Rozumował zawsze z dużą roztropnością. Owszem, zapytał mnie raz, czy związek „z tą kobietą” nie przeszkodzi mi w życiu? Cóż mogłem powiedzieć? Byłem świadomy rzeczy. Powiedziałem, że w tak zwanej karierze na razie może przeszkodzić, ale po pewnym czasie, gdy ludzie zobaczą, że związek jest trwały, przywykną. Za te niedogodności mam szczęście osobiste. Coś za coś. Ojciec zamamrotał pod nosem, zapewne z podpuszczenia matki, a za parę dni znów wrócił do tematu, pytając czy o tej Gaśnickiej myślę poważnie? Niby nie wiedział, niby nie powiedziałem mu w pierwszej rozmowie. Odrzekłem serio, że nie wiem jeszcze, jaka będzie przyszłość naszego związku, ale czy kiedykolwiek słyszał, by para świeżych kochanków nie sądziła, iż miłość ich największą jest i dozgonną. Ojciec potwierdził, że nigdy czegoś takiego nie słyszał, ale ostrożnie zapytał, co zrobimy z jej byłym ożenkiem. By ten ważny problem doraźnie rozwiązać, Ewa załatwiła sobie w kwaterunku rotacyjną kawalerkę i odeszła od Gaśnickiego, by nie gadano, że żyje z dwoma mężczyznami naraz, co wynika z jej nieokiełznanej natury, jaką zohydziła ciotka Ostrowąsowa.

Natomiast my byliśmy sobą oczarowani. Przecież Ewa miała w dorobku życia staż małżeński. Ja też nie

mógłbym przysięgać dziewictwa, ale dotąd nie wiedziałem, że może chodzić po ziemi taka kobieta jak Ewa. Dopiero przy niej poznałem, czym mogą być rozkosze miłosne: pragnąłem jej, kiedy leżała obok mnie rozebrana, pragnąłem, kiedy chodziła ubrana po urzędzie, pożałowałem, gdy dla żartu lub miłosnej igraszki telefonowała do mnie z drugiego piętra. Wciąż chciałem ją mieć przy sobie. Pragnąłem jej głosu, dotyku, uśmiechu, herbaty z jej rąk, jabłek obieranych jej palcami, wciąż było mi mało oświadczeń, że mnie kocha, jak nigdy nikogo nie kochała, odurzał mnie jej zapach, przysłał świat blask jej włosów. Nawet teraz, w piękny wrześnieowy dzień, kiedy myślę o niej, w głowie powstaje bolesny szum. Może to tylko szelest igieł w wysokich koronach drzew, może jesienny pogłos wspomnień, a może jedno i drugie... Zapewne nie nasyciłem się nią dostatecznie, nie zdążyłem. Sprawa nasza nie ucichła jednak tak wcześnie, jak początkowo sądziłem. Zabierali głos magistracy Katonowie, że sekretarz na początku partyjnego urzędowania rozbija małżeństwa, to rozpuszczono pogłoskę, że matka Ostrowasowa do spółki z Garbarzową zaniósł do kościoła intencję, by ksiądz odprawił nabożeństwo na rzecz naprawy uwiedzionego przez wszetecznicę Henryka. Ksiądz w gminie intencji nie przyjął, ale nasz katedralny mnie wysłowił, a w magistracie temat rozbito językami o podniebienia aż do plotkarskiego upojenia. Z tej przyczyny była nawet w naszym domu pewna awantura, albowiem ojciec, gdy o machinacjach matki dowiedział się, wpadł w gniew i spytał mamcię głośno, czy kadzić mnie zechce? Czy lubczyku zadawać będzie? Może do wróżki pójdzie? Wymówkami drogę mamusi odpowiedział. Poszła do Cyganki – sama później wyznała – ta zaś z kart odczytała autorytatywnie, że upłynie trochę czasu, ale niezbyt wiele

i „walet z damą się rozłączą”. Najważniejsza sprawa miała jednak dopiero nadejść. Na razie były jej zezowate sygnały. Zauważyłem, że pracownicy urzędu obrzucają mnie ukośnymi spojrzeniami, a panowie, nawet najbliżsi znajomi, spotykając mnie na korytarzach magistratu, mrużyli oko, jakby w szelmowski sposób dając mi do zrozumienia, że wiedzą więcej niż mówią.

– Czy zauważyłeś coś szczególnego w zachowaniu koleżanek biurowych wobec ciebie? – spytałem raz Ewy.

– Nie. Ale zaczekaj – powiedziała – niektóre omijają mnie z nadętą twarzą, tak jakby im ktoś ponurnicy pod skórę wszczepił.

– Do mnie mężczyźni robią oko – odrzekłem.

– To o nas te miny.

– O nas – potwierdziłem i padliśmy sobie w objęcia.

Cudowny stan. Najwspanialsza sytuacja, jaka może zaistnieć; wszystko, co chce ludzi dzielić, jeszcze mocniej ich łączy.

VI

Na wczasy w roku 1980 miałem wyjechać zgodnie z planem urlopów ułożonym w początkach marca. Moje trzy tygodnie miałem odbyć tuż po Ewie. Autokar, co ją odbierał, miał dowieźć mnie do Mrzeżyna, gdzie usytuowany był ośrodek campingowy województwa, z którego korzystał nasz magistrat. Razem z Ewą robiliśmy wszystko, by grafik urlopowy urzędników dostosować do naszych potrzeb, ale skorych na zmianę nie było i musieliśmy urlop spędzić oddzielnie. Ewa miała kwaśną minę, nie rad byłem ja, ale zadowolona była matka Garbarzowa, która aż do Ostrowąsowej kartkę wysłała, że „na wczasy jadą osobno, może Bóg da odmianę”. Od poprawin weselnych aż po wczasy w moim życiu zaszła ta zmiana, że mieszkałem w dwóch miejscach: na Dolinowie, gdzie rodzice mieli domek i małą działkę ziemi oraz w śródmieściu, gdzie rotacyjną kawalerkę zajmowała Ewa. Początkowo przychodziłem do niej ukradkiem, kiedy mrok przysłonił podwórza i korytarze, a z człowieka robił cień, ale po tygodniu szedłem do kobiety jako prawowity właściciel miłości. Przestało nas interesować ludzkie gadanie. Otworzyliśmy własny nawias życia: tam najpiękniej śpiewały nam ptaki, dojrzewały owoce, dla nas wiatr falami układał trawę na łące, brzęczały pszczoły, zakwitały kwiaty. Mógłbym trochę poopowiadać o naszych nocach tej wiosny i lata, ale nie widzę potrzeby, bo każdy ma własne doświadczenia z kobietą, które nie są mniej upojne od naszych, a każdy bez mego gadania wie, co trzeba robić, gdy każdy jej półruch, półoddech, półgest, każde

wyciągnięcie nogi nad pościel powoduje szum w uszach, suchość w ustach i pulsowanie krwi. Wtedy kładziecie rękę na jej łono lub pierś i to są wasze pierwsze ruchy, po których przychodzi męska gwałtowność lub poddanie się naporowi kobiety, która jest nie mniej zachłanna niż wy, porywani wśród gwiazd. Przyszając, że wspomnienie tego, co działo się między nami, wyprowadza mnie z równowagi. Czasem nawet mam wrażenie, że właśnie zrobiła jedną ze swoich sztuczek: pobiegła w las, okrążyła miejsce biwakowania, weszła do wody, gdzie zanurkowała, by wynurzyć się tuż przed moimi oczyma. Może za chwilę wróci. Usiądzie mokra na grubej ławie obok, a ja będę gotowy, jak zawsze, do spełniania miłości, bowiem owo wielkie „to” stawało się między nami nagle i w miejscach najmniej oczekiwanych. Nawet w wodzie, kiedy płynęła na dętce samochodowej, a ja szalałem pod nią jak podbierany lin, a nawet podczas magistrackich dyżurów na ślubnym kobiercu Urzędu Cywilnego, na dachu przy ulicy Strzeleckiej, gdzie za osłoną wywietrznika Ewa lubiła odbywać kąpiele słoneczne, chociaż o ruchu naturystycznym nie miała dobrego mniemania. Goły mężczyzna na plaży był w jej oczach śmieszny. „Najkomiczniej wyglądał, kiedy biegł” – mówiła – „co mogło, tryndało mu się jak niepotrzebny wisior”. Mężczyzna, zdaniem Ewy, nago prezentował się dobrze tylko w czas gotowości i dzielności miłosnej. „Oczywiście można sobie wyobrazić kogoś biegnącego do ciebie przez plażę w nabrzmiałej gotowości, a ty czekasz otwarta i zaciśnięta, i czekasz, w którym momencie to nastąpi, i czujesz, że cię tłamsi, odbiera ci oddech, że jest to ten, co biegł, to można sobie wyobrazić” – mówiła, jakby podmawiając mnie do roli hoplity – „ale kiedy on schyla się po muszelkę na plaży, a moc jego zwisa do piasku, jest kadcześnie śmieszny” – mówiła, bawiąc się moją oklapłością,

a na jej ustach błdził nikły uśmiezek. Ja zaś leżałem obok pokornie i z pewnym poczuciem winy, że nie mogę w tym momencie wstać, stanąć w najodleglejszych kącie pokoju i zaszarżować na kochankę, jak mi podpowiadała. Nauk jednak nie traktowałem jako kobiecego wyuzdania. Ewa robiła wszystko naturalnie, jakby z przeznaczeniem tylko dla mnie i jakby tylko przeze mnie jej zachowanie było wywołane. Do dziś wierzę, że tak właśnie było w jeziorze, na kajaku, na dachu, na szerokim narożniku w jej mieszkaniu, w namiocie, skąd nie wychodziliśmy przez cały deszczowy dzień, na dywanie w USC, także w ciemnym wagonie pociągu, kiedy wracaliśmy od znajomych. Niejednokrotnie po nocy i poranku spędzonych z Ewą dziwiłem się, skąd biorę aż tyle fallicznych mocy. Chociaż kobiety przed Ewą nie miały powodów mnie ganić, a były takie, co szeptały: „Ty zaprzeczasz, że duzi mężczyźni mają małe organa”, ale z nią chciałem obcować, gdy przy mnie była i gdy jej nie było. Nie znajdowałem innego objaśnienia, jak to, że znalazłem największe szczęście życia – wielką miłość. Czasem przychodziła mi do głowy trwoźna myśl, że przecież stan wielkiej aktywności nie może trwać wiecznie, a tym samym niepokój, co będzie, jak rzeczywistość zapadnie w jakiś dół, gdzie chlapią się sensne żaby? Od poprawin nie rozstawaliśmy się, a teraz ma odjechać.

– Nie będziemy razem tylko trzy tygodnie – powiedziała uspokajająco, wsiadając do autokaru.

Skinęła głową, zapraszając mnie uśmiechem, a ja zrobiłem krok w tył, bo pojazd już ruszał. Machnąłem ręką aż zniknęli w ruchu ulicznym, powtarzając sobie, że pojedę, ale nie pojechałem: połączenia naszego grodu z Mrzeżynem były i są kiepskie, kolega, z którym miałem jechać, rozkraczył sobie samochód. Byłem jednak gotowy przeszkody komunikacyjne pokonać, gdyby nie fakty, jakie

po wyjedzie Ewy zatrzymały mnie w urzędzie. Teraz zupełnie osiadłem w mieszkaniu przy Strzeleckiej. W domu rodzinnym bywałem gościnnie: trzy zdania o sytuacji ogólnej z ojcem, dwa o życiu osobistym z matką, która w tym czasie stała się trochę jędzowata. Jedno zdanie z siostrą. Zresztą sytuacja siostry – chodziła zupełnie serio z jednym badylarzem – skłoniła mamusię do nowej interwencji w sprawie Ewy. Pewnego popołudnia siedziałem przy lekturze biuletynu specjalnego PAP, jakie udostępniał mi do przeczytania prezydent miasta, gdy do drzwi Ewy zapukała ręka mojej matki. Byłem zaskoczony jej przyjściem. Spłoszony zapraszałem mamusię do wejścia, pytając:

– Skąd mamusia ma ten adres?

Spytałem głupio, ale czy można w takiej sytuacji zadawać mądre pytania? Przecież wiedziałem, że mama potrafi wyczyniać rzeczy, jakie ojcu zadrami za paznokcie laży. Co by się stało, gdyby matczyisko doszło do wniosku, że musi mnie odpędzić od Ewy przy jej obecności? Co miałbym wtedy zrobić? Przy kim stanąć, gdyby na przykład matuleńka przyniosła kosz zgniłych jaj, by wszeźtecznie zbukami obrzucić? Albo gdyby zapaliła nam pod drzwiami mieszaninę ziół rozpędzających kochanków, jaką już raz podłożyła pod drzwi sąsiadki, gdy doszła do wniosku, że ojciec, spoglądając na nią, wąs gładzi. Pochyliłem się do ręki matczynej, by ją z należytym szacunkiem powitać, ale mamuś ręki nie dała i rzekła:

– Nie do adresu przyszłam, a do syna. Chodzi zresztą nie o ciebie, ancymona, a Małgosię, która za mąż za porządnego człowieka ma iść i nie pozwolę, byś jej opinię psuł.

– Niech mama usiądzie, porozmawiamy – powiedziałem, podsuwając matce krzeselko. Wyjęła z koszyka kawałek płótna – widać taki cyrk sobie przygotowała i dokładnie, jakby celebrując rozkładanie szmaty na siedze-

niu, nakryła krzesło, dopiero na tym przycupnęła lewym poślądkiem, by obu dotykaniem do heretyckich sprzętów nie skalać.

– Nie przyszłam rozsiadać się i gościć, bo taka gościna nie dla mnie.

Widziałem, że już przemyszkowała wzrokiem każdy kącik, bo matuś moja potrafi widzieć nie patrząc.

– Chcę sprawy rodzinne załatwić. Powiedziałam, że chodzi o siostrę. Dziecko nie może ze zmazą na nazwisku do ślubu iść.

– Nic nie zrobiłem, co by pokalało nasze imię.

– Zrobiłeś! Nie będę wypominać ci Warszawy i jeziora, było, minęło, sto lat jak wilk kobyłę zjadł. Teraz w grę wchodzi szczęście Małgosi. Siostra nie może przez twoje paskudztwa cierpieć.

– Może mi mama powiedzieć, czym zadaję cierpienie siostrze? – rzekłem, bo już ochłonąłem i byłem nawet gotowy do sporu.

– Całe miasto opowiada o waszych bezwstydnosciach. Cały magistrat was potępia.

– Przecież nie przeczę, że z Ewą żyję. Mamusi pewnie chodzi o to, bym na wesele siostry z Ewą nie przyszedł?

– To jest wykluczone, ale teraz o dywan idzie.

– O jaki dywan? – wygrduliłem z siebie pytanie.

– Magistracki – matka zobaczyła moją reakcję i wstała z krzesła, jakby ją ktoś szpilorem w zad dźgnął.

– O magistracki kobierzec, gdzie ludzie stają, by wypis ślubny do sakramentu czynić.

– Co mówią o dywanie?

– Bez grzechu wstyd powtarzać, ale ty grzechu nie uznajesz, mówią – zatwardziały komunista jesteś – powiadają – niczego nie uznajesz – głoszą – razem z tą tutaj dywan w USC brukacie. Widzieli.

– Plotą, mamó – powiedziałem niemrawo.

– Widzieli cię. Sprzątaczką, zwykłą sługę, wiadomość bezcenną ludziom rozpowiedziała. Stała za uchylonymi drzwiami i patrzyła, jak paskudzicie się na dywanie rudo i grzesznie. Bunt w mieście się szykuje, młode pary nie będą na zafajdanym kobiercu stawać. Liga Kobiet przeciw wam wystąpi.

Z Ligą Kobiet w tych sprawach nie ma żartów. Każda tam rozwiedziona, porzucona albo inaczej nieszczęśliwa. Najporządniejszego człowieka potrafią zgnoić. Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego kierownik USC całą godzinę mnie dręczył, bym razem z nim interweniował u prezydenta w sprawie nowego wyposażenia sali ślubów. Nie powiedział ni słowa o wieściach, jakie na pewno przeniknęły drzwi urzędniczych pokojów. Przyszedł do mnie jako do współwinnego, bym dla dobra społecznego poparł go w staraniach o modernizację urzędu. Nielatwo było pomóc magistrowi Siwemu. Handel zaczął przeżywać arytmieję. Brakowało nie tylko dywanów, które nagle zaczęto masowo wykupywać, ale odkurzaczy, pralek zwykłych i automatycznych, lodówek, maszyn do szycia, rowerów. Zdało się nagle, że otwarto wielką studnię, do której cała produkcja zapadła. Zaczynało brakować podstawowych artykułów spożywczych: mięsa, masła, margaryn, olejów, nawet ryb. W prasie miejscowej i centralnej pisano o brakach w zaopatrzeniu, standardowo obwiniając o brak cukru i mączki ziemniaczanej inwalidów i rencistów, którzy stoją w kolejkach od świtu i wykupują towary, by nimi spekulować. Dość często telewizja pokazywała wykryte przez milicję tajne składy, gdzie w workach cukru renciści trzymali poutykane sztorcem półlitrowki spirytusu. Nawet beesy rzeczowo informowały o narastających brakach. Znalazłem

tam, tuż przed przyjściem matki, po raz pierwszy w okresie powojennym użyte słowo „kryzys”. Pojęcie kryzysu było mi znane, przecież na studiach zdawałem egzamin z ekonomii politycznej, ale był to termin zarezerwowany dla kapitalistycznego sposobu gospodarowania. Nasza encyklopedia informowała *expressis verbis*, że „kryzys (gr.) poważniejsze załamanie procesu gospodarczego występujące w gospodarce kapitalistycznej”. A pod hasłem „socjalizm – uspołecznienie środków produkcji umożliwiło (równocześnie stworzyło jego konieczność) centralne planowanie gospodarki narodowej, które eliminuje kryzysy ekonomiczne”. Tak to jest, myślałem po wyjściu matki o dwóch sprawach naraz. Jeśli są symptomy kryzysu, a premierem rządu jest były przewodniczący planowania gospodarczego, to może nauka, jaką brałem, jest błędna? Jeżeli są u nas znamiona kryzysu w sklepie i w piśmie, jak ja mogę wystąpić o nowe wyposażenie dla USC? Jak mogę Siwemu i sobie pomóc? Jeśli plotka, że razem z Ewą brukaliśmy kobierzec USC jest już wiedzą powszechną, to co robić? Czy go zbrudziliśmy? Czy miłość może cokolwiek zbrudzić? Czy moje aktywne poparcie dla USC w tym momencie nie będzie dodatkowym smarowidłem dla ludzkich jęzorów? Jak obejść zakaz wojewody, by handel nie sprzedawał atrakcyjnych artykułów instytucjom państwowym? Czy nie dam złośliwcom dodatkowego materiału do krytyki mnie jako sekretarza partii: we mnie – to w partię, uczono mnie na kursach ideologicznych. Co zrobić? Wojskowi mówią, że najlepszą obroną jest atak, ale czy nie będzie to atak Leonidasa pod Termopilami?

Matka już dawno opuściła gniazdo grzechu, a ja siedziałem zamyślony z plikiem powielaczowego papieru w rękę, na jakim odbijane były beesy.

Nie pamiętam, czy tej nocy spałem dobrze, czy też źle, ale następnego dnia rano poszedłem do magistra Siwego, by mu powiedzieć, że ma moje poparcie, nawet gorący aplauz dla wniosku o pomoc. Tylko że trzeba raz na zawsze z tą sprawą zrobić porządek – basowałem – nie-dopuszczalne jest, by USC mieścił się w dwóch klitkach – grzmiałem. – Musimy zbudować Pałac Ślubów.

Siwy zdrętwiał z wrażenia. Z rewelacyjną supozycją poszliśmy zaraz do prezydenta, ten z nami do przewodniczącego Stója, zaczem zwołano błyskawiczną naradę, poproszono prasę. Następnego dnia w gazecie wydrukowano artykuł pod wymownym tytułem „W Urzędzie Miejskim powiało optymizmem. Młode pary będą wstępować w związki małżeńskie w nowym Pałacu Ślubów”. Wzrosło zainteresowanie mieszkańców ciekawym tematem i nasz patrycjusz nie mógł odmówić środków na głupi dywan dla USC. Przyznaję, że z mojej strony był to urzędniczy manewr, za pomocą którego sprawę zbrukania dywanu przytłumiłem wnioskiem o budowę Pałacu Ślubów. Jak mogło się jednak stać, że roztropni ludzie pozwolili wciągnąć się w sprawę, która zresztą przerosła moje zamierzenia? Mnie chodziło o stworzenie zasłony dymnej, a oni utożsamiali się z budową.

Wspomniałem już, że w sklepach były znamiona kryzysu. Nasi kierownicy od pewnego czasu byli chorzy na brak sprawy, która mogłaby zespolic uwagę społeczeństwa. Ataki na rencistów nie skutkowały. Trzeba było czegoś pozytywnego, aktywizującego. I dałem im trop. Pogonili w piętke, chyba zdając sobie sprawę z szalbierstwa. Prezydent z mego wniosku uczynił program działania urzędu. Trzy razy o pałacu mówił w swych wystąpieniach wojewoda. Oczywiście na mnie spadły ważne obowiązki organizatora czynów społecznych na rzecz pałacu.

Prace poszły wielokierunkowo. Architekci natychmiast przystąpili do projektowania budynku. Pracowali dzień i noc. Ekipy z zakładów pracy przychodziły równać teren wskazany pod budowę. Ja na mitingach wygłaszałem mowy, pisałem apele, układałem grafiki prac, kiedy równać teren mają urzędnicy wojewódzcy, kiedy policjanci, kiedy mleczarze i mięsiarze. Wojewoda wstępnie wynalazł środki na poparcie ważnego czynu społecznego – wziął je z funduszu zdrowia i z rezerwy przeznaczonej na akcję przeciwpowodziową. Wszystkie prace wykonywałem bardzo chętnie. Wszak hałas, jaki powstał wokół budowy, skutecznie głużył plotkę o Ewie na dywanie. Wreszcie doprowadziłem do tego, że na budowę wjechał ogromny spychacz i zaczął kopać dół pod fundamenty. Gazeta opublikowała zdjęcie maszyny, a obok krótki wywiad z prezydentem, który uprzejmie wymienił mnie jako organizatora czynów społecznych. „Młodzi budują swój Pałac Ślubów”, to było stałe hasło rubryki gazetowej, w której czytelnik znajdował informacje, kto i ile w danym dniu zrobił. Dół rósł w ziemi, a projektu budowy jeszcze nie było, ale był wywiad z architektem, który zapewnił mieszkańców, że architektura nie zawiedzie. Zlecono także opracowanie projektu wnętrza. Czy mogłem w tej sytuacji jechać do Mrzeżyna? Prawda, że ten i ów urzędnik magistratu kręcił głową z wielkim zdumieniem, że człowiek prawie skompromitowany, nawet w opinii magisterskiej pogrzebany, zażywa nowego miru. Ale to byli zwykli przytakiwacze, którzy skinieniem tego, co na szyi noszą, potrafią każde głupstwo zatwierdzić i każdą mądrość utłuc. Mniejsza z nimi. Tylko magister Kaduk, pod wąsy którego wpływało tyle kieliszków, co wlatywało jaskółek do gniazda, tylko ten bystry człowiek powiedział szczerze: „Cwaniak z pana, panie kolego, niebywały

krętacz i lawirant. Podziwiam pana. Trzeba być dobrym intrygantem, by prezyduszy miejskich i wojewódzkich wławirować w taką sprawę. Będę zawsze z panem, bo lubię ludzi, co innych sobie wokół palca owijają”.

Mimo nawału prac społecznych na wczasy pojechałem w terminie. Decyzją prezydenta harmider organizatora czynów społecznych na rzecz USC przekazałem magistrowi Siwemu: klął mnie, matkę mi znieważał, ojca poniżał, bo wiadomo, że jak ktoś pozbywa się paskudztwa, to nie dlatego, by je po wczasach z powrotem przyjmować. Wiadomo, że każdy czyn społeczny żwawy jest w fazie początkowej, później sunie jak kulawy po mulistym gruncie. Ale dlaczego zgodzili się zamienić mnie Siwym? Miałem urlop. Ileż to urlopów ludziom przerywali! Mnie zaś puszczano, ledwie napomknąłem, że mam wykupione wczasy. Stałem się popularny i trzeba mnie było sprowadzić do parteru. Nigdy jeszcze intryga przeciwko mnie nie trafiła tak mocno w moje chęci. Intryga wypierała intrygę.

Obdarzony przez Siwego życzeniami wiecznej zgagi, magistrackim autokarem pojechałam na turnus do Mrzeżyna. Nie widziałam Ewy całe trzy tygodnie, co znaczy dwadzieścia jeden wieczorów, tyleż nocy z porankami, razem wiele, wiele jednostek miłosnego czasu. Pracowałem w magistracie i tęskniłem. Sypiałem u niej, ale bez niej, rozmawiałem z nią bez niej, przechwalałem się, jak odsuwam od nas niebezpieczeństwo. Otwierałem szafę z jej sukniami i chłonałem pozostawiony tam zapach kochanki. Może matka ma rację? Może zadała mi siebie kasztanowata czarownica. Skoro odsunąłem od siebie czyny społeczne, prawie natychmiast o nich zapomniałem. Teraz na pierwszy plan weszła Ewa: była ze mną podczas przygotowań wyjazdowych, była w trakcie przymulonej nocy, była, gdy wsiadałem do autokaru.

Wiedziałem, że w Mrzeżynie pojazd wjedzie na zaokrągloną polanę, w środku której jest wyłożone kamieniami miejsce na ognisko. Tam dotychczasowi wczasowicze zniosą manele, tam będzie czekać Ewa. Powitamy się i pożegnamy w przelocie, kiedy ja będę wychodził z torbą, ona będzie zajmować miejsce w autokarze. Chyba że pan kierowca tak pokieruje jazdą, że obdarzy nas godziną czasu. Podczas celowo zaaranżowanej rozmowy podsunąłem szoferowi myśl o odpoczynku.

– Wszystko zależy od tego, jaki będzie przejazd. Jeśli bezawaryjny, wygospodarzę trochę czasu. Pan wie, jak to jest. Ci, co wracają, chcą wracać prędko. A jeśli pan magister mówi, że muszę odpocząć, to muszę.

Tak więc wyjeżdżając z miasta prawie zawarowałem sobie godzinkę dla Ewy. Gdyby wiedział o tym Kaduk, nazwałby mnie intrygantem do kwadratu. Jechaliśmy szparko. Kierowca trzymał pojazd na granicy maksymalnej szybkości dopuszczalnej względami bezpieczeństwa drogowego. Siedziałem obok kierownika Wydziału Sportu i Turystyki, który był pasjonatem piłki nożnej i piosenki. W pierwszej fazie słuchania jego wynurzeń trochę zaskoczyło mnie zestawienie zainteresowań, ale gdy później o tym myślałem, doszedłem do wniosku, że oba te przejawy życia społecznego należą do identycznego pnia: kiedyś było to „Panem et circenses”, a dzisiaj jest godziwym odpoczynkiem ludzi pracy. Kiedyś patrycjusze urządzali igrzyska dla plebsu, dziś dają ludowi rozrywkę jego wybrańcy. W naszej Akademii nie mówiliśmy o sporcie i piosence. Sprawy te były niżej poziomu dyskusji, jak je usytuował magister Jałowiecki. Słuchałem więc w autobusie głosu z drugiej strony Styksu, kiedy sportowiec ze szczególną pasją atakował dyrektora największego zakładu przemysłowego za to,

że ten dużą halę, gdzie można byłoby rozgrywać mecze siatkówki i koszykówki, przekazał dla Biura Wystaw Artystycznych na stałą salę ekspozycyjną. Mój współtowarzysz podróży twierdził, że wbrew pozorom, dyrektor Berda jest barbarzyńcą. Obiecywał mu srogą zemstę kibiców rozgrywek sportowych, których w mieście jest sto razy tyle, co miłośników sztuki. Ogłaszał go szkodnikiem, którego prędzej czy później musi osiągnąć karząca ręka ludu. Patrycjusz ten pozwala sobie na lekceważenie mieszkańców dlatego, że należy do egzekutywy KW partii, a ci już z nikim się nie liczą i kosztem narodu tworzą własną ekskluzywność. Sztuki mi się zachciewa. Kiedyś magnaci kupowali obrazy i ozdabiali nimi pałace, a teraz nasi prominenci fundują sobie artystów, dają im sale ekspozycyjne, by utożsamiać się po nuworyszowsku z dawnymi feudałami. Wszyscy ludzie czytali, co zrobiono: pobudowali dla plastyków pracownię, już nie mieszkania, a pracownię, po prostu prywaciarские warsztaty, gdzie ci niby artyści masowo odlewają plastikowe skarbonki i na tym zarabiają pieniądze, a obrazami obdarowują swoich mecenasów. Mój rozmówca wyznał, że był ostatnio u wicewojewody i tam na ścianie zobaczył obraz, na którym wyobrażano gołą babę. Nie urodziwą dziewczynę w stroju sportowym, a gołą na krzyżu, gołą i żółtą. Zupełnie jak w zasypanych domach Pompejów – mówił z gniewem, a ja, słuchając jego wywodów, zrozumiałem, że mogę przez społeczeństwo naszego miasta wykreślić nową linię antynomii i będzie ona jedyną z wielu, jakie przecinają społeczeństwo: patrzę na dzieło myśli i widzę całą pajęczynę skrzyżowanych kresek stwarzających trzęsącą się sieć. Kto wpadnie w tę drgawicę? Myśli moje odeszły od wyvodu sportowca. Słowa jego szumiały mi teraz w uszach na równi z dźwiękami od kół

autobusu. Myślałem o sieci ludzkich niezadowoleń, które są zewnętrznym przejawem sprzeczności społecznych. Ile napięć społeczeństwo zniesie? Czy przerodzą się one w gniew? Czy gniew przejdzie w bunt? Czy Ewa już schodzi z plaży, by mnie przywitać? Czy czeka na spotkanie, jak ja na nie czekam?

– Dojeżdżamy do Mrzeżyna. Zaraz będziemy na miejscu – powiedział przez głośnik kierowca.

Po chwili stanęliśmy na łączce. W grupie zebranych przy tobołach ludzi zobaczyłem siostrę Lucynę, która zgodnie z postanowieniem prezydenta została tu przesłana, by sprawować doraźną opiekę medyczną nad wypoczywającymi urzędnikami. Ewy nie widziałem. Witając znajomych uśmiechami, szukałem jej wśród ludzi zebranych wokół tobołów. Moje wysiłki zauważyła siostra Lucyna.

– Pan magister pewno szuka pani Gaśnickiej – powiedziała, odwodząc mnie nieco na stronę. – Niestety, wyjechała dziś rano z mężem. Inżynier Gaśnicki przyjechał wczoraj wieczorem Skodą i dziś wyjechali.

Poczułem się jak ofiara na arenie. Widziałem puszczane w moją stronę ciosy ludzkich spojrzeń. Widziałem obrażające współczucie Lucyny. Będą podczas urzędniczych kaweczek opowiadać sobie, jaką minę miał odpalony do granic możliwości amant Gaśnickiej. Zgasiła go jak kościelny świecę. Wyeksploatowała do granic możliwości i wróciła do męża, by zza jego pleców szukać nowej ofiary. Taka już jest nasza gorąca Ewunia, takie ma w sobie nienasycenie. Stanął jak słup. A co on sobie myślał? Że będzie lepszy od poprzedników? Przecież cały urząd wiedział, że Ewunia lubi trzeć się w pociągu na sznurze, w przeciągu na drągu. Czego szukał, to ma. Odpalonego gacha nigdy nie należy żałować. Biczowany zewsząd wyimaginowanymi zdaniem poszedłem do wskazanego

domku, rozłożyłem tam bambetle, usiadłem na łóżku i z wdzięcznością myślałem o siostrze Lucynie, że przygotowała dla mnie domek, do którego współlokator nie przyjechał. Niczego w tej godzinie bardziej nie potrzebowałem niż samotności.

VII

Wszyscy wiecie dobrze, a jeśli nie wiecie, będziecie wiedzieć, a jeśli nigdy nie dowiecie się, będziecie ubożsi, tedy powinniście wiedzieć, jak jest, kiedy idziesz po plaży z dziesięć kilometrów samym skrajem wody, a fala podchodzi ci zaledwie pod stopy, to rozbijając się o kostki, to pochlapując kolana aż po same uda. Idziesz i mijasz idących z przeciwka, a za tobą i przed tobą idą nogi, o których wiesz tylko tyle, że niosą mniej więcej opalone ciała. Po skórze poznajesz, czy przyjechali wczoraj, czy chodzą po piasku od tygodnia lub jeszcze dłużej. Powoli rozpoznajesz wczasowe krążenia, a niekiedy ludzi idących przed tobą, jakbyście na promenadzie słońca i wody zawierali milczącą znajomość przechodniów. Nierzadko idąc, myślisz, co będzie na obiad? Jaka jest przejrzystość powietrza? Czy rokuje ona pogodę? Czy ustanie wiejba od morza, byś nie musiał przynosić ze sobą wiatrochronu lub wpraszać się za parawan siostry Lucyny? Czy dziewczyna, co idzie przed tobą, opala się nago, bo jest dokładnie czekoladowa, a spod tego kostiumu nie widać nawet nitki białego ciała? Czy człowiek rozumie, że idąc, zawsze zostawia jedną nogę w tyle? Czy flądra wie, jak dobrze smakuje? Dlaczego kura pije wodę, a nie sika? Czy jeśli z wina wymrozsiz połowę wody, masz dalej wino czy wódkę winną? Są to pytania i problemy zaiste wczasowe, ale takie być powinny. Co to jest conradowska monotonia morza i jaki ma wpływ na uspokajanie człowieka? Czy faktycznie szum fal liże blizny? Zapewne.

Jechałem do Mrzeżyna z myślą, że dana nam będzie godzina odpoczynku kierowcy, a gdy usłyszałem, że Ewa wyjechała, poszedłem wieczorem na długi spacer. Wróciłem wychłodzony z tęsknoty do tego stopnia, że przestały mnie interesować wszelkie kobiety. Umykałem przed Lucynami jako średniowieczny eremita, co w trwodze przed samczą zachłannością umykał do jamy lub szałas, gdzie spożywał mleko z dojrzałej przez siebie kozy, pielęgnował kruka ze złamanym skrzydłem, jadł prażuchy z darowanej mu mąki. I nie tęskniłem do Ewy. Jeszcze miesiąc temu pragnąłem jej obecności w każdej chwili i sytuacji, jak choćby dokładnie opłotkowany kobierzec USC, a teraz owszem, majaczyła przed moimi oczyma jej okolona sutą kicią włosów twarz, ale była już obrazem odległym, jakby za mgłą morskiego horyzontu. A przecież od przyjazdu do Mrzeżyna upłynął zaledwie tydzień: przyjechaliśmy w poniedziałek, dochodziła sobota, dzień ogniska zapoznawczego.

Ogień wczasowy, by się dobrze palił w kamiennym łóżysku, musi być podsycany przez chrust. Do tego celu każdy wczasowicz miał obowiązek przenieść z lasu wiązkę drewna, swoiste pogłównie dla zabawy. Na wyprawy po futer dla ognia szły całe rodziny dość daleko, bo przez czerwiec i lipiec susz zbierano dokładnie z najbliższej okolicy. Od samego rana zapobiegliwi ojcowie rodzin wyszukiwali piłki, toporki, brzeszczoty do cięcia metali, nawet kuchenne noże, czyli wszystko, co było przydatne do cięcia gałęzi. Rodziców do czynu głównie popędzały dzieci. Mój sąsiad kempingowy, prezes spółdzielni galanteryjno-cholewkarskiej w naszym mieście, wziął na wyprawę po opał łopatkę saperską. Spotkałem go w wyrośniętym młodniaku, jak z uwagą drwała-amatora chodził wokół uschniętego na pniu kopalniaka.

– Chce go pan podłożyć? – spytałem.

– Chciałbym, ale sędzę, że sam nie dam rady. Jeszcze ze szkoły pamiętam, że sosna rośnie jak ostro zakończony pał, a dookoła wieńcem ma rozłożone korzenie. Gdyby je okrężnie podkopać i poprzecinać, spróchniały kół moglibyśmy załamać.

– Pomogę panu.

Praca przy suszce poszła nam łatwo. Prezes Grzywa podkopał drzewo, ja łopatką niby toporkiem poprzecinałem korzenie, zaczem kołyszając, złamaliśmy go w ziemi. Jeszcze obcieliśmy większe gałęzie, wzięliśmy ciężar na barki, zataszczyliśmy na polanę. Obcięty chrust wzięła rodzina urzędnika z finansowego. Na szczęście kuchnia miała niezłą pilę do drewna i siekierę; porąbanie kopalniaka było najmniejszą trudnością wyprawy. Grubizna poszła do grubizny, chrust do chrustu, średnie gałęzie do średnich kandydatów na żagwie. Przy podziale drewna i układaniu stosu już pracował inżynier leśnik z UW, specjalista przeciwpożarowej ochrony lasów. Ponieważ nasza rola była już skończona, poszliśmy z Grzywą do domku sąsiada, by uraczyć się szklanką piwa i rozmową o własnej działalności przy drwalskiej robocie.

– Włączyć telewizor na czas dziennika? – spytał gospodarz. Skinąłem głową, a Grzywa, wciskając klawisz odbiornika, mówił dalej: – Trzeba teraz słuchać wieści ze świata, bo Polska chyba znów weszła w okres dreszczy społecznych.

Na stołówce posadzili mnie przy stoliku z dwoma szczeciniankami: ładna mamusia ze śliczną sześciolletnią córeczką. Dzisiaj przyjechał do nich w odwiedziny mąż i ojciec i przy stole półgłosem opowiadał, że w Szczecinie zamarł ruch komunikacyjny, a na całej szerokości i długości miasta powstaje ruch strajkowy. Stała stocznia, za nią poszły tramwaje: zamiast ludzi obwożą rozwieszona na szybach wezwania do strajku powszechnego. Mówił, że

kiedy wyjeżdżał z miasta, musiał stanąć w korku drogowym i wtedy zobaczył na cofniętym w głąb ulicy pałacyku napis „Żłobek nr 5 strajkuje”.

– Żłobek nr 5 strajkuje?

– Tak – mówił. – Czy pan wie, co dzieci mego brata przynoszą z przedszkola? Jakie wierszyki? „Nie ma mleka, nie ma serka, nie kochamy pana Gierka”. Natomiast kobiety kolejkowe, baby z jęczorem jak tarki kartoflane, rozmawiają ze sobą dialogiem, jaki sam słyszałem: „Baby, jedziemy do Kielc. – A po co do Kielc? Dawać piczki na szmelc, bo w gierkowskim planie żadnemu chłopu nie stanie”.

Na ekranie zobaczyliśmy grubą jejmość przy włókienniczej maszynie. Kobieta zapytana o jej odniesienie do strajkujących odpowiadała, że nie rozumie, czego ci ludzie chcą. Później emitowano wywiad z przedstawicielem firmy zachodnioniemieckiej. Narzekał, że przez strajk górników anulują zamówienie węgla z Polski, bo ich elektrownie muszą dostarczać prąd odbiorcom. Obraz telewizyjny wrócił do kraju i dziennikarz poinformował, że dotychczasowy premier rządu podał się do dymisji, a tekę prezesa Rady Ministrów objął nowy szef rządu, który za chwilę wystąpi przed kamerami telewizji.

– Tego możemy nie słuchać – powiedział Grzywa. – Powie, co zawsze w takich wypadkach mówią: „nie strajkujcie, pracujcie, rząd urobi sobie ręce do łokci, by sprawiedliwie podzielić, co wy wytworzycie...”

– A co będzie, jeśli wszyscy wyłączą odbiorniki? – spytałem.

– Przepraszam. Jeżeli pan chce, to proszę słuchać, ale sądzę, że teraz już nikt ich nie posłucha. O tym mówiłem. Nawet ten, co słucha, nie posłucha. Boję się tylko, by nowego rozlewu krwi nie było. Pamiętamy Poznań 1956 i Gdańsk 1970.

– Pamiętamy. Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. Dziękuję sąsiadowi za piwo. Spotkamy się przy ognisku. Mam w lodówce połówkę żytniówki.

Wyszedłem na łączkę. W domkach dość głośno grały telewizory. Zewsząd rozlegały się nawołujące do spokoju słowa nowego premiera: idźcie do maszyn i sztolni, nie porzucajcie pracy, bo jest naszą największą wartością, porzucanie pracy nie przysporzy nam dóbr, manifestacjami nie zapełnimy półek sklepowych. Zatem nie miał racji sąsiad Grzywa, ludzie słuchają, ale czy posłuchają? Siedzą przy odbiornikach zaniepokojeni, pytając siebie i bliskich, co będzie? Może radzą, czy trwać na wczasach, czy wracać do domu? Czy zmiana rządu cokolwiek zmieni? Czy pełnomocnik premiera oddelegowany do stoczni potrafi zapobiec nieszczęściu? Czy jest już tak źle, że nie można niczego naprawić? Pytania te świdrowały mnie tego wieczoru. Poszedłem aleją pensjonatów w stronę morza. Niepokój gospodarował we mnie jak gwar na targowisku, kiedy szedłem po ubitym przez fale piasku, biorąc w płuca chłodną bryzę Bałtyku, kiedy wracałem wśród wygwieżdzonego mroku, kiedy zasiadałem przy ognisku pomiędzy siostrą Lucyną i sąsiadem Grzywą.

Wszyscy ludzie wiedzą, jaki jest skład fizyczny wczasowego ogniska: duży ogień, dookoła wieniec ludzi z oświetlonymi na czerwono twarzami, trochę pieśni o żartobliwej treści, jak znane „Dziwki po nogach całowały mnie zmysłowo” lub harcerska pieśń międzywojnia o ognisku i szumiącej kniei, trochę anegdot o takiej pieprzności, by mogły ich słuchać dzieci, w mniejszych kręgach alkohol. Czasami, jeśli kierownictwo turnusu jest prężne, a grupa wczasowiczów chętna do zbiorowych działań, przygotowują program rozrywkowy, coś w rodzaju małego kabaretu. Jest dobrze i wesoło, gdy do występów dojdą

dotychczasowi widzowie, zatrze się granica pomiędzy wykonawcami a odbiorcami. Ważną rolę odgrywa główny palacz ognia. Potrafi on w odpowiednim momencie podsycać płomień i tak nim poruszyć, że kominem ciepła pójdą w górę iskry, jak wczasowi posłańcy do mrocznego nieba. Zawsze towarzyszy im duży aplauz zebranych, niekiedy nagradzany oklaskami dla mistrza, co potrafi iskry do gwiazd puszczać. Głównie jednak słyhać zachwyty dzieci i głos matek zachęcający do oglądania płonącego rojowiska.

– Złap wzrokiem jedną iskrę – uczyła matka córeczkę – i prowadź ją w górę. Jeśli polecí najwyżej – znalazłaś swoje szczęście.

– Mamusiu, nie znalazłam szczęścia – skarżyła się po chwili dziewczynka.

– To szukaj dalej.

– Pani też szukała szczęścia w iskrach? – spytałem siostrę Lucynę.

– Z ognia nie wróżyłam, ale liście z akacji obrywałam, też szukałam. Prawie ze łzami w oczach śpiewałam piosenkę o kataryniarzu i złotym pierścionku na szczęście. Uważam, że było to dobre i piękne, bo każdy człowiek powinien dążyć do szczęścia.

– Może pani zaśpiewa nam „Złoty pierścionek?” – powiedział Grzywa.

– Śpiewam już tylko dla siebie, panie prezesie – odparła Lucyna – a poza tym przy ognisku będą dziś śpiewy. Mamy szczęście, panowie, przyszło do nas dwoje młodych ludzi: dziewczyna z zębem dzika na rzemieniu i krótko ostrzyżonymi włosami oraz chłopiec, wielce kudłaty. Zobaczyli, że nasi wczasowicze zbierają gałęzie na ogień, przedstawili się, że są grupą młodzieży licealnej i chcą nam zaprezentować program artystyczny, jaki mają przygotowany. Kierownictwo turnusu przyjęło propozycję.

Czekamy na nich. Mają przyjść o dziewiątej trzydzieści, bo teraz obsługują ognisko kopalni.

– Zawodowcy?

– Mówili, że są amatorami. Pytaliśmy ich o wynagrodzenie, odpowiedzieli, że honorariów nie biorą. Napili się zsiadłego mleka i powiedzieli, że przyjdą.

– Poczekamy – rzekł Grzywa. – Żeby jednak oczekiwanie skrócić i je umilić, proponuję mały kontakt z butelką.

Siostra Lucyna powiedziała, że nie potrafi ciągnąć bezpośrednio z butelki. Próbowwała dwa razy palić wczasową fajkę pokoju i zawsze kończyło się to zachłyśnięciem – oświadczyła i poszła do ambulatorium po naczynia do picia.

Ogień po okresie dłuższej aktywności teraz przycupnął żarem przy ziemi. Mistrz ceremonii zapalania półgłosem opowiadał przygody myśliwskie, ktoś z drugiej strony ognia prosił, by leśnik podniósł głos i mówił do wszystkich, bo każdy chce słyszeć o tym, jak to foksterier wpił zęby w jądra dzika. Myśliwiec zaczął bawić ludzi opowieściami o stworach, przy których pies Baskerville’ów był niewiniątkiem. Mówił o nagonkach, zasadzkach, pudłach i trafieniach w komorę, o lisie uciekinierze z samochodowego bagażnika, o bezuchym zającu, wreszcie o polowaniu na kurdele.

Ponieważ siostra Lucyna wróciła z naczyniami i butelką pepsi, wypiliśmy dla ochłodzenia pleców, jak mówił Grzywa, bowiem od łąk ciągnął coraz wilgotniejszy chłód. Leśnik przerywał opowieści i rzucał w żar pęk chrustu. Znów zadymilo nad czerwonymi węglami. I teraz w krąg światła wszedł chłopak z gitarą, a za nim dziewczyna ostrzyżona na niskiego języka, jakby niedawno opuściła Krzywaniec, gdzie ukarano ją obcięciem włosów. Za tą parą, znów dziewczyna z chłopcem, razem cztery pary wracających z pielgrzymki na Jasną Górę. Chłopiec wszedł w krąg światła, lekko trącając struny gitary. Wejście arty-

stów zamykała dziewczyna z fletem. Ale nie grała, nawet nie przykładała instrumentu do ust. W przeciwieństwie do koleżanki miała długie blond włosy. Gitarzysta jakby szukał odpowiedniej pieśni na gitarze, równocześnie wycierając ją ze strun, natomiast koledzy wtórowali mu jęklwym pomrukiwaniem, jakby pokazując, że pieśń chce się z nich wydobyć i wydobywa, ale z ogromnym bólem. Wreszcie melodia zwyraźniała i teraz usłyszeliśmy słowa: nad głowami wczasowiczów razem z ogniem poszła w niebo pieśń Orłąt Lwowskich. Śpiewali ją z ogromną ekspresją. Widzowie mieli wrażenie, że to nie wykonawcy, a prawdziwi harcerze lwowskich drużyn przynieśli lament o swoim oddaniu dla miasta i ojczyzny. W pewnym momencie wszyscy, poza gitarzystą, odsłoniли piersi: białe, młodzieńcze, przeznaczone nie do krwawej walki, a do dojrzewania. Ich wejście pieśnią w krąg było zaskakujące, a gdy skończyli, nim ktokolwiek zdołał ochłonąć z pierwszego wrażenia, wystąpił chłopak i oznajmił, że są żywą gazetą, przynoszą ludziom wieści ze świata, jakich nie drukuje żadne pismo. Młodzian trzymał w rękę dzwonek i kiedy podawał sygnał, drugi chłopak ekspresowym zdaniem powiedział, że przywódca robotników Lech Wałęsa przesadził ogrodzenie stoczni i tak znalazł się wśród robotniczej braci. Znów dzwonek i kolejny chłopak z następną informacją, że dziś nastąpiła zmiana na stanowisku premiera rządu i jest to stary manewr władz, które od lat kroczą od matactwa do matactwa. Dzwonek i informacja o ogromnym zadłużeniu Polski w bankach zachodnich. Dzwonek i wyjaśnienie, coś w rodzaju felietonu, jakie jest dopuszczalne zadłużenie państwa w stanie normalnego funkcjonowania gospodarki: Polska może spłacać trzy miliardy dolarów rocznie, a granicą bezpieczeństwa zadłużenia jest trzykrotność rocznych spłat. Dziś zamiast dziewięć wynosi dwadzieścia jeden miliardów dolarów.

– Nie wiedziałem o tym. Skąd oni wiedzą? – szepnął do mnie Grzywa.

Znów dzwonek, ostry balans basów po strunach gitary, zaczem lekkie wyciszenie i na pierwszy plan wychodzi dziewczyna z fletem, a obok niej ostrzyżona i z zębem dziaka na rzemieniu śpiewa balladę, przepraszając w niej za to, że żyje, bo jej życie jest udręką, a cierpieć to matki jedyne szczęście, a jeśli ją wszystko zawiedzie, zostanie gwiazdą na niebie, jaką zapala mocny Bóg. Ostatnie słowa pieśni powtarzają wszyscy wykonawcy trzykrotnie, zachęcając gestami widownię, aby im wtórowała: krąg ludzkich twarzy podejmuje song i jeszcze trzykrotnie go powtarza. Śpiewa sąsiad Grzywy z butelką w ręku. Siostra Lucyna markuje śpiewanie, a spoglądając na mnie – milknie. W pełnym uniesieniu śpiewa sportowiec. Dzwonek i informacja, że ich gazeta nazywa się „Zorza”, wychodzi bez cenzury i poza nią krąży w świecie, roznosząc dobre światło. Każdy może w niej pisać, to znaczy wstać i powiedzieć, co go boli, a oni z tego złożą pieśń i będą ją przenosić z ogniska do ogniska. Tak niosą prawdę od Jasnej Góry. Słuchali ich ludzie w Puszczy Świętokrzyskiej, kajakarze spływowi nad Wisłą, biwakowicze w Borach Tucholskich. Teraz zaśpiewają o zdarzeniu pod ziemią, jakie opowiadano im przy górniczym ognisku. Był sztygar w kopalni, co spisywał wózki z węglem, dla kogo zarobek w kajecie zakreślił, ten dostał zapłatę. Wszyscy robili równo, ale aktywista, czerwony, partyjny, dostawał więcej od czarnych górników: tak partia okrada, żyje z potu ludzi, tak rodzi się refren o krzywdzie. Po tej pieśni zaśpiewano następną, o smutku i braku nadziei. Dzwonek. Znów kilka informacji o ruchu strajkowym. Dzwonek i melorecytacja przy akompaniamencie gitary i fletu, a jej treścią Psalm Dawida w przekładzie Czesława Miłosza, poety, którego nazwiska nie wolno nawet wymieniać w prasie oficjalnej.

- Studia skończyłem i o takim poecie nie słyszałem
- szepnęła Grzywa. – Słyszał pan?
- Też nie słyszałem. Może pani słyszała, siostrzo?
- O Broniewskim i Gałczyńskim słyszałam, ale o Miłoszu nigdy.

Słuchaliśmy. Młodzież mówiła psalmy pięknie. Z młodzieńczych ust płynęła krwawa groza tekstu, jakby przedwieczni autorzy i wykonawcy strof chcieli nas przerazić: wiele krwi płynęło, pożary trawiły dobytek, rozstępowała się ziemia, płynęły potoki ognia, padały zwierzęta, ludzie po kostki brodzili w posoce niewiernych, a nad tymi klęskami słyhać było głos do Pana, byle ich zbawił ode złego, amen. Dla mnie było to nawoływanie do skrajnej, wręcz poniżającej człowieka pokory, ale ten i ów, zwłaszcza kobiety, z trwogą spoglądał w mrok wieczoru, jakby pytając, czy właśnie nadchodzi noc Apokalipsy? Czy wielka i karząca ręka Boga nie wyłoni się z mroku? Czy nie zapłoną palce Pana? Ale wyjaśnienie przyszło szybko, bo młodzież od psalmów przeszła do rzeczywistości, informując, co jest znakiem czasu: kolejki w sklepach, bezprawie w prawie, brak wolności w wolności jako darze Boga, brak prawdy w prawdzie, cenzura w cenzurze, policja w policji, prokuratura w prokuraturze, bowiem ci, co przyszli do władania, już nawet sobie nie ufają – szpiegowanie i donosicielstwo stało się normą ich życia.

– Nie wiedziałam, że mają taki program – zaszeptala do mego ucha siostra Lucyna. – Sądziłam, że młodzież urodzona i wychowana w socjalizmie, chociaż trochę ekstrawagancko ubrana, jest naszą młodzieżą...

Na nowe wołanie o kontakt w postaci opowiadań o wydarzeniach w życiu społecznym, wystąpił twarzą do ogniska sportowiec: przeżegnał się głośno, po czym opowiedział o ograniczeniach dla sportu, jakie stwarzają

władze naszego województwa. Młody improwizator zespołu natychmiast zaczął układać tekst pieśni o tym, jak przyszedł wariat i sportem zaczął rządzić: odebrał siatkarzom ich miejsce do ćwiczeń, przykazał szaleństwu na płótnie malować... Krąg ludzki bił brawa uzdolnionemu młodziankowi, który to zaraz, na ludzkich oczach, stworzył song. Prawda, że utwór był przeciw władzy, u której służyli, ale przecież każdy z nich miał do niej jakieś żale: to o niskie pobory, to o drogie wczasy, to o późny awans. Dlaczego więc czasem, w godzinę wczesowego śmiechu, nie rozrechotać się na wieść, że wariat zaczął rządzić? Wszak i oni często mówili, że ten przepis jest zwariowany, a tamta decyzja obłądna, owo zarządzenie szuka brata wariata. I kiedy słuchałem tekstów, rozmyślając o przyczynach aplauzu, poczułem na ramieniu delikatny uścisk dłoni. Za mną stała Ewa. Nie pomyślałem, że może to być zjawą lub halucynacją, zobaczyłem ją, uśmiechniętą powabnie, jak świętojański kwiat wśród nocy. Ucichła we mnie pieśń widowiska, umilkły niespokojne słowa siostry Lucyny, wstałem i poszliśmy w głąb mroku.

– Słuchaj. Słuchaj teraz uważnie, nim cokolwiek powiesz – powiedziała w domku.

– Dlaczego nie przyjechałeś, dokładnie opowiedzieli mi w urzędzie. Uznali cię za wspaniałego mistrza intrygi. Cały magistrat z chichocze z uciechy, że znalazł się junak, co im kalafonię zapaskudził. Przecież wiesz, że dla urzędnika magisterskiego nie ma większej uciechy jak ta, że ktoś prezyduszy zagonił w barani róg. Kocham cię za pomysł z USC. Pewno jednak nie wiesz, dlaczego wyjechałam z Gaśnickim? Po minie widzę, że cię to gryzło. Musiałam jechać, bo bałwan ten i tchórz strasznie narozrabiał. Słuchaj. Nie pękniij ze śmiechu. Kiedy od niego odeszłam, zapragnął rozvodu, ale bał się, że na rozprawie

podam powód odejścia, którym jest jego impotencja. Ma niemoc, a pragnie mieć opinię mocnego. Wymyślił sobie, że jeśli w sądzie podstawę babę, której za zeznania zapłaci, ta jako ja wyrazi zgodę na rozwód według podyktowanej przez niego formuły. Te makolągwy w sądzie fałszerki nie wylegitymowały, po czym sprawa wyszła na jaw, a mego byłego chcieli pociągnąć do odpowiedzialności.

– Prokuratura?

– Prawie. Przyjechał, żebym go ratowała. Miał wezwanie na poniedziałek. Nie mogłam głupcowi odmówić, nie mogłam nikomu powiedzieć, dlaczego nagle wyjeżdżam, nie mogłam zostawić listu, bo nic tak nie plami człowieka jak papier. Wyobrażam sobie, co tu gadano. Całe szczęście, że nieboraczek miał tyle sprytu, by podebrać babę podobną do mnie. Ubrałam kiecki, w jakie najmitka była ubrana, przczesałam włosy i wmówiłam sędzinie, że to właśnie ja byłam.

– Uwierzyła?

– Uwierzyła, bo chciała uwierzyć. Jej za taką pomyłkę też nie daliby orderu. Intryga, jak w życiu. Najważniejsze już powiedziałam, ale to nie wszystko... Przyjechałam po ciebie, kochany, szef przerywa ci urlop.

– Obligatoryjnie? – spytałem, trąc ją nosem w nos, bo już zdążyła wskoczyć na łóżko i zarzucić mi ręce na szyję.

– Dał mi samochód z kierowcą i zobowiązał, bym dostarczyła cię do pracy w poniedziałek rano.

– Co się stało?

Spojrzała na mnie, jakbym wrócił z podróży kosmicznej i dziwił się, że nastąpiła zima, po czym opisała stan paniki, jaki zapanował wśród władz.

– Z Warszawy idą wieści, że ministrowie sprzątajają biurka, wojewodowie chcą wysadzać sekretarzy, sekretarze wojewodów, każdy odpierając zarzuty, jakiemu ludz

stawiają, pokazuje palcem kolegę. W zakładach pracy niebywały rwetes. Powstają komitety obywatelskie, które samorzutnie zaczynają prowadzić porachunki ze swoimi władzami. Wyłażą na światło dzienne fakty kompromitujące dostojników, już pisze o nich prasa. Mówią ludzie, że szef Telewizji Polskiej urządził sobie dwa domy publiczne – na Woronicza i na jachcie, a syn byłego premiera bawił się w zagranicznych klubach nocnych jak czerwone książko. Persony dotąd uznawane za nietykalne na zebraniach fabrycznych nie mogą słowa wypowiedzieć. Każdy, kto głośno krzyczy, potrafi ich zakrzyczeć. Interesanci łążą po urzędzie, jakby nad nimi panowali, nie można nikomu zwrócić uwagi, bo zaraz wrzeszczy, że niszczy się demokrację. Włażą bezceremonialnie do gabinetu prezydenta, a ten trzęsie portkami, jakby chciał całą zawartość nogawkami wytrzepać. Rozgardiasz przyszedł nagle, w przeciagu jednego dnia. Naraz do naszego nadtybrza przyszły wieści ze Szczecina, Gdańska, Warszawy, Bydgoszczy, Wrocławia, Śląska. Lud tam burzy się i na zwołanych mitingach wyłania własnych przywódców – opowiadała Ewa. Zespół spółdzielni mieszkaniowych rozpedził radę zakładową, a na delegata załogi powołał kierowcę tylko dlatego, że ten ujawnił publicznie, iż dowoził prezesowi mięso do domu ze specjalnych przydziałów. Fabryka metalurgiczna powołała na swego wodza Gaśnickiego, bo ujawnił, że związek zawodowy nie ujął się za robotnikiem, gdy ten stracił oko, a przeciwnie, intrygował, by nie dostał odszkodowania. Gaśnicki, jako przedstawiciel załogi jednego z największych zakładów pracy, już zdążył pójść na sesję WRN i nauragać radnym, że są kluczykami do bezprawia: głosują za wszystkim, co im się pokaże. Już pisze o nim prasa miejscowa. Już go przyjął sekretarz partii w mieście. Przez Polskę przechodzi ogromna fala nieufności do związków

zawodowych, które stały się rzecznikami pracodawców. Upłynął tydzień, a zmiany w mieście są takie, jak po zburzeniu Bastylii. Ludzie krążą z niespokojnymi pytaniami na ustach, co będzie. Nikt nie wie, kogo popierać, a kogo napierać? Myślę, że dlatego ciebie wzywają. Może ty coś wyintrygujesz? Może wymyślisz jakiś Pałac Ślubów? – Przytuliła się do mnie mocno, jakby szukając we mnie ochrony przed chłodem, co wiał od Bałtyku.

Gdy wracaliśmy z plaży, od strony budynku wczasowego Narodowego Banku Polskiego doszedł nas śpiew: to były Psalmi Dawida wykonywane z apostołskim przejęciem przez zespół młodych pielgrzymów.

Nazajutrz wróciliśmy do miasta.

VIII

Od mieszkania Ewy do Urzędu Miejskiego jest bardzo blisko, niecałe pięć minut pieszo. Ale gdy nocowałem na Strzeleckiej, wychodziłem z domu wcześniej, dziesięć, a może nawet piętnaście minut przed ósmą. Chodziło o to, że mieliśmy różny rytm przygotowań porannych: Ewa lubiła długo zalegiwać bety, a ponieważ makijaże i inne damskie czynności też zajmują nieco czasu, czekałem na nią zawsze trochę zły, że muszę warować. Bystro zauważyła moje tupanie palcami po poręczy i z najbardziej czarującym uśmiechem, jaki miała dla mnie zawsze na taką okazję, mówiła, bym wyszedł wcześniej i położył wokół katedry lub zieleniaka, rozpoznał poranną krzątanicę miasta.

– Czwartemu wiceprezydentowi to potrzebne – zapewniała.

W naszym mieście dookoła urzędu jest wiele sklepów: mięsne na Pocztowej, Wodnej, Marchlewskiego i Teatralnej, spożywczy na Sikorskiego, Dzieci Wrzesińskich, Marchlewskiego i Chrobrego. Przemysłowe otwierane są dopiero o dziesiątej. Od pewnego czasu normalnością było, że rano przed każdym sklepem spożywczym na dostawę towaru czekały długie kolejki. Nikt w rządku ludzi nie wiedział, co i kiedy przywiozą, ale czekali na to, co rzuca, jak określano dostawy w języku staczy. Przechodząc obok kryzysowego szeregu, czasem przystanąłem, czasem zapytałem, co będą dawać, ale nigdy pytań mych nie zaznaczyłem słowami pejoratywnych ocen ich stania. Miałem obawę, by nie przytrafiły im się odpowiedzi, jakie dostał w gębę kierownik Wydziału Handlu:

- Ludzie, po co tu tak wcześnie stoicie?
- Po zmiłowanie Boże, szanowny panie.
- Albo po flaszkę oleju, Kochaniutki.
- Żeby synowi rano chlebek odświeżyć, bo stary pieką.
- A ten nas pyta, jak osioł o gwiazdy, sługa prominenta.
- Może on sam prominent?
- Poprzebierali się za ludzi i pieszo wokół kolejek chodzą, złodziejskie pomioty.

Magister Cebula przemówił do wszystkich, a powinien do jednego. Zapewne nie wiedział o tym, co opowiadał mi ojciec, o wrzeniach podczas wojennych mityngów: ktoś przemawia do chętnych słuchania z parkanowego słupka i zarzuca kapitanowi hulanki, obżarstwa i bezeceństwa. Ktoś zaprzecza jego słowom, domagając się dowodów i woła „Dowody nam potrzebne”. Zaś ta z góry woła: „Dowody?”. „Tak jest, do wody z nim, sługą kapitalizmu”. „Rewolucyjne wrzenia mają swoje prawa” – uczył ojciec, który jako chłopiec przy boku swego ojca w manifestacjach uczestniczył. Wrzucono do sadzawki żądającego dowodów. „Podczas rewolucji francuskiej słano na latarnię za to, że człowiek wyciągnął z kieszeni chustkę do nosa. Ma chustkę, więc jest winien jej posiadania” – mówił ojciec. Rządek ludzki jest złym węzłem. Podrygiwał ludzkimi nogami i głosami. Nie interesowały go argumenty, tylko towary.

Tego poniedziałku ciągnęło mnie pod sklepy tym bardziej, że Ewa opowiadała o minionym tygodniu jako dniach kłębki zaopatrzenia. W niedzielę nie było nic wiadać, bo sklepy są zamknięte, ale poniedziałkowy ranek powinien odsłonić oblicze kryzysu. Oczywiście, jeśli jest jak ludzie mówią. Przecież nie sposób, by nagle wyschły magazyny masła, margaryny, oleju? Czyżby świnie były dziś bez wątróbek, nerek, nówek i organów, bowiem tego asortymentu mięsa nagle zabrakło. Czyżby ser żółty roztopił się

w wytwórniach i popłynął ściekami do rzek? Gdzie jest ocet? W lasach nadszedł wczesny wysyp borowików, a nie ma ich czym zaprawiać. Jest to marnotrawstwo runa leśnego – wołali ludzie. „Przedsiębiorstwo »Las« skupuje grzyby, dostarczajcie borowiki do punktów skupu” – opowiadała im gazeta. Rozłoszczeni ludzie odpowiadali: „Las” skupuje grzyby za bezcen, a sprzedaje za dolary. My także chcemy jeść nasze grzyby. Dlaczego mamy paść nimi Niemców i francuskich żabojadów. Chcemy kłaść borowiki do octu. Ale octu nie było. Pracująca od dziesiątków lat octownia miejska została zlikwidowana wraz z całym przemysłem terenowym. Podobno był nierentowny.

Człowiekiem najbardziej zapracowanym w te dni był kierownik magistrackiego Wydziału Handlu: liczył, rozdzielał, kontrolował, rozliczał, od rana do nocy podpisywał zlecenia na specjalne przydziały, których wraz z pogorszeniem zaopatrzenia rynku wciąż przybywało. Ludzie w kryzysie żenili się i na wesela dostawali wódczany przydział. Zakłady pracy i instytucje urządzały jubileusze. Zewsząd szło wołanie o towar, a towaru nie było. Do geografii kolejek, jaką miałem w sobie zapisaną tego poranka, dorysowałam stonogę przed sklepem obuwniczym: ludzie czekali na ewentualną dostawę zimowego obuwia. Do magistratu wszedłem w nie najlepszym nastroju.

– Odwołałem pana z urlopu, bo sytuacja jest wręcz rewolucyjna, żeby nie powiedzieć kontrrewolucyjna. Musimy być na miejscu i w pełnej gotowości. Wszystko się chwieje – powiedział szef, bezradnie rozkładając ręce. – Rynek dostał wilczego apetytu i pożera wszystko, co mu damy. Na przykład, w ciągu tygodnia sprzedaliśmy cukru tyle, co w normalnych warunkach sprzedajemy przez miesiąc.

– Skąd nagły popyt na cukier, panie prezydencie?

– Po pierwsze, jest to towar dość łatwo przechowywalny, po drugie może być dobrą walutą w handlu wymiennym, który podczas kryzysu zawsze występuje, po trzecie, milicja informuje, że wobec braku wódki w sklepach zaczęto pędzić bimber.

– Czy to już panika?

– Panika. Jak tak dalej pójdzie, mogą być ekscesy.

– Co na to województwo?

– Nic. Mówią, że według rozdzielnika dają, co mogą dać, a dystrybucję zostawiają nam. Mamy sobie radzić... W związku z tym powołałem radę rynku. Może nam podpowie, co należy czynić? Poprosiłem prasę. Pana też do niej powołałem. Pan nie ma nic wspólnego z handlem, ale sytuacja stała się frontowa i partia musi być na posterunku. Zwłaszcza, że doszły pierwsze sygnały, że partia w fabrykach zaczyna się kolebać: na mityngu w zakładach metalurgicznych osobiście zaatakowano pierwszego sekretarza KW za to, że zainstalowano mu w mieszkaniu bojler po zaniżonej cenie. Chodzi o sumę dziewiętnastu złotych.

– To śmieszne, panie prezydencie.

– Argument mały, ale wcale nieśmieszny, panie kolego. Najważniejsze jednak to, że za pierwszym sekretarzem powinna stanąć cała organizacja wojewódzka, a ta jakby cofnęła się, jakby nie potrafiła lub nie chciała go bronić. W KW rozgardiasz. Miejski też jest pod ostrzałem. Zaczęto zdawać legitymacje partyjne.

– A co w stolicy?

– To samo, co u nas. Musimy radzić sobie sami... Konstytucyjne posiedzenie rady rynku zwołałem na godzinę dziesiątą do dolnej sali narad. Mam wrażenie, że frekwencja będzie duża, bo temat jest wrażliwy. Poprosiłem przedstawicieli dużych zakładów pracy. Będzie pan Gaśniczeki, bo on teraz wyrasta na przywódcę załóg robotniczych

w skali miasta. Właśnie Gaśnicki zaatakował sekretarza argumentem bojlera. Co pan na to?

– Decyzja należy do pana, panie prezydencie.

– Oczywiście, ale pan jest sekretarzem... Przepraszam, że o tym mówię, ale życie mogą nam także skomplikować względy osobiste.

– Wiem, co pan ma na myśli, panie prezydencie. Rozważmy tedy dwie sprawy: po pierwsze, czy pana Gaśnickiego mamy traktować jako przeciwnika politycznego? Po drugie, jak moja sytuacja osobista może rzutować na ogólną? Jeżeli pan przyjmuje moją płaszczyznę rozmowy, to proponuję, byśmy sobie odpowiedzieli na pierwsze pytanie. Czy możemy?

– Oczywiście, powinniśmy wiedzieć, z kim mamy do czynienia, ale nie sądzę, byśmy dziś mogli to jednoznacznie rozstrzygnąć. Przed tygodniem wszystko było inaczej, panie kolego, dziś sytuacja jest bardziej zawiła. A może on chce oczyścić zaśmiecony dom? Może ruch, jaki powstaje, pragnie nowego porządku? Może ład, do jakiego przywykliśmy, nie wytrzymuje naporu czasu?

– Co zatem pan proponuje?

– Zaczekać. Popatrzeć, jak Gaśnicki będzie się zachowywał i co będzie mówił. Co będzie atakował? Kogo i za co? Mamy dziś radę rynku i to posiedzenie powinno nam wiele wyjaśnić. Jeżeli dzisiejsze zebranie nie pomoże w usprawnieniu rynku, to przejmie współodpowiedzialność za reglamentację i da nam materiał do osądu Gaśnickiego.

– Pan prezydent po to go poprosił?

– Nie tylko po to, panie kolego, nie tylko.

– Pozostaje nam więc druga sprawa, moja osoba w kontekście Gaśnickiego. Może nie powinienem brać udziału w radzie? Może powinienem złożyć rezygnację z funkcji sekretarza?

– Broń Boże, towarzyszu. O niczym takim nie myślałem. Jest pan jego szkolnym kolegą. Takie związki, jakie pana powiązały z panem Gaśnickim, też ludzi łączą. Gaśnicki wie, że nie może pana atakować, bo może spotkać się z zarzutem prywaty. Działacz zwalczający prywatę u innych nie może ulegać prywatcie. Poza tym, pan w radzie jest potrzebny. Bez partii rada nie byłaby ważna, a KM pana wskazał jako swego przedstawiciela.

Patrzył na mnie ciepło, serdecznie, prawie tkliwie, a ja myślałem o nim wrednie: hipokryta, gracz i kunktator, drań, któremu chodzi o to, by siebie osłonić i dla nikczemnego celu wykorzystać dziwne związki losowe, jakie zaszły w moim życiu. Chytrzejszy jest niżli ja byłem z budową Pałacu Ślubów. Gra jednak toczy się dalej...

Wychodząc z gabinetu pryncypała wiedziałem już, po co ten fałszywy prorok odwołał mnie z urlopu; mam być dla niego tarczą. Może nawet powinienem zetrzeć się z Gaśnickim, by on mógł zakrażyć między nami z uśmiechem bazyliuszka i godzić nas, bacząc uważnie, by z nikim poważnie nie zadrzeć – wszak nie wiadomo, kto zwycięży. Dalszej rozmowy nie wspominam, bo nie była ważna. Przeszedł zresztą wiceprezydent Kłonisko, ów nasłaniec, o którego toczyła się w urzędzie walka podjazdowa, Kłonisko zresztą był małym poczciwcem z lepkiemi rękami. Pragnął tylko siedzieć na posadzie, bo lepszych źródeł utrzymania dla rodziny nie widział, ale nie chciał specjalnie nikomu wadzić. Bardzo wygodny dla urzędników zwierzchnik. Zwyczajny reproduktor życia, który co spłodzi, skrzętnie wychowa na porządnego reproduktora.

Poszedłem do swego biura, by odpowiedzieć na kilka skarg obywateli i sprokurować wyjaśnienie dla Rady Państwa, gdzie poszedł donos, że pewien mieszkaniec naszego Rzymu został niesłusznie odznaczony złotym krzyżem

zasługi, bo jest syfilitykiem bez żadnych zasług. Chorobę leczą dermatolodzy, ale wyjaśnienia w sprawie weneryków musimy składać my, urzędnicy. Skąd ja mam wiedzieć, czy obwiniony jest nosicielem krętków białych? Śmieszna i ponura jest czasem praca urzędnika. Jeszcze tamci, ministerialni, mogą z półpańska nas o coś pytać, bo oni są od zadawania głupich pytań, a my od grzecznych odpowiedzi. Odpisałem gryzipiórom z RP, że zasługi odznaczonego są niewątpliwe, a wywiad w sprawie ustalenia choroby wenerycznej nie jest możliwy ze względu na ustawową tajemnicę, jaka leczonego ochrania. Niech pankowie wystąpią do Sejmu o uchylenie ustawy... Pisząc te wyrazy, chichotałem z uciechy. Najlepiej ustawodawcę uderzać jego własną ustawą.

Dokładnie trzy minuty przed dziesiątą usiadłem przy stole dolnej sali. Było już tam kilka osób. Prawie naprzeciw mnie siedział zaproszony Gaśnicki w towarzystwie Jerzego Wióra, dziennikarza o wiecznej zgadze w piórze, i kobiety w okularach. Wydziałalem przedstawicieli inwalidów wojennych, emerytów i rencistów, prokurator Miłą jako szefową Ligi Kobiet.

Kierownik Wydziału Handlu był mocno zajęty przeglądaniem swoich papierów. Siedziało kilka osób, o których niewiele wiedziałem; zapewne przedstawiciele WSS i PSS, MHD i MHM, siedziały więc skróty detalu handlowego, ale chyba nie brakowało hurtowników. Przed dziesiątą przybył przedstawiciel MO w towarzystwie grubego posła do sejmu Maciejka. Już była odpowiednia pora, by ktoś z przedstawicieli zakładów głośno powiedział, że nie przeszli tracić czas na wyczekiwanie, aż prominent raczy się zjawić. Skinieniem głowy przytaknął mu Gaśnicki.

Prezydent otworzył naradę, witając zebranych i poinformował, że w naradzie bierze udział także poseł Maciejek. To było nowe. Jeszcze przed dwoma tygodniami

na pierwszym miejscu z emfazą w głosie witano posłów i sekretarzy, ministrów i wojewodów, a dziś zaczął witanie od zebranych, kłaniając się w te strony, gdzie siedzieli przedstawiciele znaczących zakładów pracy: Gaśnicki z Zakładów Mechanicznych i Kapsiak z chemicznych. Zauważyłem, że nasz prymariusz wcale nie witał oficera MO. Po krótkim wprowadzeniu, w którym szef powiedział, po co zwołał naradę, głos zebrał kierownik Wydziału Handlu, by zreferować sytuację rynkową w mieście. Za pomocą ścisłych danych, cyfr i cyfr, dowodził, że hurt rozprowadza do sieci detalicznej cały towar, jakim miasto dysponuje. O brakach wiemy. Detal domaga się więcej, ale tegoż już więcej dać nie możemy. Tak krawiec kraje, jak mu materii staje. Istnieje zjawisko nadmiernego wykupu towarów, ale ze wszystkim nie możemy zrobić tak, jak zrobiliśmy z cukrem – wydać go na półki, aż do udławienia rynku. Nie możemy takich posunięć wykonać z masłem, mięsem, margaryną, a nawet z olejem, bo zapasów nie mamy. Na tłuszcze możemy wprowadzić coś w rodzaju reglamentacji, czyli ograniczoną swobodę zakupów. Na przykład po kostce masła dla kupującego, po butelce oleju, po kilogramie mięsa. Magister Cebula mówił rzeczowo, ale nieroztropnie, bo bardzo monotonna, wręcz nudnawo, z pedanterią urzędnika, który władza tonami mięsa, ale w postaci zapisanego papieru. Szeleścił swoim artykułem i nim potrząsał, jakby chciał dobitnie powiedzieć, że niczego nie zmyśla. Zebranych jednak nie o argumenty chodziło. Przybyli tutaj, by żądać dla załóg fabrycznych towarów, a przy okazji wykazać się walecznością wobec biurokratów, którzy nie mają najmniejszego pojęcia, jak produkty wśród ludzi rozprowadzać. Po kwadransie wywodu Cebuli nikt go nie słuchał. Rosła wśród zebranych zła niecierpliwłość, czy urzędnik, matacząc, każe im zbyt długo czekać na wyłuszczenie własnych racji o pracy handlu.

– Panie prezydencie – przerwał wreszcie mowę kierownika przedstawiciel chemików Kapsiak. – O tym, co ten pan mówi, wiemy. Że krawiec kraje, jak mu materii staje, też wiemy. Przyszliśmy dowiedzieć się, dlaczego człowiek pracy nie może nic kupić? Dlaczego przez złą organizację handlu umożliwia się zdrowym bykom robienie zakupów poza wszelką kolejnością? Natomiast ten pan plecie nam androny o tym, że nie ma co dzielić. Im towarów mniej, tym dzielenie musi być sprawiedliwsze.

– Święte słowa – przytaknął poseł Maciejak, który w sposób widoczny czyhał na chwilę, by móc trafnym słowem wykazać swoją poselskość.

– Tak jest – potwierdził prezydent. – Dlatego naradę zwołaliśmy. My, urzędnicy, odwołujemy się do zbiorowej mądrości ludzi pracy.

– Święte słowa słowami, a inwalidzi wojenni muszą być traktowani osobno.

– Inwalidzi, ale nie zdrowe chłopcy na milicyjnych emeryturach – wtrącił redaktor Wiór.

– Nie ma różnicy, gdzie kto stracił zdrowie – ripostował oficer milicji.

– Jest różnica, czy żołnierz stracił nogę w pogoni za faszystą, czy też milicjant, co nadwyręza sobie rękę od machania pałką – wyrzucił ostry cwiszenruf Gaśnicki. – Nasza załoga pierwszych będzie popierać, drugich nie poprze.

– Panowie – podniósł rękę prezydent – nie jest moją intencją ograniczanie dyskusji, ale bardzo byśmy prosili o wnioski, jak usprawnić dystrybucję.

Po długiej naradzie, gdzie poza mną zabierał głos każdy jej uczestnik, uchwalono wnioski, a wśród nich ten, by zwolnić z funkcji kierownika Wydziału Handlu za to, iż nieudolnie kierował rozprawdaniem towarów. Jerzy Wiór ogłosił w miejscowej gazecie duży artykuł o pierwszych

decyzjach rady rynku: częściowe racjonowanie najważniejszych towarów, walka ze spekulacją, sprzedaż poza wszelką kolejnością wyłącznie za okazaniem legitymacji inwalidy wojennego, kontrole społeczne w sklepach i kioski pracownicze w zakładach pracy – tam będzie można nabywać masło, olej i wędliny.

– Panie kolego – powiedział do mnie prezydent po naradzie – zarządzenia w przedmiocie sprawy muszą wyjść od nas jutro. Proszę zostać w urzędzie, zatrzymać ze sobą maszynistkę, jutro złożymy podpis na dokumentach i na powielacz z nimi. Pierwszą fazę walki mamy wygraną – mówił, chodząc po dywanie gabinetu – jutro wyjdą zarządzenia jako materialne dowody naszej aktywności. Musimy ściśle przestrzegać zaleceń rady. To jest dziś najważniejsze.

– A co z magistrem Cebulą?

– Biedny ten Cebula. Jednak – mówiąc prawdę – głądził. Jak mało kto pleść potrafi. Musi odejść. Nie ma innej rady. Trudno, panie kolego, nie wszystko możemy wygrywać. W każdej walce muszą być straty.

– A jak pan prezydent ocenia podstawę Gaśnickiego?

– Tak. Mieliśmy do sprawy wrócić. Sądzę jednak, że na pełną ocenę jeszcze za wcześnie. Na razie wiemy, że pan Gaśnicki wnioskował roztropnie, a jego myśl o kioskach zakładowych jest przedniej marki: mają pracujący trudności z dojściem do sklepu po towary, to sklepy przyjdą do nich. Piękna myśl. Renesansowa... Prawda, że krytycznie mówił o rencistach, ale i my mamy do nich zastrzeżenia, przychodzą do nas po wszystko jak po swoje. Jeszcze raz proszę pana, by zarządzenia wyszły od nas jutro rano. Dobrze też, by złożył pan telefoniczny meldunek do Komitetu Miejskiego o dzisiejszych decyzjach rady. Dobrze, jeśli informacja do partii pójdzie kanałem partyjnym.

Czekała mnie praca w urzędzie. Zawiadomiłem o tym Ewę i poszedłem do naszego „Wierzynka”, czyli do magistrackiego bufetu. Czekałem, by pani Aniela przygrzała mi kaszanekę z ogórkiem. Tam już raczył się wołowiną z puszki magister Cebula. Zaprosił mnie do kulinarnej konfidencji i z rezerwy specjalnej prezydenta dostałem talerz soczystego gulaszu. Był tak smaczny, że aromatem aż w mózgu wierciło.

– Zatrzymowali – powiedział Cebula.

– Przykre to bardzo – odrzekłem, bo kosmyk włosów na głowie Cebuli, krople potu na jego czole i oczy jego wydały mi się biedne i sponiewierane przez dyskusantów dolnej sali.

– Pewno, że przykre. Mówiłem prawdę i przedkładałem tylko dowody – rzekł, podnosząc do góry widelec, a ja pomyślałem: „Dowody i jego wrzucono do wody”, on zaś kontynuował: – Przecież nikt nie lubi być wywalony. Wołałbym sam odejść, jak planowałem. Ale człowiek czasem o miesiąc, czasem o dzień, czasem zaledwie o godzinę się spóźnia. Gdybym sam odszedł, nie byłbym wywalony. Moja wina.

– Ma pan na uwadze jakąś posadę?

– Posadę? Wyjeżdżam, proszę pana, już mi żona życie nie daje, że sama na kartoflisku mieszka. Dzieci tęsknią. My mamy, panie, kurnik pod Goleniowem. Moja robota to było dodatkowe ecium pecium, panie sekretarzu. Do widzenia panu. Dziękuję, że mnie pan nie napadał. Przy okazji zapraszam na rosół.

Talerz po gulaszu wytarłem skórką chleba.

IX

Matka opowiadała, że wiosną i jesienią ludzi napastuje zmora. Przychodzi nocą, siada okrakiem na piersiach i męczy wybranego aż mu twarz sinicą podejdzie. Jeżeli sama jazda na człowieku nie zmoże go, wtedy wywala swój jęzor, pakuje go do gardła leżącego i dusi skutecznie. Według mamy jest ona amazonką śmierci. Grasuje wśród ludzi od dawien dawna. A jaka jest zmora naszych dni? W jakiej występuje postaci? Ojciec mówi, że ma wiele odmian i imion. Czasem nachodzi człowieka jako przemożna chęć gadania. Jest to zmora rozpuszczonego języka. Straszny wróg. W tym miejscu ojciec jest zgodny z matką i uczy, że własnego gadulstwa trzeba się strzec wyjątkowo. Mówi się zawsze do innych. Tych, co mówią do siebie, mądry lud uznaje za pomyłonych. Ja zaś siedzę nad wodą, gdzie jesień mgłą rozwiesza i mówię do siebie, że wtedy, w roku 1980 właśnie, skończył się sierpień. Na wybrzeżu podpisano porozumienie o powołaniu nowego związku, bo dawne związki rozpadły się, jakby od środka wypróchniały. Upadały jednak imperia. Czy Horacy myślał, że Rzym kiedykolwiek upadnie? Czy dopuszczał do siebie myśl o upadku caratu piewca prawosławia i korony – Gogol? Czy wyczuwali upadek mocarstwa roztańczeni wieńdyczycy? Czy ja sądziłam, że mój własny język będzie moją zmorą?

Nastaly dni pokracznych przeinaczeń. Do politycznego maneużu weszły nowe siły i rozpoczęły swoje treningi. W urzędzie ni stąd, ni zowąd zapanowała moda na kartograistwo. Powstały karciane grupki zainteresowań:

tu poker, tu oko, tam kierki, tu tysiąc. Wyłoniono własne ligi. Najwyższa składała się z wpływowych gryzypiorów i przedstawicieli wolnych zawodów. Opowiadano, że podczas pokerowych seansów banknoty na stół padały w wiązkach. Siedliskiem grania był tradycyjnie Wydział Budownictwa i Architektury. W oko grano w Finansowym. Biedniejsze wydziały grały w kierki, a najmarniejsze płaskowały kartami do tysiąca oczek. Ewa pogrywała w kierki, bo uznała, że to gra wesoła i dostatecznie emocjonująca. Wokół nowego zainteresowania kręciły się rozmowy: kto dupsko pomoczył, kto jest grecką fujarą, kto tnie kartą jak brzytwą po oczach. Może prawem inercji, trochę i dlatego, by szukać wzajemnego wsparcia, zwołaliśmy posiedzenie naszej Akademii. Straciła ona powiatowe znaczenie, ale jeszcze była. Może w zawilej sytuacji uda się ją odrodzić – sądziliśmy, chociaż magister Jałowiecki kręcił z niedowierzaniem głową. Ale nasz mistrz po przejściu na emeryturę stracił dawną aktywność.

– Panowie – mówił Wirt – dla mnie nie ulega wątpliwości, że w Polsce zaczyna panować nowy terror. Prawda, że nikt nikogo nie morduje, że nie wybuchają miny na ulicach, ale trwa terror polityczny i są jego ofiary. Czy nie jest ofiarą terronu dyrektor Berda z fabryki chemicznej? Został on niezwykle ostro zaatakowany dlatego, że był dyrektorem.

– Tak – wszedł mu w słowo Kaduk – wszędzie atakują dyrektorów. Ale dlaczego? Dlatego, że są to najbliżsi przedstawiciele władzy, która doprowadziła do pustki w sklepach. Wiemy, że nie przemówienie telewizyjne jest wizytówką władzy, a półka sklepowa. Byłem w ramach służbowych zajęć w Zakładach Metalurgicznych. Ci ludzie ciężko pracują. Widziałem, jak wyrrywają czerwone kęsy odlewów z rdzenia. Przy takiej robocie powinni

zjeść kawał mięsa, a oni nie mają margaryny. Widziałem człowieka, który na śniadanie jadł chleb z oszukanym kotлетem: między dwie kromki chleba miał włożony płatek kartoflany.

– Są kioski w zakładach – przypomniałem.

– Są kioski, ale bez towaru. Kiedy przywiozą kilka bułek salcesonu, ludzie zatrzymują obrabiarki i biegną w kolejkę. Oczywiście nikt ich nie strofuje. Dyrektorzy spełniają każde życzenie załogi.

– Dyrektor Berda nie chciał dać generalnej podwyżki płac, bo nie mógł.

– Ale wobec groźby strajku ministerstwo podwyżkę przyznało i wystawiło dyrektora do wiatru.

– Zatem Berda nie jest ofiarą terroru politycznego, a hipokryzji ministerialnej. Zapewne odmowę oparł na zdaniu ministerialnym. Podejrzewam, że działał zgodnie z daną mu dyrektywą – mówiłem. – A teraz hipokryci nie chcą go obronić.

– W chemicznej też byłem – wtrącił Kaduk – rozmawiałem z ludźmi. Pytałem o Berdę. Czy był złym dyrektorem? Odpowiadano, że dobrym, najinteligentniejszym. Czy był sprawnym menadżerem? Odpowiadano, że najsprawniejszym z dotychczasowych. Co mu zarzucano? – dochodziłem. Oni na to, że na ogólnym zebraniu przedstawiciele załogi pewna prządka z furią mówiła, iż pracuje w fabryce dziesięć lat i dyrektor pan ani razu jej ręki nie podał. Pewno mówiła prawdę, bo była jedną z dziesięciotysięcznej załogi. Pytałem osoby z kadry inżynieryjno-technicznej i tych, co mu zawdzięczali kariery i awanse, czy zechcieliby go bronić wobec tak prostackich zarzutów? Milczeli. Obecny przy rozmowie redaktor Brodzak z gazety zapytał wręcz: proszę państwa, jeśli napiszę, że nie wszyscy mają zły stosunek do dyrektora,

jeśli wyrażę wątpliwość w zasadność ataków na niego ze strony zakładowej „Solidarności”, czy będę mógł powołać się na państwa nazwiska? Odpowiedzieli, że nie może. Przecież chodzi o obronę człowieka – przyciskał ich argumentami moralnymi, a oni twardo odpowiadali, że są chemikami, a nie adwokatami.

– Oczywiście – wtrącił Jałowiecki, którego zaprosiliśmy na posiedzenie do archiwum. – Oczywiście, panowie, wstyd jest kategorią moralną, a to, co się dzieje wokół nas, jest polityką, nawet walką polityczną. Dziś podziały zachodzą nawet w rodzinach: bracia nie bronią braci, a ich atakują, swarzą się siostry. Panowie, u nas jest rewolucja, bezkrwawa, ale rewolucja. Nie mamy wojny domowej, ale jest rewolucja.

– Co więc zrobić? – dociekał Kaduk.

– Nie wiem – odparł cicho Jałowiecki. – Rewolucja musi się wyszaleć. Kolega Wirt mówił, że jest terror, a rewolucje najczęściej stają się w terrorze... Konfucjusz, gdy uczniowie przerażeni tym, co dzieje się w Chinach, przyszli do niego z tak sformułowanym pytaniem, odpowiedział, że trzeba słowu przywrócić jego dawną wartość, by słowo ojciec znów ojciec znaczyło, a sprawiedliwość znów była sprawiedliwością.

– Dziś każdy to śpiewa. Wczoraj przed budynkiem budowlanki słyszałem śpiewany wiersz Tuwima na ten temat. „Solidarność” słowa poety przyjęła do swego programu i uczyniła je swoim hymnem.

– Bo to jest myśl wielka i mądra – kontynuował Jałowiecki – godna ciągłego powtarzania, a nawet podatna na przywłaszczenia, jak uczynił poeta. Co jednak zrobić? Zgodnie z ładem naszych posiedzeń nikomu niczego nie podpowiadam, ale wiem, że nowy porządek powstaje zawsze w bezładzie.

– Uważa pan zatem, że trzeba wspierać, co nadchodzi? Wspierać „Solidarność”? – dociekał Kaduk.

– Czy wespierać, to kwestia osobistego wyboru. Sądzę jednak, że ten ruch, jeśli nawet nie osiągnie celu, jaki zamierza osiągnąć, wniesie pewne ożywienie, a nawet oczyszczenie życia.

– Postawię pytanie inaczej, panie magistrze, gdyby pan był z nimi w urzędzie, czy pan utożsamiłby się z „Solidarnością”? I proszę o szczerą odpowiedź, bez sofistycznych wykrętów.

– Z jej ideą bym się utożsamiał, ale z nią nie – odpowiedział cicho i po chwili namysłu.

– Dlaczego nie z nią? – nastawał Kaduk.

– Bo ona będzie rozgromiona.

– I pan to mówi dziś, gdy „Solidarność” zwycięsko podpisała porozumienie, gdy tworzy struktury organizacyjne – prawie zakrzyknął Kaduk.

– Wysunęła wiele słusznych haseł i rozkołysała żywioł, nad którym nikt nie jest w stanie zapanować... Oni już nie mogą zaprzestać na tym, co zrobili, będą wyciągać ręce po władzę, a tej nie dostaną.

Wszedł młody i oznajmił, że nasz praetor urbanus ni stąd, ni zowąd zaczął obchodzić biura urzędu: pyta w każdym pokoju, czy nie mają ciasno, czy nie za luźno, jakby badał warunki pracy urzędników. Czyżby nowy rodzaj fraternizacji z urzędnikami? – pomyślałem, wstając, by tak zakończyć posiedzenie Akademii. Schowaliśmy flaszeczki wina, kierownik archiwum niedopitą butelkę wystawił za regał, a my rozeszliśmy się, jakby nas tutaj nie było. Wróciłem do biura, by oczekując pryncypała, udawać urzędowanie, ale szef do mnie nie przyszedł. Ominął nasz wydział. Dopiero po godzinie wyjaśniło się, dlaczego przemaszerował trzy piętra w prezydenckich

półbutach. Opowiadano później w urzędzie, że podczas obchodu stanowisk pracy zobaczył w połowie korytarza pannę Jadzię z finansowego, organizatorkę magistraczej młodej „Solidarności”, zawołał do niej z daleka, że jeszcze o jej zdrowie i warunki pracy nie pytał. Rączkę brzydkiej Jadzi czule ucałował, odprowadził panienkę do drzwi, gdzie pracowała, do siebie na rozmowę zapraszał. Mnie zaś wezwał i to nie telefonem wewnętrznym, jak zawsze czynił, a przez sekretarkę, która powiedziała krótko: „Szef pana wzywa”. Jej głos był jak jęzor zmory.

– Niech pan siada, panie kolego – powiedział patron i pokazał mi krzesło przy potężnym biurku, siedzisko przeznaczone dla petentów, a nie dla osób zapraszanych na konferencję. Do tego celu służyły trzy fotele klubowe wokół intarsjowanego stołu. – Mam do pana ważną sprawę, towarzyszu. Dostałem dziś telefon od wojewody, że powstaje u nas Regionalny Zarząd „Solidarności”, a my mamy mu zapewnić lokum. Nie mam na razie wolnego lokalu. Wolnych mieszkań lokatorskich także nie mamy, a przy tym „Solidarność” nie chce uszczuplać potencjału mieszkaniowego. Pan Gaśnicki odrzuca takie rozwiązanie z całą stanowczością. Rozmawialiśmy z nim. Sprawę musimy jednak załatwić. Na razie muszę im dać pokój w urzędzie, a pokoju nie mam. Ścieśnianie ludzi nie wchodzi w grę, bo wszędzie ciasno i duszno. Pozostało tylko jedno rozwiązanie, z którym zwracam się do pana, towarzyszu. Proszę o odstąpienie pokoju POP.

– Pan prezydent chyba wie, że bez zgody organizacji partyjnej decyzji takiej podjąć nie mogę.

– Rozumiem. Zebranie zwołamy, ale chodzi o to, by pokój tylko wypożyczyć. Jak wygospodarujemy im odpowiednie pomieszczenie w mieście, odejdą, a pan wróci na swoje.

- Sam nie mogę tego zrobić.
- Nie oczekiwałem odmowy – jak dotąd współpraca układała nam się dobrze, a teraz nagły sprzeciw.
- Jak dotąd jesteśmy partią rządzącą i nie widzę powodu, by cokolwiek komuś oddawać.
- Jeżeli już tak surowo rozmawiamy, to powiedzmy sobie, towarzyszu, że pokój jest tylko siedzibą POP, a gdzie kto urzęduje, ja będę decydował.
- Oczywiście, ale pozwolę sobie przypomnieć, że funkcję zajmuje pan z rekomendacji partii.
- Tak. Rozumiem, że nie zgadza się pan na wypożyczenie pokoju?
- Nie mogę, panie prezydencie.
- A jeśli powiem, towarzyszu, że sprawa jest uzgodniona z komitetem i wojewodą?
- Muszę uzyskać zgodę POP.
- Ależ, towarzyszu, to może być zrozumiane jako partyjna niesubordynacja.
- Mam jeszcze jedno pytanie, towarzyszu prezydencie, czy jest w tej sprawie uchwała jakiejś instancji? Czy tylko jest to zdanie funkcjonariuszy?
- Nie stosuję takich rozróżnień. Towarzysze, z którymi rozmawiałem, uważali, że szczególną sytuację chwili zrozumiecie. Poproszę, by jutro pokój był wolny.
- Polecenie służbowe wykonam, ale jako sekretarz organizacji partyjnej poproszę towarzysza na zebranie dziś o godzinie piętnastej trzydzieści.
- Dziękuję. Nie będę. Jestem umówiony z reporterem „Życia Warszawy”. Muszę odpowiedzieć na pytanie, jak współpracujemy z nowym związkiem zawodowym. To teraz zaczyna być podstawowym kryterium oceny pracy człowieka.
- Trudno, będziemy obradować bez udziału pana prezydenta.

– Cokolwiek uchwalicie, pokój jutro zajmie Gaśnicki.

Czy uczestniczyliście w pełnych napięcia dlatego, że milczących, zebraniach? Zmora ma i to oblicze. Zebranie powinno wybuchnąć gniewem, a ono milczy na waszych oczach i przeciwko wam. Zamiast słyszeć krzyk, widzicie oczy zebranych błędzące po ścianach i po suficie: patrzą na poręcze krzeseł, na ramy obrazów, rachują własne palce i lustrują paznokcie. Szukacie osoby, która mogłaby wesprzeć wasze wysiłki, chcecie wymusić z obecnych choć jedno słowo, ale słowa nie dostajecie i musicie być radzi, że jeden posłał wam delikatne, prawie niezauważalne mrugnięcie okiem jako obietnicę głosu. Jeśli jednak obietnica nie zostanie spełniona, milczenie będzie dodatkową karą, że złudzenie przyjęliście jako rzeczywistość. Kiedy wreszcie ten jeden podniesie rękę, pomyślicie, że znalazł się zbawca. Jednak podniesiona ręka nie jest pusta. Widzicie w niej czerwony kartonik legitymacji, bo zbawca przyszedł na zebranie, by ją partii oddać. Za nim wstaje trzech dalszych. Odbieracie legitymacje, składacie przed sobą na kupkę i widzicie, że jeden z końca na paluszkach, chyłkiem wyłazi z sali, drugi podąża za nim. Po chwili już wiecie, że wobec braku quorum wasze uchwały nie będą ważne, a po zebraniu będziecie ubożsi o czterech ludzi. Zmora pokazała jęzor. Do końca zebrania razem ze mną zostało siedmiu ludzi.

– Towarzysze – powiedziałem szóstce i ja siódmy – jest nas zbyt mało do podjęcia wiążącej uchwały, ale jest nas tyle, by wyrazić opinię w sprawie naszego pokoju. Czy możemy wyrazić opinie?

Pytałem niemrawo, bo byłem psychicznie poturbowany tą małą frekwencją, tym, że nawet Lucyna nie przeszła, tymi wyjściami, oddawaniem legitymacji, ale przecież zapytałem ich, by nie wyszli z zebrania z poczuciem pełnej bezsilności.

– Moje zdanie jest takie – powiedział urzędnik finansowego – nie oddawać.

– Nie oddawać – potwierdził palacz.

– Iść z tym wyżej – podpowiedziały usta referenta z zatrudnienia.

– Też myślę, że nie oddawać – prawie wyszeptała kandydatka do partii, chuda Kryisia Bodziec.

Nie oddawać, mówili jednomyślnie ci, co pozostali, a ja im obiecywałem, że jeszcze dziś, zaraz, prosto z tej sali pójde do KW i powiem, że zaczęliśmy walkę o pokój. Matka mówi, że są w życiu człowieka dni jak droga na Golgotę: idziesz, ale jakby po to, by brać cierpienie, upokorzenia i wstyd. Poszedłem do władz partii, ale przede mną był tam telefonicznie nasz patron. Wyłożyłem tam troskę o POP, wsparty przez towarzyszy prosiłem o radę, ale oni już wiedzieli, że nie jestem wyposażony w uchwałę, mam zaledwie opinię kilku osób i własny upór. Pochwalili nas za dzielność i orzekli, że prezydent też walczy o pokój.

– Ludzie ci są w stanie amoku – mówili – gotowi z lada powodu wywołać strajk powszechny województwa, a małym powodem może być pokoik w Urzędzie Miejskim. Co tedy powinna czynić partia? Oddać im pomieszczenie, czy narazić gospodarkę na ogromne straty?

Tłumaczyłem, że sprawa pokoju POP ma postać prawie symbolu i może stać się precedensem. Oddanie pomieszczenia może być dużą porażką partii. W urzędzie lecą na stół legitymacje. Jeżeli nasze oddanie lokalu ma mieć charakter taktyczny, to lepiej by było przenieść jakiś referat na miejsce POP, a pokój po referacie oddać „Solidarności”. Wtedy można by było mówić o taktyce, a tak robimy ustępstwa.

– Rozmawialiśmy o tym z prezydentem, ale Gaśnicki uparł się, że chce mieć wasz pokój. Podobno w grę wchodzi sprawy osobiste?

– Pretekst. Oni chyba mają w programie rugowanie partii z zakładów pracy, słyszałam o tym. Gdy wystąpią z akcją usuwania partii z fabryk, będzie im zręczniejsze operować naszym argumentem. Dlatego sprawa pokoju naszej POP jest walką o partię.

– Słuszne spostrzeżenie i będziemy o nim pamiętać. Pewne jest, że od klasy robotniczej nie pozwolimy się odsunąć.

– Jednak sekretarzy w największych zakładach pracy nie obroniliście: Jędrzej od mechaników odszedł, Drwal od chemików odszedł, a każdy pod ich naporem.

– Musieli odejść. Każdy z nich miał konto obciążone błędami starej ekipy. Odeszli, ale partia została. Do partii ludzie przychodzą i odchodzą. Można powiedzieć, że w sytuacjach, jaka jest dzisiaj, partia się sprawdza i oczyszcza.

– Zatem mam rozumieć, że jeśli po ciosie, jaki dostaniemy, organizacja partyjna się rozleci, to uznacie za proces oczyszczenia partii?

– Towarzyszu, kochany, w walce jak dzisiejsza, do której zresztą jesteśmy słabo przygotowani, trzeba mieć wiele żarliwości, jaką macie, ale trzeba tę żarliwość trzymać na wodzach. Jest waszą powinnością sekretarza, by przekonać organizację partyjną o słuszności chwilowego odstępstwa. Nam potrzebny dziś pokój w regionie, towarzyszu, a to, że Gaśnicki chce właśnie waszego pokoju, ma jednak źródło osobiste. My na ogół nie wykraczamy w życie prywatne ludzi, ale okazuje się, że czasem i to ma znaczenie polityczne. Dziś członek partii, by mógł do ludzi naszą sprawę nieść, musi być kryształowo czysty. Wzrosły wymagania wobec członków partii.

– Rozumiem, że Gaśnicki was swoją osobą szantażuje – powiedziałem wściekły na tego i na tamtego. – Czy to znaczy, że i mnie wolno szantażować?

– Co macie na myśli?

Miał rację mój rozmówca, że trzeba trzymać emocje na wodzy. Miał rację ojciec, że gadanie jest zmorą człowieka. Wtedy jeszcze tej sztuki nie umiałem. Przyznaję, że gdy KaWuśnik odmawiał nam pomocy, stawał się dla mnie z każdą minutą obleśniejszy. Podczas tej rozmowy atakowało mnie pytanie, co powiem moim? Nasza rozmowa przechodziła z dialogu w konflikt. Urzędnicy są zawsze skłonni do ustępstw, taka jest natura ich pracy. Ale czy zawsze powinni ustępować? Może powinni się bronić, atakować? Wynałazłem atak, który stał się moją porażką, odpowiedziałam egzekutywnikowi, co mi na temat Gaśnickiego opowiedziała Ewa. Ten zaś spokojnie wysłuchał opowieści, jak Gaśnicki na miejsce żony podstawił obcą kobietę, by w sądzie uzyskać rozwód bez żadnych termedii. Patrzył przy tym na mnie jak pasterz na barana albo spowiednik na delikwenta, który bebeszy się przed nim bez nijakiego sensu. Wtedy jednak spojrzenia rozmówcy nie potrafiłem prawidłowo rozpoznać i jakby pierwszego głupstwa było za mało, zrobiłem drugie. Szaleństwo i głupota ustają dopiero wtedy, kiedy osiągną swoje apogeum. Kiedy egzekutywnik odrzekł, że moja opowieść dotyczy wykroczenia kryminalnego, skorzystałem z jego rady i prosto z komitetu poszedłem do prokuratury, po drodze szpetnie urągając KaWuśnikowi: tak więc, jeśli ja jestem z Ewą, była Gaśnicką, to jest to sprawa polityczna, bo „członek partii musi być kryształowo czysty” – przedrzeźniałem go – a jeśli mój przeciwnik obraża prawo, nie ma to znaczenia politycznego. Co za logika? – zostawiałem za sobą oskarżenia, idąc do prokuratury. – Co za hipokryzja?

W prokuraturze zaś, niech cholera dotknie wszelkie prokuratorskie uczciwości, sam szef Dębek powiedział mi, że owszem, sprawa byłaby kryminalna, ale ze

względu na oświadczenie Gaśnickiej dowodowo nikła, a wywłaszczenie jej teraz nie byłoby procesem kryminalnym, a sprawą polityczną i trudno przewidzieć, jakie miałyby zakończenie. Już wiedziałem, że moją wizytę wyprzedził telefon z KW. Dalej Dębek dowodził, że materiał zasygnalizowany prokuraturze jest materiałem, ale raczej dziennikarskim: podlegać powinien nie tyle sądom, co osądom. Oczywiście, podziękował za troskę o czystość społeczeństwa, zaczem poskarżył się na braki kadrowe i zapytał mnie, czy miałbym ochotę przyjść do pracy w prokuraturze: pocmokał nade mną, pokręcił palcami przede mną, popatrzył na zegarek, jakby spieszył się do udoju rogacizny. Zmora opisanych wyglupów dusi mnie do dnia dzisiejszego. O mało zresztą nie doszło do trzeciego upadku. Zawróciłem do domu już od progu redakcji, gdzie pójście zasugerował mi prokurator Dębek. Dobrze, że była środa, w harmonogramie mego życia dzień odwiedzin rodziców.

Tego wieczoru piłem z ojcem biber ze szczególną determinacją, bo po raz pierwszy od dłuższego czasu czułem się tak bardzo przegrany. Na schodach do redakcji pojąłem całe moje frajerstwo człowiecze i zrobiło mi się tak wstyd, że chętnie bym pod darń wlaźł. Jeszcze nigdy nie czułem się tak podle: chciałem wstać i zostałem w zacietrzewieniu donosicielem, a donosu mego nie przyjęto. Przegrałem z prezydentem, z Gaśnickim, ze sobą. Piłem ponuro i szybko, ale własnego wstydu nie zapijesz. Ci, co chcą to zrobić, popadają w nałóg, ale ze wstydem zostają. Pamiętam jednak, że zadałem ojcu pytanie:

- Tato, czy dobrze, jak człowiek się wstydzi?
- Źle jest, jeśli ma powód do wstydu, ale jak się wstydzi, nie jest źle, wstyd człowieka napomina i upomina.

Przyznałem sobie taczkę wstydu, ale moim rozmówcom też w złości nakładłem do kieszeni pokazną

ilość urągania: polityką z jej wyższymi racjami osłaniali swój oportunizm, psie krwie, kundle, łysi i parchaci na sumieniach, stare lisy wyleniałe na podbrzuszach. Wykołowali mnie. Sprowadzili mnie do parteru. Przenocowałem u rodziców, a Ewie o moich donosach nie powiedziałem. Na tyle obiektywizacji nie było mnie stać. Prawda, że dziś, gdy nad wodą opowiadałem o moim jęzorze jako o działaniu zmory, znów rozważałem moją postawę i tamtych, skłonny jestem przyznać, że mieli oni wiele praktycznego, horacjańskiego rozumu: rzucać tarczę, kiedy trzeba, pisać ody o dzielności, gdy będą potrzebne. Mądry Rzymianin wiedział, co czynić trzeba, a ja, Rzymianin pozorny, wtedy nie wiedziałem.

X

Pokój oddałem Gaśnickiemu. W Urzędzie Miejskim gadano, że z pomieszczenia wyparł nas wielki jak pułkownikowski buzdygan długopis Lecha Wałęsy, którym przywódca „Solidarności” podpisywał porozumienie z rządem. Z dawnej siedziby partii w UM płynęły teraz na wszystkie strony polecenia przeciwko niej. „Solidarność” Gaśnickiego przejęła inicjatywę polityczną. Funkcjonowała też rada rynku i ona stawała się główną areną walki politycznej Gaśnickiego z administracją miejską: atakował ją głównie za złe zaopatrzenie sklepów, a napaady z każdym dniem były ostrzejsze i głębsze. Oto członkowie „Solidarności” pracujący w mleczarstwie informowali, że mity o pustych magazynach są wredne jak cała polityka partii, bo w nowej mleczarni nie wiedzą, co z produkcją robić. Ludzie z zakładów mięsnych donosili do sztabu, że rytm uboju i przerobu surowca jest taki, jaki był. Usytuowany obok komendy MO magazyn artykułów spożywczych pęka od cukru i są tam budynie, galaretki, landrynki i miętusy, czyli jest, co trzeba, ale nie wiadomo, komu przeznaczono towar. Co zatem robić, by załogi miały siłę pracować? Trzeba odsłonić plandekę z okrytych tajemnicą produktów. Komisje prezydenckiej rady na rynku powinny sprawdzać, co jest za drzwiami magazynów. Gaśnicki też był sprytny. Nie „Solidarność” miała kontrolować przemysł spożywczy i hurt, miały to robić komisje rady rynku przy prezydencie, gdzie panowali ludzie Gaśnickiego. Mój udział w tym procederze był nikły. Sprowadzał się do ułożenia zaświadczeń dla

członków komisji kontrolnych. Dokumenty podpisywać miał prezydent, ale żadnego nie sygnował, czynność tę zlecił jednemu z zastępców. Gaśnicki dążył, by kontrole szły do magazynów w imieniu prezydenta, zlecił ich wysyłanie podwładnemu koledze. Asekuracyjny znak czasu czy urzędniczy spryt? Moje stosunki z szefem były teraz zaledwie poprawne.

Obowiązki urzędnicze wykonywałem należycie, może nawet z większą pedanterią niż przed walką o pokój, by prymariusz nie miał do mnie żadnych pretensji; jemu przysługuje prawo ocen i nagan, z nim współdziałają politycy. Ale wprowadziłem wyraźny podział swoich działań w urzędzie: tu pedantyczny pracownik podporządkowany zarządzeniem zwierzchnika, tu zaś sekretarz POP i lider politycznej walki z opozycją Gaśnickiego. Na miejsce półzakonspirowanej rady etyki wprowadziłem ćwierć zakonspirowane zebrania POP, na które zapraszałem, poza prezydentem, wszystkich, co chcieli przyjść. Zebrania zwoływałem dość często, by członkom partii przekazywać bieżące informacje z góry, których było dość sporo, a także, by informować ludzi o tym, co robi przeciwnik. Przyznaję, że nasza „kospiracyjność” była trochę kokieteryjna, ale zauważyłem, że nasze krótkie, niecelebrowane jak ongiś zebrania ludzie zaakceptowali. Piętnaście minut i koniec. Zebrania nasze nazywaliśmy błyskawicami. Mój pokój był teraz prawdziwym sztabem rewolucji informacyjnej. Prezydent wiedział o naszych poczynaniach, ale milczał. Doskonale był także poinformowany o nas Gaśnicki. Nawet przejął nasze metody. Na nasze błyskawice odpowiadał własnymi. Walka miała czasem osobiste akcenty: oto na jednej z narad Gaśnicki powiedział, że jedynym człowiekiem, z którym nie może znaleźć wspólnego języka jest sekretarz POP w Urzędzie Miasta.

Na to jeden z jego z nowszych aktywistów zaproponował, że jeżeli jestem aż taki niezdolny, to on zorganizuje brygadę osiłków budowlanych, którzy taczka mnie do sadzawki wywiozą. Opinie tę, jako ostrzeżenie, powtórzono mi dokładnie, bo na ich konwektyklach też bywali moi ludzie, jak na moich ich agencji. Przyszło mi, że wobec licznych gróźb rozważałem rzecz, czy nie zostawić całego kramu i więcej nie narażać się podnieconemu zwycięstwami ruchowi. Zauważyłem jednak, że po pierwszym okresie szoku i politycznego paraliżu nasza organizacja partyjna jakby nabierała prędkości. Wydaje się, że napór, jaki ludzie Gaśnickiego wywierali na nas, stworzył nowy opór. Nasze gęste kontakty, nasza nowa fraternizacja podobna do tej, jaka kiedyś była w zakonspirowanych komórках komunistów, nasza żywa reakcja na zdarzenia, a zwłaszcza ruchliwość przy zaspokajaniu ludzkiej ciekawości sprawiły, że organizacja nabierała sił. Przyszło mi, że doświadczenia nabyte w Akademii przydały mi się teraz wybornie. Wprost nasłuchiwałem, co ludzi najbardziej interesuje i usiłowałem im te sprawy wyjaśniać z pełną szczerością: ceny i ich ruch, zadłużenie państwowe a obywatelskie, naturalne i bezinstytucjonalne formy kontroli, czy egalitaryzm jest potrzebny i słuszny? Na tablicy ogłoszeń organizacji społecznych wypisywaliśmy tematy naszych spotkań dyskusyjnych, jak je nazywaliśmy, gdyż były one obok „błyskawic” podstawową formą naszej pracy. Zaczęło przychodzić do nas coraz więcej ludzi. Niektórzy przybywali, by nam gorącego łoża za pachwinę zalać, ale dla nas było obojętne, z jaką intencją przychodzili. Na spory i polemiki byliśmy przygotowani, a nawet nam na nich zależało. Niekiedy utożsamialiśmy się z oponentami, co ich wprowadzało w zakłopotanie. Jeśli nam mówili, że trzeba oczyścić stajnię Augiasza,

odpowiadaliśmy, że niczego więcej nie pragniemy. Kiedy mówili, że władza nami bożek etatyzmu, a jego formą bycia jest nomenklatura, odpowiadaliśmy, że też jesteśmy przeciw fetyszycacji etatowej. Wołali: „Precz z karuzelą stanowisk”, a myśmy dokrzykiwali swoje precz. Mówili, że pragną wolności, a myśmy dodawali, że jesteśmy przeciw jej krępowaniu. Ogłaszali, że polityka jest kłamliwą częścią bycia, a myśmy podpowiadali, że naiwnością było sądzić, iż polityka staje się według norm etycznych. Zabrania nasze byty tłoczne i żywe.

Pewnego razu agencja siostra Lucyna przyniosła wieść, że na posiedzeniu aktywu „Solidarności” znów zaatakowano mnie osobiście. Zaatakowano ideę budowy Pałacu Ślubów w sytuacji, gdy związek „Solidarność” gnieździ się w pokoiku z pakamerą. Winą za stan rzeczy obciążono prezydenta. Ten zaś, kiedy otrzymał informację o ataku, wiedział, że jeśli z tej katapulty podszedł pierwszy pocisk, pójdą następne. Sprawę skonsultował z wojewódzką zwierzchnością i już pozornie prowadzoną budowę wstrzymał. Teren ogrodzono, a na parkanie zawisła tabliczka, że robota pałacu jest w stanie zawieszenia. Wezwany przez „Solidarność” do udzielenia wyjaśnień, wszedł na salę uśmiechnięty, jakby milion wygrał i prawie kordialnie oświadczył, że sama idea porządnego usytuowania USC jest słuszna, dlatego pochopnie uległ wnioskowi sekretarza Garbarza. Teraz jednak, w nowej sytuacji, kazał wstrzymać budowę, a moc przerobową przerzucił do remontu lokalu po Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej, gdzie zarząd regionu będzie miał jak u Pana Boga za piecem. Oczywiście w miejscu zaczętej budowy coś trzeba będzie robić. Może właśnie dom związkowca? Pałac związków zawodowych regionu. Postąpił sprytnie. Nawet wywołał oklaski, co było dużym wydarzeniem,

gdyż ludzie ci wyrosli z negacji, w niej trwali i nie lubili fetować przedstawicieli władzy: władza, jeśli cokolwiek dawała, dawać musiała, bo im się należało. Siostra Lucyna mówiła, że słał niskie ukłony dookoła, jakby długimi uszami chciał im powietrze rozwachlować. Nie byłem zaskoczony tym, że wnioskiem o budowę Pałacu Ślubów mnie obciążał, mówił zresztą prawdę, ale wiedziałem też, że po konflikcie w sprawie pokoju będzie mnie podgryzał od korzeni. Co tedy robić?

– Co zrobić? – mówiłem do Ewy, kiedy rozważaliśmy postawę naszego markota.

– Trzeba ich mocno uderzyć – powiedziała mściwie.
– Na zebraniu u siebie pochwal decyzję prezydenta i zaproponuj, był USC umieszczono w pałacyku, gdzie urządza Wydział Rolnictwa wojewody.

– Pałacyk idealny. Ale gdzie podziąć wydział?

– Nie twoje zmartwienie. Zadasz im bobu aż po ból w wątrobie.

– Jesteś geniuszem intrygi, Ewa.

– Jestem urzędniczką naszego magistratu – odpowiedziała.

Rozpętaliśmy piekło. Używamy liczby mnogiej, bo pomysł dała dziewczyna, a wykonałem go na kolejnym zebraniu błyskawicy. Znów na wokandę wszedł Pałac Ślubów. Zawrzało na mnie gniewem dwóch ludzi: odebrałem pokój i dobry apetyt wojewodzie i Gaśnickiemu, który miał ten właśnie postulat zgłosić na sesji WRN, by tak zacząć ostrą walkę przeciw władzom wojewódzkim. Siostra Lucyna doniosła, że Gaśnicki aż wargi gryzł, gdy mu o moim wystąpieniu powiedziała. Szefowi regionu „Solidarności” wcale nie chodziło o lepsze usytuowanie USC, a o to, by mieć pretekst porządnego uderzenia we władze wojewódzkie: dookoła w miastach strajki, duże

protesty, wszędzie regiony wykazują dzielność w zwalczaniu oponentów, a u nas zaledwie w zanadru sprawa domu, jaki wystawił sobie na dziedzińcu uczelni profesor, kierownik cyklu studiów zaocznych. Ale to był tylko profesor. Prawda, że gdzieś wokół domów profesorskich rozpętano znaczną akcję, ale jako cel ataku lepszy był wojewoda. „Oto, patrzcie ludzie, administracja rozwala się w pałacach” – mówiliby regionaliści – „a Brecht pisał, że partia nie urzęduje w gmachu o stu telefonach. Już im nie wystarczają biura w biurówcach”. Gaśnicki mógłby utożsamić się z moim wnioskiem, ale był wściekły, że ze strajkowego rondla wyciągnięto mu najtłustszego kapłona. Agencja siostra Lucyna opowiadała, że biegał po pokoju, wykrzykując, że w ich sztabie musi być jakiś agent, co tajemnice wynosi. Był. Od dwustronnego agenta dowiedziałem się, że wniosek w sprawie Pałacu Ślubów miał być uwerturą do strajkowej opery województwa. Gaśnicki był prawie pewny, że wojewoda odmówi usunięcia Wydziału Rolnictwa z pałacu, a wtedy region zacznie swoje przedstawienie. Miałem rację, że pokój POP był zwiastunem działań „Solidarności”. Postawiliśmy im zaporę. Intryga ma w sobie skuteczne piękno. Dodatkowo zasialiśmy nieufność w sztabie przeciwnika. Poza biegającą jak fryga od nas do nich Lucyną, pracowała u nich pewna Basia, dziewczę ze skłonnościami do bezserwistwa i tak wyjątkowo infantylne, że wystarczyło zwątpić w to, co mówi, by w imię prawdomówności wszystko wygadała. Lucyna umiała z Basi wyciągać wszelkie informacje. Może i Ewa wiedziała o zamierzeniach Gaśnickiego?

Natomiast wojewoda, gdy doszła do niego wiadomość o wniosku naszej POP, także wpadł w wielki gniew. Wyładował go na naszym markocie.

– Co się u was dzieje, prezydencie? – wołał do szefa i podsłuchującej ich rozmowę Ewy, która chwilowo zastępowała sekretarkę. – Co za anarchistyczne wnioski zapadają na zebraniu w UM? Ten Garbarz chce Wydział Rolnictwa z miasta wyrzucić? Można do takich wniosków dopuścić? Nie panujecie nad sytuacją, prezydencie.

– Z nim nie ma żadnej współpracy, panie wojewodo.

– Dlaczego nie pójdziecie z tym do KM, KW?

– Mówią, że wolontarystycznie, ale prowadzi dobrą pracę i zdobywa zaufanie ludzi.

– Jeżeli wniosek stanie się publiczny – grzmiał wojewoda – jeżeli wysunie go „Solidarność”, a na to się zanosí, jeżeli ja będę zmuszony do odmowy, to nasze porachunki z wami, prezydencie, będą dla was przykre.

Markot po rozmowie z wojewodą wpadł w głęboki namysł. Ewa pod lada pretekstem włązała do gabinetu i zastała szefa z rękami przyciśniętymi do uszu. Zostawiła go w stanie rozstroju, opuściła sekretariat i wpadła do mnie, by błyskawicznie opowiedzieć, co się stało. Byłem przygotowany na wezwanie przed Janusowe oblicze, ale dopiero pod koniec urzędowania zatelefonowano, bym niezwłocznie poszedł do KW.

– Słyszeliśmy, że chcecie województwo z miasta wyrzucać – powiedział ten, co niedawno rozmawiał ze mną o pokoju: drażniła mnie jego lekko wysunięta do przodu warga, jego wąsik, jego początkowa łysinka.

– Ja tylko uważam, że tam byłoby najlepsze miejsce na Pałac Ślubów.

– Czy wniosek ten z kimkolwiek konsultowaliście?

– Z nikim.

– A czy wiecie, jakie mogą być polityczne skutki waszego wniosku?

– Wiem. Pozytywne. Młode pary będą zawierały związki małżeńskie w przyzwoitych warunkach.

– Nie o tym myślę.

– Jest to największa słuszość, jaka może być.

– Tak. Mieliliśmy informację, że prowadzicie ożywioną i bardzo samodzielną działalność. Cieszyło nas to, ale nie sądziłem, że dojdzie aż do takiego wnioskania.

– Ponieważ nie potrafiliście lub nie chcieliście nas bronić, kiedy trwała walka o pokój, zaczęliśmy pracę po swojemu. Już mamy pierwsze rezultaty. Na zebrania przychodzi coraz więcej osób. Dwóch ludzi, którzy złożyli legitymacje, poprosiło o ich zwrot.

– Wojewoda na was zły. Prezydent mówi, że współpraca z wami staje się niemożliwa.

– Prezydent zabrał nam pokój.

– Chyba pojmujecie, że jeśli nastąpił aż taki konflikt, to obaj z prezydentem pracować nie możecie.

– Proszę, zapraszam do urzędu, przyjdźcie na zebranie i powiedzcie, że muszę odejść z funkcji sekretarza, bo tak sobie życzy prezydent.

– Nie, towarzyszu Garbarz, tak czynić nie będziemy – uśmiechnął się chytrenko. – Nie będziemy robić publicznego przetargu. Poprosimy was, byście zrezygnowali z funkcji w związku ze zmianą pracy... Chcemy was awansować. Chcemy prosić, byście przyszli do pracy u nas. Jest wolne stanowisko zastępcy kierownika wydziału administracyjnego. Co wy na to?

– Mam dostać kopniaka w górę?

– Powiedzmy inaczej – znów uśmiechnął się milutko – potrzebujemy was.

Odmówiłem, ale nie od razu. Zwłoki wymagała urzędnicza taktyka. Trzeba było poudawać, że propozycję rozważam, rozmyślam nad nią i tak uhonorować proponujących,

a równocześnie zyskać czas, aż wypieklą się gniewy wywołane wnioskiem o nowe usytuowanie Pałacu Ślubów. Stało się jak przewidziałem. Po raz pierwszy od dłuższego czasu prezydent poprosił mnie na rozmowę telefonem wewnętrznym i osobiście, a nie przez sekretarkę. Usadził mnie w fotelu, kazał podać kawę i miło powiedział, że w najbliższym czasie POP otrzyma swoją siedzibę, bo Gaśnicki przejdzie do nowego lokalu: tam już malarze malują, elektrycy zakładają oświetlenie, monterzy telefony i telexy, robota wre w rytmie dwuzmianowym. Wyraził zadowolenie, że organizacja partyjna w mieście wykazuje dużą aktywność. Na zakończenie rozmowy o życiu i zdrowiu prosił, by o każdym zebraniu go informować, bo chciałby z nami być i radzić.

– Pan prezydent zapewne myśli o usytuowaniu USC w pałacyku po rolnikach?

– Niezupełnie. Ale gdyby USC tam przeszedł, urząd zyskałby nowe pomieszczenia.

– Czy znaczy to, że pan wojewoda ma zamiar pałacyk odstąpić?

– Niczego nie można wykluczyć, panie kolego. Teraz, gdy „Solidarność” jest legalnym związkiem o dużych wpływach, każdy musi zdanie ważyć. Sam pan widzi, co się dzieje, dookoła rujnujące strajki, wywalanie ludzi, a u nas spokój. Nawet działania odwrotne. Pan wie, co nastąpiło w kartoniarni?

Wiedziałem, ale zaprzeczyłem skrzętem głowy, bo pomyślałam, że jak zaczął, niech gada.

– Pan wie, że w tej małej fabryce poza torebkami i szarymi kopertami produkujemy tuleje do gazów lżejszych. Ostatnio wzrosło zapotrzebowanie na wyrób tak bardzo, że aby kobiety tam pracujące zachęcić do lepszej wydajności w rytmie trzymianowym, minister podjął

poważne decyzje placowe. Kartoniarki stały się najwyższymi zarabiającymi robotnicami miasta. Wieści takie leciały szybciej niż by je nadawano przez radio i doszły, bo dojść musiały, do sztabu Gaśnickiego. Tam zaś podjęto decyzję, że zamiast zwiększonej wydajności, zafundują ministrowi strajk. Wymyślono nawet zgrabne hasło: „Nie robimy gazów przeciw braciom” i wysłano emisariuszy do kartoniarni. Stała się jednak rzecz nie do przewidzenia. Kiedy zaproponowali babom strajk i powiedzieli, że będą miały za przestój zapłacone według dawnych zarobków, bo nowych nie powinny przyjąć, te nauręgały agitatorom i obrzuciły ich wybrakowanymi tulejami. Podobno któryś nawet ścierą po uchu dostał.

– Rozumiem – powiedziałem do prezydenta – dla nich największą klęską byłby postój i spokój. Zupełnie jak wśród adwokatów: im więcej jest przestępców, tym więcej rozpraw i większe ich dochody.

– Tak. W sztabie Gaśnickiego zapanowało przygnębienie. Sądziło się, że sytuację mają w palcach, a spotkała ich siurpryza. Był projekt, by posłać kartoniarkom nową delegację, kobietą, z juty, ale bano się wojny babskiej i związanego z nią rozgłosu. Postanowiono porażkę wyciszyć.

– Ciekawa sprawa. Wracając jednak do USC, czy istotnie pan wojewoda ma zamiar przenieść Wydział Rolnictwa?

– Myśli. Powiem panu w zaufaniu, że już zaczął przygotowania do przeprowadzki – zniżył głos prawie do szeptu. – Prawdopodobnie technikum melioracyjne przeniosą za miasto, a tam usytuują wydział. Oczywiście, jeśli pan Gaśnicki wystąpi z wnioskiem na sesji. Gdy będzie jasne, że Gaśnicki sprawę USC podejmie, wojewoda go uprzedzi i w swej informacji powie o zmianach udogadniających pracę administracji za pomocą rotacji lokalowej. Powie, że jest to wniosek partii.

- Sprytnie – rzekłem.
- Mądrze. Dla nas całą akcja może przynieść ten zysk, że przybędzie nam powierzchni biurowej.
- A jeśli Gaśnicki od wniosku odstąpi?
- Zostanie jak jest.
- Okazuje się, że wniosek w sprawie Pałacu Ślubów nie był taki anarchistyczny.
- Nie. Pan jest przewidującym człowiekiem. Wracając jednak do naszych spraw, Czy podjął już pan decyzję o przejściu do KW?
- Jeszcze nie.
- Rabują mi najlepszych ludzi. Ale awans jest awansem. Proszę pana tylko, że jak pan podejmie decyzję, chciałbym o niej pierwszy wiedzieć. I oczywiście pogratulować nowej funkcji. W czasach mojej młodości mówiono, że jak ktoś z zakładu wszedł do aparatu partyjnego, w zakładzie było święto.

Przyrzekłem, chociaż już wiedziałem, że propozycji pracy w KW nie przyjmę. Najserdeczniej jak mogłem, odradzał mi to ojciec. Jednak zwodziłem jeszcze dwa tygodnie, trzymając prezydenta w stanie niepewności. Doznawałem nawet małej radości patrząc, jak człowiek ten halsuje wokół mnie w lansadach, jak mizdrzy się uśmiechami, jak faluje ukłonami. Fraszki są to fatalaszki – myślałem o ruchach markota, natomiast to, co mi powiedział o przygotowaniach wojewody, miało duże znaczenie poznawcze: wszyscy żyją taktyką, każdy intryguje jak może, intrygę uprzedza intrygą, intryga staje się modulem obecności stron, staje się prawdziwym ślubem stron w wielkim jej Pałacu. Co robi kolega Gaśnicki? Natrze na wojewodę, by uzyskać zwycięstwo i tak dozna porażki? Pasjonujące było oczekiwanie na sesję WRN. Dwa tygodnie urzędnicy Wydziału Rolnictwa dyskretnie

wiązali sznurkami teczki akt, robiąc z nich paczki. Czternaście dni dyrekcja technikum melioracyjnego darła sobie włosy z głowy. Podobno już organizowali strajk protestacyjny młodzieży i rodziców. Ale Gaśnicki wniosku o przeniesienie USC nie wysunął. Może nie chciał powtarzać się za kochankiem byłej żony? Może akcję lokalną odsunęła sprawa przygotowań do strajkowego poparcia na wypadek, gdyby sąd w Warszawie nie chciał zarejestrować nowego związku w oparciu o statut, jaki ten przedłożył? A może Gaśnicki też miał dobrego agenta w sztabie wojewody?

XI

Przyszedł nowy czas. Ludzie już przywykli, że są braki i kolejki, że tu i ówdzie wybuchają małe ogniska strajkowe, że przed budynkiem przedsiębiorstwa budowlanego, z powodu nienaturalnej wielkości budynku zwanego przez lud miasta oenzetem, każdego dnia od piętnastej do osiemnastej nadaje swoje audycje uliczne radio „Solidarność”, a miejscowa gazeta zgodnie z duchem czasu część łamów wydzieliła dla nowego związku zawodowego. Mowa publiczna też sięgnęła po nowe wyrazy. Niedopuszczalne dotąd w gazetach słowa, jak kryzys, zadłużenie państwa, słabość gospodarki, dychawica i rozregulowanie rynku, stały się codzienne. Nawet ataki na prominentów i panów Rzeczypospolitej spowszedniały. Znudziły się też liczne i publicznie opowiadane dowcipy o milicji. Prawda, że przechodnie po wyjściu z pracy na dźwięk słów nadawanych przez głośniki radia „Solidarność” przystawali, ale specjalnie po prawdę tam głoszoną nie biegli: można ją było usłyszeć od sąsiada, kolegi w biurze, w kolejce. Wśród inteligencji coraz liczniej krążyły odbijane na powielaczach, a także przemycane książki. Przyznaję, że z Ewą przeczytaliśmy „Doktora Żywago” Borysa Pasternaka, „Archipelag Gułag” Sołżenicyna, „Umysł zniewolony” Czesława Miłosza, „Jeszcze raz o cudzie nad Wisłą”. Pamiętam, że przy lekturze książki Miłosza mieliśmy pewne trudności z rozszyfrowaniem kryptonimów, jakie pisarz zastosował. Książki te podawano sobie z rąk do rąk i w tajemnicy, ale konspiracja ta była wielce zabawna, bowiem materiałów krążyło tak

wiele, iż najgłupszy milicjant musiałby przekazywanie owej bibuły zauważyć. Zapewne widział proceder i czytał wydawnictwa, w których go atakowano za przywileje płacowe i rentowe: argumenty płac i nabywania dóbr powoli stawały się dla ludzi najważniejsze. Jeśli z głośnika radia „Solidarność” nadawano, że żona pierwszego sekretarza KC partii jeździła po perfumy do Paryża, to obywatelka sprzedawczyni ze sklepu rybnego rozumiała, że ją okradali z urzekającego zapachu firmy „Coty”. Jeśli kolega urzędnik słyszał, że policjant przechodzi na emeryturę w wieku czterdziestu pięciu lat i otrzymuje świadczenia w wysokości stu procent uposażenia, to uważał, że jest okradany i mówił, że wprowadzono nową nierówność społeczną, a skrzywdzony jest on, urzędniczy realizator wszelkich ustaw. Jeśli nie tak dawno wielką odwagą było na zebraniu lub mitingu wypowiedzieć myśl, która mogła być źle przyjęta przez oficjeli, to dziś wyjątkowo odważny był człowiek przedstawiający zebranych pod rozwagę kwestie: A może oni zrobili tylko pomyłkę? Czy jest na świecie władza, która chciałaby źle rządzić? Czy są dowody na to, że ci ludzie byli złodziejami? Polska to kraj o tyle szczęśliwy, że jego przywódcy nigdy nie byli złodziejami: nie był złodziejem Piłsudski, nie był nim Gierek. Bez megalomanii przyznają, że na naszych zebraniach tak postawione kwestie wywoływały burzliwe spory, które w ostatecznym razie prowadziły do rozsądnych wniosków. Bo co to znaczy, że przywódcę takiego kraju jak Polska możemy obciążać wybudowaniem sobie domku jednorodzinnego w oparciu o korzystne kredyty bankowe? Przecież dom stoi w Polsce. Cała zasada odwagi została naraz odwrócona. Kiedyś trzeba było mieć odwagę wystąpień przeciw władzy, dziś przeciw władztwu opinii publicznej, którą w obiegu nieoficjalnym dzierżyła w swoim ręku „Solidarność”.

Opowiadając o tym chcę powiedzieć, że wprowadzaniem tak postawionych tematów prowadziłem walkę przeciw nowym schematom na rzecz obiektywizmu. Właśnie obiektywizacja może być ideą, która powinna po okresie burzy zawładnąć materią polityczną Polski – rozważałem. Z tymi poglądami wyszedłem poza urząd. Wspominałem już, że tuż przy magistracie był klub, gdzie urządziliśmy poprawiny wesela mojego Grudnia. To właśnie pomieszczenie wybraliśmy na siedzibę obiektywistów, do których należał Wirt, Kaduk, emerytowany już magister Jałowiecki, czyli przedłużenie naszej Akademii. Przyszło też trochę ludzi młodszych, którzy w odnowie życia widzieli szansę dla siebie i kraju. Ze strony władz partyjnych miasta i województwa nie mieliśmy żadnych przeszkód: może nie pochwalali skrajnego obiektywizmu, ale wyrażali zadowolenie, że w okresie ogólnego braku aktywności, a nawet uwiązdu koncepcji politycznych, jaka zapanowała, znalazła się grupa ochotników do działań. Prawda, że w KW powiedzieli mi wyraźnie, iż woleli mnie mieć u siebie, niekoniecznie jako zastępcę w administracyjnym, jeżeli to mi nie pasuje, ale przy pracy ideologicznej, która jak widać bardziej mi odpowiada. Odpowiedziałem, że lepiej się czuję w bezpośrednim kontakcie z ludźmi, a nasza grupa obiektywistów ma coraz większy rezonans, ludzie do nas przychodzą: mamy nauczycieli, inżynierów, ekonomistów. Są to osoby młode i bez opozycyjnego zacierzwienia, a formuła obiektywizmu trafiła im do przekonania. Pragną obiektywnego poznania rzeczywistości i w oparciu o poznanie chcą mieć wpływ na ułożenie nowego ładu, jaki po uspokojeniu musi nadejść.

– Wszystko, co się u nas stało i staje – mówił w swoim wystąpieniu klubowym inżynier Gajda – ma znamiona buntu przeciw zastanym formom. Może nawet nie jest

to bunt, a rewolucja bez wojny domowej. Zdaniem moim sposoby rządu i zarządzania muszą być gruntownie zreformowane, a naszą rzeczą jest myśleć i wnioskować, jak życie zreformować. Dzisiaj wydaje mi się rzeczą najważniejszą stworzenie prawidłowych zasad wyzwalania energii ludzkiej. Wszak wszystkim wiadomo, że ten system społeczny jest lepszy i sprawiedliwszy, który potrafi dać największe możliwości rozwoju. Co jednak się dzieje, jeśli nasz inżynier coś sensownego wymyśli? Znamy w naszym środowisku inżyniera Biernata, wynalazcę maszyny rolniczej do pracy na zboczach. Robocik ten, wykorzystując rozwiązanie hydrauliczne, sam ustawiał się pod określonym kątem do wzniesienia. Kolega Biernat chodził ze swoim pomysłem od krańca do krańca Polski przez pięć lat, a po pięciu latach przysłowiowego walenia głową w ministerialne mury sprzedał wynalazek za granicę i wiecie, towarzysze, co się wtedy stało? Prokurator Dąbek rozpoczął przeciw niemu śledztwo za sprzedanie tajemnic. A wiecie, co się później stało? Kolega Biernat skorzystał z bałaganu, jaki u nas nastąpił i wyjechał do Niemiec. Tam zaczął pracować w firmie, która wynalazek kupiła, a teraz, jako prześladowany politycznie, otrzymał azyl w RFN: tak wyeksportowaliśmy wynalazek razem z inżynierem. Czy to urządzenie i ten inżynier nie powinni pracować na naszą korzyść? Czy jest w Polsce ktoś, kto będzie ścigał nie wynalazców, a tych, co powodują, by wynalazcy uciekali? Jestem przekonany, że należałoby postawić na placu miasta solidny pręgierz, przy którym powinni być batożeni zasłużeni dla tłumienia postępu prokuratorowie.

– Jest o was coraz głośniejsze, towarzyszu – powiedzieli mi przyjaźnie i perswazyjnie w KW – podobno chcecie prokuratorów batożyć? Cała rzecz w tym, że teraz partia prowadzi kampanię na rzecz swojej odnowy. Powstają

u nas zespoły do opracowywania tez dla KC i na zjazd. Czy nie dobrze byłoby, gdybyście włączyli swoje uwagi do naszych materiałów? Na przykład Dąbek jest w zespole do spraw samorządu i praworządności. Czy nie lepiej byłoby, gdybyście swoje uwagi wnieśli mu w oczy? Cała rzecz w tym, że „Solidarność” obecnie prowadzi ostrą kampanię przeciw prokuraturze. Pretekstem jest list prokuratora generalnego do podległych mu prokuratur. Są ludzie, którzy mogliby to połączyć przeciwko wam, że miechy „Solidarności” napędzacie. Sam zainteresowany może tak twierdzić. Uważajcie.

Zespołów odnowy było w partii sześć, a my zostaliśmy zespołem siódmym. Przyznaję, że nasze wnioski o odnowę życia były personalnie radykalne. Dla nas, jeśli winna była milicja, wołaliśmy o rachunek prawdy dla milicji, jeśli prokurator udawał, że realizuje prawo, to biliśmy po okularach obłądy prokuratora. Kiedy doszliśmy do wniosku, że w Polsce oskarżony praktycznie jest pozbawiony obrony, konsekwencją rozumowania był wniosek o powołanie w PRL urzędu sędziego śledczego, który byłby barierą wobec tendencyjnych działań. Zrozumiałe, że rudowłose Dąbek czuł się z tym źle, bowiem kwestionowaliśmy jego prawość tak bardzo dotąd opiewaną w licznych referatach i publikacjach. W odpowiedzi nasz adwersarz po prostu w swym wystąpieniu na posiedzeniu zespołu trzeciego ogłosił nas ujawniającymi się rewizjonistami. Powstała tedy nowa sytuacja: dotąd mieliśmy jednego przeciwnika, któremu odbierali naszą obiektywizację, teraz wyslizgnął się drugi wąż i jaszczur starego ładu. Podpalaliśmy mu słabiznę słowem gorącym jak ożóg. Naraz siódmy zespół partyjnej odnowy stał się sławny w całej strukturze partii: leźli do nas ci, co chcieli wyrzucić na kimś zemstę. Przyszła pewna żona, by zawiadomić nas, że człowiek ten

jako magazynier i sekretarz POP od lat kradnie makaron. Kiedyś przynosił do domu, teraz zaopatruje kochankę i jej hodowlę psów rasowych. To znów przyłazł mąż z donosem, że jego żona jako główna księgowa spisała stary fortepian z zakładu na straty, chociaż jest z niej głucha krowa, a teraz skrzydła instrumentu używa jako deski do prasowania. Przybył do nas także prokurator Dąbek. Wkroczył i powiedział, że jest człowiekiem walki o praworządność, że chce utożsamić się z naszymi pożytecznymi pracami, że może być dla nas pomocny. O rewizjonizmie jakoś zapomniał. Odrzekliśmy mu, że owszem, ale u nas obowiązuje demokracja i nad każdym przyjęciem człowieka do ugrupowania głosujemy. Jeśli otrzyma głosy, wejdzie do grona sprawiedliwych. Było to jednak po wystąpieniu inżyniera Gajdy, który publicznie wniosował o biczowanie prokuratora. Nie przyjęliśmy do siódemki dzielnego oskarżyciela publicznego także dlatego, że wpłynął donos: stróż praworządności – napisano – w spółce z komendantem poligonu utrzymuje na terenach ćwiczeń wojskowych hodowlę bydła rzeźnego. Oczywiście na poligon nas nie wpuszczono, ale dochodzenie wywołaliśmy i wtedy wspólnicy przyznali, że bukaty należą do żony pułkownika i córki prokuratora. A te panie są zbawczyniami zaopatrzenia ludu pracującego w mieście. Sprawa rogaczyny przysporzyła nam nowej sławy. Opinia publiczna mianowała nas do rangi obywatelskiego komitetu dochodzenia do sprawiedliwości. Teraz donosów mieliśmy tak wiele, że nie byliśmy w stanie ich przebadać. Na przykład list nauczycieli akademickich o profesorze-szefie, który na dziedzińcu Akademii zbudował sobie dom: uznaliśmy profesora winnym wykorzystywania stanowiska do celów prywatnych i do siódemki go nie przyjęliśmy. Wyciągnęliśmy na światło dzienne fermę zwierząt futerkowych czterech

dyrektorów, fermy kurze dwóch, stawy rybne oficera milicji, współdziałał w butikach dyrektorów WSS. Jest tedy zrozumiałe, że obwiniani ogłaszali nas złośliwym rakiem partii, który trzeba wypalić ogniem albo zajzajerem. Wściekła na nas była także „Solidarność”, bo wyrrywamy z jej pazurów najsmaczniejsze kaski, którymi chciała nas chlastać po gębach – nie oni walczyli z wynaturzeniami, a my. Wraz z naszą siłą wzrastała wokół siódemki wielka niechęć: nawet KaW-uśnicy, którym przekazywaliśmy wyniki naszych ustaleń, byli na nas krzywi.

– Czuję, że są w echu współwiny – mówił Gajda, kiedy rozważaliśmy ów problem – Przecież wynaturzenia powstawały obok nich i razem z nimi.

– Ich ból polega na tym, że ludzie, przychodząc do nas, głosują przeciwko nim – mówił Jałowiecki.

– Niech każdy, jak ów Greczyna, chwali męstwo swoje: silniejszy jestem, cięższą podajcie mi zbroję – mówił patetycznie Szarejko entuzjasta.

Interesująco ułożyły się teraz moje stosunki z patronem. Byłem podległym mu kierownikiem wydziału, równocześnie sekretarzowałem w urzędzie i współliderowałem groźnemu zespołowi siódmemu, którego zainteresowani ogłaszali stacją odstępstwa. W każdej mowie oskarżycielskiej, a takich w ciągu miesiąca prokurator Dąbek wygłosił siedem, podnoszona była szkodliwość naszej obecności w mieście. Prokurator przywoływał na świadka Judasza z Nowego Testamentu, konia trojańskiego z Iliady, turkucia podjadka z biologii. Natomiast nasz praetor nie lubił się wyraźnie deklarować. Podnosił stępę i długo ją w powietrzu trzymał, nim na chodnik postawił. Teraz wiedział, że ma obok dwie groźne siły, które mogą zwalczyć – neutralizował. Wywoływał ze mną jako sekretarzem konfidencyjne rozmowy, prowokował ciche narady, co

robić? Jak postąpić w takim, czy innym wypadku? Przybierał przy tym ton zwierzeń najszczerzych, wyznając, że jako pomocnik jestem mu skarbem. Jednak choć Gaśniczki ze sztabem odszedł na nowe miejsce zakwaterowania, pomieszczenia nam nie zwrócił.

– Trzeba pokój odnowić, bo go zdewastowali. Nie możemy partii dać lokalu w ruinie – powiedział wylewnie i z prawdziwą troską w głosie. I to była jego asekuranczko uniesiona stopa. Później mógł ogłosić, że pokoju nie oddał, bo nie chciał popierać rewizjonistycznej schizmy.

Złagodniały też moje stosunki z matką. Gdy przychodziłem do domu, nie pytała już: „A gdzie to byłeś, czarny baranie?”. Sytuację znacznie złagodził ojciec, dla którego najważniejsze było, że wyszedłem na drogę obywatelskiej powagi. Kobieta, jego zdaniem, była ważnym, koniecznym, urokliwym, ale dodatkiem do mężczyzny. „Nigdy nie prowadź z nią sporu o głupstwa” – uczył syna. Opowiadała mi siostra, że ojciec Garbarz na domowych radach mówił:

– Jak mu z nią dobrze, niech ją z sobą ożeni. Jak ją ożeni, będzie naszą synową, a jak synową, to matką wnukom. I co tu gadać. A jak będzie mu z nią źle, to fajtlapa, bo chłopu musi być z kobietą dobrze, a w domu musi być porządek i mores. Jak miłością sobie nie ułożysz, rzemieciem musisz. Kobietę czasem trzeba sprać, ale nie kijem, jeno czymś miękkim, jak święty Bernard przykazywał.

Oczywiście, takie wystąpienie ojca miało znamię przechwałki i bezzasadnej buńczuczności, bo przecież wiem, że matce w wielu sprawach ulegał, ale dla mnie to było miłe. Matka wciąż jeszcze mamrotała przeciw pokątniactwu i kociałapstwu, ale coraz ciszej i zgodliwie radziła, że życie musi być ułożone po ludzku i po bożemu. Siostra mówiła, że mama moje obcowanie z Ewą zaczęła

traktować jako coś w rodzaju ścisłego narzeczeństwa, o jakim wiedziała jeszcze z czasów młodości: podobno daleki kuzyn z daleką krewniaczką siedem lat chodzili, czekając aż zemrze najzagorzalszy przeciwnik ich związku, ciotka z piekła rodem. Najbardziej bolało ją, że żyjemy stale bez błogosławieństwa bożego: trochę to można, ale stale nie można – twierdziła poważnie. Była zresztą obyta z różnorakim przystosowaniem związków małżeńskich do sytuacji. Na przykład u sąsiadki Strugalskiej córka wyszła za milicjanta, a dzieci pochrzcili jak należy, chociaż aż w Rokitnie, gdzie kościół ślubów i chrztów udzielał takim, co z powodów zawodowych nie mogą tego robić w katedralnej gali. Prawda, że były z tym dodatkowe termedia, bo do obrzędu dziecko trzeba chyłkiem wnosić i wynosić, ale właśnie to czyniło uroczystość bardziej pierwotną, prawie katakumbalną. Podobnie rzecz wyglądała u kapitanowej Barwickiej, gdzie dziewczynki do komunii w samochodzie przebierali: takie są czasy, że trzeba Boga z cesarzem pogodzić. A że przedstawiciele wiary są wyrozumiali, w imię Boga trzeba partyjnego cesarza nieco oszachrować. Byleby służby nie zakłócały. Nowy czas zresztą przyniósł falę zainteresowań religią i kościołem. Do siódemki wciąż wpływały anonimy, że Szaweł lub Gawęł jako funkcyjny w partii potajemnie bierze udział w ceremoniach kościelnych, jak choćby opisany szczegółowo towarzysz, co woził każdego tygodnia dzieci do innego kościoła w okolicy, by ruchami tymi rozprzestrzeniać ślad. Coraz częstsze też były wypadki przystępowania do chrztu osób dojrzałych, wychowanych dotąd z daleka od wiary katolickiej. Rodzice pozostawali w wierze ateistycznej, a dzieci odstępowały od nich ku anielskim chórom. W naszym mieście najgłośniejsza była sprawa sekretarza KM do spraw ideologicznych Panka, któremu prezent chrztu zrobiła

ukochana jedynaczka. Panek w ceremonii ślubu kościelnego wziął udział, ale następnego dnia złożył rezygnację z funkcji, uzasadniając, że nie może w zaistniałej sytuacji prowadzić ideologicznej pracy w zgodzie z materializmem. Przysporzyło to Pankowi dużo cichego szacunku, bowiem inni rezygnacji zajmowanych stanowisk z tak błahych powodów nie składali. Bywały także wypadki przystępowania do chrztu dorosłych, jak choćby grupy malarzy i aktorów w mieście. Ludzie ci po chrzestnym oczyszczeniu przygotowywali i wystawili w katedrze widowisko sakralne o siepaczach partii krzyżujących robotników na komunistycznej szubienicy: szli nieszczęśliwi w szarych łachmanach z worków uszytych od kruchty katedry aż po ołtarz główny, wyjękując pozornie bezładną pieśń, w której wyraźnie rozpoznano słowa „Krew naszą długo leją kaci”, przeplatano pojedynczymi wyrazami hymnu Polski. Obok nich i za nimi szli oprawcy w hełmach militarnych na głowach; siekli wiązkami lin po grzbietach zgarbionych pod ciężarem krzyża, nierzadko walili w skonstruowany ze sklejki krzyż i wtedy jękliwy głos zawodził błaganie do niebios o zmiłowanie. Oglądałem przedstawienie w towarzystwie Wirta, Ewy i Biernatowej, sąsiadki i lekarki, słomianej wdowy po inżynierze Biernacie.

– Pani chyba nie sądzi, pani Jadwigo – powiedziałem do Biernatowej, o której wiedziałem, że do niedawna była członkiem partii – że myśmy oboje siekli ludzi harapami po plecach.

– Nie sądzę – odpowiedziała – nie robiliśmy tego, ale podobno ktoś to robił.

– Robili – potwierdził idący za nimi Wirt. – Najbardziej zagorzałymi donosicielami na dyrektora, że nie przestrzega partyjnej linii przy ustawianiu repertuaru, byli ci, co nieśli krzyż w oglądanym przed chwilą przedstawieniu.

Ten zaś, co szedł na czele pochodu i dzwonił łańcuchami, ów koryfeusz widowiska i jego reżyser, rok temu reżyserował w teatrze sztukę o brzeskim procesie komunistów. Wiem, proszę pani, bo z racji funkcji musiałem przyjmować teatralnie przyrządzane donosy.

– Być może, panie magistrze – odpowiedziała Bierntowa – zapewne mówi Pan prawdę, ale prawdą jest i to, że męża mi z Polski wyszczuli.

Z katedry wyprowadzała nas pieśń śpiewana na cześć koronacji cara Aleksandra, gdy ten raczył koronować się na króla Polski: jeszcze długo za nami huczały głośniki: „Ojczyźnie wolność racz przywrócić, Panie”. Wchodziliśmy w mrok w stanie przygnębienia.

Była środa, dzień rodziców. Powiedziałem matce, że do świątyni wkroczyli nowi kupcy, ale nikt ich nie przepędził. Zaczem, by ją trochę porazić, opowiedziałem matce o teatrze, nawróceniu, a w moim osądzie handlarzy uczuciami i myślami. Wypytała mnie o to i owo, pomilczała, westchnęła, powiedziała, że musi pójść do kościelnego teatru, bo w żadnym dotąd nie była.

– Co jest w kościele, nie może być złe, synku. Dobrze, że tam byłeś, bo w kościele jest samo dobro – zakonkludowała po chwili namysłu. Przyszła mi to powiedzieć w kuchennym fartuchu i z rondlem w rękę, kiedy już rozmawiałem z ojcem o zawilosciach nowego pejzażu społecznego. – A wiesz, dlaczego w kościele jest dobre? Dlatego, zapamiętaj to sobie, że sam kościół jest dobrem. Dlatego grzesznicy wrócili. Pójdę tam, bo muszę ich zobaczyć, jak żałują za grzech odstępstwa od wiary, zapamiętaj.

Posłałem mamie skinienie głowy i uśmiech, a ona uśmiechnęła się do mnie tą swoją pewnością, jaką czasem w niej dostrzegałem. Mama wyszła z pokoju, a ja zgasilem

na ustach mój kaganek serdeczności i wróciłem do przekazywanego ojcu wywodu.

– Z faktów, jakie co dzień oglądam, układam mozaikę społecznych zachowań. Wczoraj dodałem do niej „teatr w kościele”, a w teatrze pochód nawróconych: idą oni przed kościelny próg szeroką ławą i z głośnym zawodzeniem, a niektórzy nawet o swym powrocie ogłoszenia do gazet dają. Żeby było ciekawiej, anonse pełne skruchy umieszczają w dziennikach partyjnych.

– Taniocha – mówił ojciec, nalewając mi wina z głogu, które staraniem matki zawsze w domu było – zwyczajna wyprzedaż tandety.

XIII

W gabinecie prezydenta zastałem kilka osób. Siedział tam Wirt, był nowy kierownik Wydziału Handlu, magister Króciec, nowy sekretarz miejski do spraw propagandy, magister Jarosz, zastępca dyrektora zakładów gastronomicznych Wielgus, zakładów mięsnych Karolak, kapitan milicji oraz Ewa Gaśnicka. Szef z miną pierwszej ważności powiedział nam:

– Proszę państwa, zapewne wszystkim wiadomo, że za kilka dni będziemy przeżywać ważne wydarzenie społeczno-polityczne, pierwsze wybory do władz „Solidarności” w naszym regionie. „Solidarność” jako legalna organizacja zawodowa zwróciła się do nas z pismem, że odbędzie swoje wybory i prosi nas o pomoc w zabezpieczeniu usług. Głównie chodzi o obsługę gastronomiczną zjazdu, radiofonizację, stoisko pocztowe z datownikiem, a także, jeśli takie zapotrzebowanie będzie, odpowiedni dla danej chwili program artystyczny. Może delegaci po wyborach zechcą wysłuchać koncertu lub pójść do teatru? Tych tematów będzie dotyczyć dzisiejsze posiedzenie.

– Przepraszam, panie prezydencie – wtrącił Wirt – ale mam informację, że zjazd rozpocznie się poświęceniem sztandaru w katedrze, a zakończy specjalnym nabożeństwem.

– Być może, panie kolego, być może, ale ja mówiłem o naszej gotowości. Kultura zresztą w tym wypadku nie jest na pierwszym miejscu. W pierwszym rządzie musimy zjazd zabezpieczyć gastronomicznie.

Zacząło się tedy drobiazgowo omawianie, jaką kielbasę i na ile osób mają przygotować zakłady mięsne. Ustalono, że magister Króciec da zlecenie na dodatkowy przydział mięsa zakładom gastronomicznym, które będą dystrybutorem specjalnie wykonanych w porcjach dwudziestodekagramowych kielbasek. Spór, czy porcja ma ważyć piętnaście czy dwadzieścia deko był dość gorący. Gastronomiczy zabezpieczą także tekturowe tacki, musztardę, herbatę ekspresową, cukier, najlepiej w kostkach. Muszą być odpowiednio wypieczone, świeże i chrupiące bułeczki. Wytwórcom mówić, że pracują dla „Solidarności”. W przeddzień zjazdu zakłady produkcyjne gastronomii zainstalują obok sali obrad kuchenki gazowe, by tam stał przygotowany wrzątek do podgrzewania wcześniej sparzonych w restauracji „Wiśniowa” kielbas. Cała operacja przejdzie przez „Wiśniową” i jej obsługę należy odpowiednio przeszkolić, komu w tym dniu służy. Jest to akcja polityczna. Napojów alkoholowych nie będzie, ale chłodzących musi być pod dostatkiem. Dyskusja rozgorzała przy piwie. Kwestie tę rozstrzygnięto kompromisowo: oficjalnie go nie będzie, ale gdyby delegaci złotego napoju zażądali, trzeba go zaraz dowieźć. Dlatego na wszelki wypadek należy załadować skrzynkami okocimia dwa samochody dostawcze: niech dyżurują na podwórzu WSS i na telefoniczny sygnał podwiożą towar na miejsce obrad. Jedzenia musi być dosyć. Pamiętać trzeba, że przeżywamy niedosyt mięsa i wielu delegatów od dłuższego czasu nie jadło białej kielbasy. Mogą mieć apetyt na dwie porcje, wypić po dwie herbaty, uraczyć się dwoma butelkami pepsi. W konsumpcji nikt ograniczony być nie może. A nade wszystko uprzejmość obsługi. Delegaci muszą wiedzieć, że administracja państwowa pragnie im zabezpieczyć obrady na poziomie najwyższym, na jaki dziś ją stać.

– A koszta, panie prezydencie, kto pokryje rachunki?
– zapytał dyrektor Wielgus.

– Dziś kosztów nie omawiamy. Na razie trzeba wykonać zlecenia, a później do sprawy wrócimy. Koszta nie mogą nam przesłonić ważnej sprawy politycznej – skarcił Wielgusa prezydent.

– Rozumiem, że zamawiającym jest Urząd Miasta – spokorniał gastronomik. – A kawa? Czy przewidziana jest kawa? Bo jeśli tak, to poprosimy Wydział Handlu o dodatkowy przydział kawy.

Uściślono detale tak, by każde piórko aniołka na fryzie zjazdu było wykonane wyraźnie. Na zakończenie narady nasz praetor urbanus rozdzielił zadania: zakłady mięsne odpowiadają za wyroby „bez kazeiny, tym razem bez kazeiny, panowie” – przykazał szef, gastronomia przygotowuje bufety. Jeszcze dziś przedstawiciele służby zrobią wizję lokalną, gdzie postawić okienko pocztowe, gdzie rozlokowany będzie bufet. Każda ze służb wie, co robić, ale ze strony urzędu za wyżywienie zjazdu odpowiada magister Króciec, za przygotowanie sali magister Wirt, który dodatkowo skontaktuje się kierownictwem regionu: może potrzebna będzie pomoc fachowa, może dodatkowe materiały dekoracyjne? Zjazd musi mieć swoje biura i za sprawną jego obsługę odpowiada magister Gaśnicka. Chodzi o maszyny do pisania, wszelkie materiały biurowe jak papier, kalka, liniały, spinacze, dziurkacze, skoroszyty. Zabezpieczenie medyczne stworzy siostra Lucyna, zastępca kierownika Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej. Władze regionu muszą czuć życzliwą opiekę urzędu.

Kiedy omówiono wszelkie szczegóły i ustalono, kto będzie odpowiedzialny za szatnię i ubikacje, prezydent podziękował zebrany, zalecając składanie codziennych

meldunków o postępie prac do minie: zostałem mianowany centralą prezydenckiej informacji. Mnie też poprosił o pozostanie w gabinecie. Nie wstawał też Jarosz, sekretarz miejski do spraw propagandy.

– Jesteśmy przygotowani – powiedział szef – nic nas nie powinno zaskoczyć. Została nam jeszcze sprawa przedstawicielstwa na zjeździe – powiedział patrząc na sekretarza, jakby jemu chciał przekazać przewodnictwo trójosobowej narady.

– Sytuacja jest trudna, bo ja jestem w komitecie człowiekiem nowym. Przyszedłem tutaj ze szkoły w gminie Doroszewo. Pierwszy sekretarz, towarzysz Góral, na zjazd iść nie może. Kiedyś powiedział półprywatnie, że powstaje nowa chadecja i chce zniszczyć socjalizm. Zdanie im doniesiono. Rozkolportowali je z licznymi komentarzami, zaczęli ostro go zaatakowali. Mogliby mu na zjeździe zrobić jakąś przykrość i tym znieważyć partię, a partii na szwank narażać bez potrzeby nie powinniśmy. Wojewoda wyjeżdża na kilka dni do kliniki. W tej sytuacji postanowiliśmy na egzekutywie, że władze polityczne i administracyjne reprezentować będzie prezydent miasta. Takie jest nasze stanowisko i z tym do was przychodzę.

– Dobrze, a jak zażądam przedstawiciela partii? – powiedział prezydent. – Ich forpoczta może zawołać na sali, co to za partia robotnicza, że do obradujących robotników nie przysłała?

– Rozważaliśmy taką możliwość i jest prośba, by z prezydentem poszedł sekretarz POP przy Urzędzie Miejskim.

Sprytnie – pomyślałem wtedy, a dziś powtarzam, że pomyśleli zaskakująco sprytnie, zgodnie z regułami intrygi: będzie partia na zjeździe, ale bez jej wysokich urzędników i jeśli nastąpią ataki na nich, ciągi zbierze obiektywista, który działa w zespole odnowicieli życia politycznego.

Zapewne wzięto także pod uwagę moje osobliwe stosunki z Gaśnickim. Każda ciżba zebrana na każdej sali lubi zabawę. Dlaczego nie dać jej radości obrazem starcia rywali, co niby toczą spór o polityczne pryncypia, a w istocie walczą o rudą piękność z temperamentem. Gdyby tak zwarli się w publicznej walce jak psy na arenie, ubyłoby popularności jednemu i drugiemu. Uśmiech zajaśniał na mojej twarzy. Szczerze podziwiałem myślące głowy. Taka już jest nasza obecność – myślałem i myślę – wykołować kogoś, wyintrygować go, przechytrzyć. Ja im dałem fugasa w postaci Pałacu Ślubów, a oni mnie wpaprali w zjazd. Ja im zakreśliłem kołtuna, oni podsunęli mi szczura z ogromnym ogoniskiem. Wet za wet, czapka za kapelusz. Toczymy uczciwą grę.

– Tak jest – odpowiedziałam żwawo na propozycję. – Wystroję się w tym dniu jak na własną stypę. Mam czarny garnitur z krepy. Gdybym miał order, też bym je przypiął.

– Proszę nie żartować, towarzyszu – skarcił mnie. – A co do stroju, przydałby się uroczysty. Ja też założę odświętny garnitur. Może nawet miniaturę orderu przytnę.

– Wszystko rozumiem – powiedziała wieczorem Ewa, kiedy roztrząsaliśmy materiały z narady u szefa. – Ale dlaczego mnie w to wciągnął? Przecież zabezpieczenie sekretariatu mogła spokojnie zrobić Kazimierska, przecież ona nim kieruje.

– Kazimierska nie mogła, bo jej mąż pracuje w służbie bezpieczeństwa i „Solidarność” o tym wie. Po drugie, nasz szef ma upodobanie do czystej intrygi. Intryga jest dla niego matką wszelkiego ładu i jest jedyną busołą postępowania. Każdy maneż dla prezydenckich ćwiczeń jest dobry, zjazd „Solidarności” także: począwszy od wymiarowych kiełbasek, skończywszy na podsunięciu przeciwnikowi pod oczy byłej żony w towarzystwie aktualnego jej kochanka, który na

dodatek ma być na zjeździe czymś w rodzaju przedstawiciela partii, to jest mistrzostwo fechtmistrza.

– Henryk – powiedziała, przerywając wycieranie szklanki – ty go podziwiasz. A przecież to, co on robi, jest niemoralne. Kokietuje Gaśnickiego.

– To jest polityka, kochanie, to nie ma nic wspólnego z moralnością. A co do podziwu, to podziwiam ich zręczność. Czasem myślę, że w życiu wszystko jest taktyką, nieraz sędzę, że intrygą. Podziwiam i łuszczę jak cebulę, a ta mi w nosie kręci i zamiast łez wywołuje kichanie.

Mimo drobiazgowych przygotowań dzień przed zjazdem nasz patron był niespokojny. Wciąż do mnie telefonował z pytaniem, czy są nowe meldunki? Przez całe popołudnie wzywał odpowiedzialnych za poszczególne odcinki pracy na zjeździe i z ołówkiem w ręku sprawdzał drobiazgi. Ku utrapieniu najlepszego stylisty biurowego w urzędzie, Wirta, pięć razy zmieniał tekst przemówienia, jakie miał wygłosić do delegatów. Długo też deliberował ze mną i z Wirtem, w którym momencie włączyć się do zjazdu. Czy już rano, kiedy delegaci będą formowali pochód ze sztandarem, by ponieść go do kościoła na poświęcenie? Czy dopiero jak wrócą? Ustaliliśmy, że ceremonia poświęcenia znaku jest sprawą wewnętrzną „Solidarności” i nasza obecność nie byłaby tam wskazana. By jednak nikogo nie urazić, szef taktyki wysłał Wirta do Gaśnickiego w celu ustalenia protokołu naszej obecności: godzinę powrotu delegatów z kościoła, nasze miejsce na sali obrad, miejsce w scenariuszu na mowę powitalną. Wirt miał przy tym dać partnerowi do zrozumienia, że pragniemy włączyć się do obrad w momencie dla władz regionu najodpowiedniejszym, co znaczy, że mamy do ich uroczystości należyty szacunek. Miał też posel baczyc, by przy ustaleniu scenariusza nikomu w niczym nie uchybić.

Misja Wirta była wysoce dyplomatyczna i wypełnił ją należycie. Powrót z kościoła przewidziany jest na dziesiątą trzydzieści – referował. – Obrady delegaci zaczną wprowadzeniem sztandaru za stół prezydialny. Zjazd otworzy Gaśnicki, po czym zebrani odśpiewają hymn i „Boże, coś Polskę”. Po pieśniach odczytany i przyjęty będzie regulamin zjazdu. Po pierwszym punkcie nastąpią przemówienia powitalne: księdza Andrzeja, który odczyta list biskupa do robotników, prezydenta jako drugiego po przedstawicielu biskupa, następnie głos zabierze przedstawiciel rolników, po rolnikach młodzież z Klubu Inteligencji Katolickiej, następnie, w imieniu kultury aktor z malarzem. Taka będzie uroczysta część zjazdu. Organizator Gaśnicki wyraził życzenie, by prezydent po uroczystej części nie wychodził – przez swoją obecność powinien zaznaczyć więź władzy z robotnikami.

Do samochodu prezydenckiego wsiedliśmy o dziesiątej piętnaście, ale już w maszynie szef nakazał kierowcy taką jazdę, by przed budynkiem obrad stanął o dziewiątej dwadzieścia siedem. Kierowca Małek był doskonale wyćwiczony (podobno w wojsku generała woził) i, by zgrać czas, krążył po mieście jak gangster w czasie filmowej pogoni, ale na zwolnionych obrotach silnika. Gdy samochód stanął przed salą obrad, na zegarkach była dziesiąta dwadzieścia osiem, co znaczyło, że Małek umiał jeździć i hamować. Zastaliśmy tam mały ruch. Kręciło się kilku ludzi z opaskami na rękawach, zapewne straż porządkowa zjazdu. Na powitanie prezydenta wyszedł komendant porządkowych, młody mężczyzna o ascetycznym obliczu. Widywałem go, kiedy region urządował w magistracie. Mówiono, że nazywa się Klejner i jest niezwykle zaciekle, bodajże fanatycznym przeciwnikiem władzy i partii. Był więziony za włamanie do magazynu Ligi Obrony

Kraju, skąd wziął raketnicę, bo chciało mu się postrzelać. Podczas śledztwa i sądu mówił, że był to żart popełniony w afekcie – chciał dziewczynie na urodziny fajerwerk zrobić – ale prokurator Dąbek takich żartów nie lubił i oskarżył chłopaka o zabór mienia i nielegalne posiadanie broni palnej: zażądał sześciu lat pozbawienia wolności. Sąd przyznał mu cztery lata i było sprawiedliwie.

– Prosimy panów. Czy pan prezydent zechce czekać na powrót delegatów z kościoła na sali obrad, czy też w osobnym pokoju?

– Nie chcemy panom sprawiać kłopotów.

– O kłopotach nie ma mowy. Uważamy, że najwygodniej będzie w pokoju. Pan prezydent życzy sobie kawę czy herbatę?

– Poproszę o kawę.

– Janek – powiedział Klejner przez ramię do jednego z idących obok nas strażników – powiedz, by podano panom trzy kawy. Przepraszam pana prezydenta, że nie mogę dotrzymać towarzystwa, ale służba wzywa mnie na posterunek.

– Myślę, że nie będzie żadnych zakłóceń porządku publicznego – powiedział prezydent z uśmiechem.

– Tak pan prezydent sądzi – powiedział ostro, prawie wyzywająco Klejner, ale zaraz skinął głową i z uśmiechem na ustach wyszedł z pokoju. Za chwilę znów uchylił drzwi i powiedział, że jak nadejdzie pora obrad, przyjdą po nas koleżanki dyżurne. Usiedliśmy na stojących wokół okrągłego stolika krzesła, a mnie się wydawało, że zamknięto nas w aresztach i poczekalni. Po chwili drzwi znów się otworzyły i weszła nadobna dziewczyna z trzema filiżankami kawy na tacce. Kelnerce asystowały dwie dziewczyny z opaskami na rękawach bluzek, jakby strażnicza asysta kawiarki, a może dyskretne strażniczki naszej poczekalni.

– Dobrą nam podały kawę – rzekł prezydent.

– Dobrą – potwierdził Wirt. – Dobrą, ale z naszego przydziału.

– Kawa jest dobra jako napój rozmowy i oczekiwania, panowie. A co do naszego przydziału, to sądzę, że nie musimy o nim pamiętać – skarcił Wirta prymariusz.

– Jest aromatyczna – powiedziałem.

– Bardzo słusznie pan zauważył – pochwalił mnie szef.

– Istotnie. Bez kawy oczekiwanie mogłoby wydać nam się dłuższe – powiedział Wirt, chcąc jakoś zatrzeć swoją poprzednią niezręczność.

– Słusznie – uśmiechnął się szef – chyba, że przyszłyby do nas te urodziwe panienki, co asystowały kelnerce.

I nastąpiło pierwsze w tym dniu zaskoczenie: do pokoju weszły trzy panienki z opaskami na rękawach, dwie szatynki i blondynka, prawdopodobnie koryfeuszka patrolu. Weszły, a ja dyskretnie rozejrzałem się po kątach, lustrując okiem sprząty, gdzie też mogli gospodarze umieścić mikrofony? Chciał prezydent dziewcząt, to je dostał.

– Przepraszamy – powiedziała blondyna – że nastąpiło małe zakłócenie czasu otwarcia zjazdu. Ale właśnie dostaliśmy informację, że delegaci ruszyli od kościoła. Kolega Klejner też przeprasza, że nie może panu prezydentowi towarzyszyć. Zatrzymały go ważne czynności służbowe: musiał usunąć z sali pewnego esbeka, który wszedł na obrady jako delegat z Kociejewa.

– Mamy nadzieję, że to był odosobniony incydent – dodała następna, a we mnie jakby zadzwonił drugi sygnał ostrzegawczy, bowiem wiedziałem, że w naszej prowincji nie było gminy ni miasteczka o nazwie Kociejewo. Słowo jednak znałem z powiedzenia matki; mamusia o takiej, co ma bałagan w chałupie mówiła, że ma w domu „istne Kociejewo”.

– Czy kawa dobra? – spytała trzecia.

– Dziękujemy, bardzo dobra – odezwał się szef, jakby nic nie słyszał, chociaż musiał zauważyć drażniącą informację o ujęciu esbeka z nieistniejącego Kociejewa.

– Jeśli panowie pozwolą, to może poznamy się – powiedziała blondynka. – Jestem Renata.

– Krystyna.

– Marzena – informowały nas kolejno dygając nóżkami na sposób dziewczęcy, a kiedy prezydent zaczął dźwigać cielsko, Renata zatrzymała mu tyłek u krzesła słowami:

– Kim panowie jesteście, wiemy: pan prezydent, pan kierownik Wirt, towarzysz Garbarz. Co do nas, dodamy, że jesteśmy studentkami AWF i ćwiczymy dzudo.

O mało nie parsknąłem śmiechem, bo naraz zrozumiałem wyraziście, że pokój, w którym jesteśmy my i trzy urodziwe dzudoczki oraz ich informacje, że złapali esbeka z Kociejewa, to były specjalne podarki zjazdowe dla prezydenta od szefa ochrony „Solidarności”. Co nas jeszcze czeka? Chichot zdusiłem w sobie. Sztuki tej nauczyłem się podczas zdobywania wiedzy o urzędniczym sposobie bycia. Nierzadko przemawiający gadał jak Piekarski na mękach, a powagę trzeba było utrzymywać, bowiem śmiech w obliczu takiego mógłby być wyrokiem na zuchwalca. Spojrzałem na szefa. Zaczął prowadzić z pannami rozmowę flirto-podobną, czym je chyba zbił z pantałyku. Najwidoczniej dziewczyny nie były rozpieszczane przez długowłosych kolegów jaśminowymi słówkami, a szef pochodził ze starej szkoły stryja ułana jazłowieckiego, o którym przedwojenna Rzeczpospolita mawiała: „Na dół majtki, w górę kiecki, idzie ułan jałowiecki”. To on kiedyś w rozmowie towarzyskiej mówił, że nawet siatkarka i bokserka przysiądzie jak kurka, gdy pogładzić ją odpowiednim słowem gdzie

trzeba. Teraz w pokoju, skąd każde zdanie było niewątpliwie słuchane przez mocno zajętego Klejnera, stosował zasadę obłaskawienia dżudoczek. Sielanka zakończyła się w momencie, gdy podochocony chichotami pańienek wypowiedział żal, że oto takie dziewczyny w życie wchodzi, a on musi schodzić: Klejner wszedł i powiedział, że delegaci są na sali i nakazał nadobnemu patrolowi, by zawiódł nas na obrady. Ruszył na czele, my za nim, strażniczki za nami.

Wkroczyliśmy w gwar. Szef policji doprowadził nas do pierwszego rzędu, gdzie wśród gości czerniała sutanna księdza Andrzeja. Zajęliśmy z Wirtem miejsce po bokach prezydenta i czekaliśmy na rozwój wydarzeń. Następowywały one zgodnie ze znanym scenariuszem: hymn, pieśń, regulamin, powitania. List biskupa odczytany przez księdza Andrzeja przyjęty został długotrwałą owacją zebranych. Ktoś z dalszych rzędów zjazdu zaintonował: „My chcemy Boga, my poddani”, a sala pieśń podjęła. Wszyscy wstali, my ze wszystkimi. Na twarzy księdza jaśniało zadowolenie. Stojący za stołem prezydiąlnym obok Gaśnickiego człowiek śpiewał, w uniesieniu otwierając usta. Dwie stenotypistki odłożyły ołówki, a siedzący obok nich młodzian manipulował przy manetkach aparatury nagrywającej: fragment tego śpiewu usłyszałem w dniach następnych podczas emisji ulicznego radia regionu. I w tej podniosłej atmosferze znów posłałem śmiech do brzucha, by nie rozrechotać się na cały głos, bo spojrzałem na prezydenta, a ten trzynasty apostoł, poruszając wargami, łykał powietrze, udając, że śpiewa. Telewizyjne zjedanie powietrza przez śpiewaków, gdy koncert szedł z aparatów, było niczym wobec komedii granej przez naturalnego artystę. Śpiewanie zakończyły oklaski. Uciszył je Gaśnicki gestem Cezara i udzielił głosu prezydentowi. Zbliżała się

nasza chwila. Ale kiedy nasz pierwszy wszedł na mównicę i wyjmował z kieszeni mozolnie przez Wirta przygotowane wystąpienie, odezwał się pojedynczy, ale mocny głos z sali:

– A gdzie jest pan wojewoda? Dlaczego nie przyjedzie do nas wojewoda?

– Właśnie – wsparł go drugi, ochryply. – Dlaczego prezydent, a nie wojewoda.

Te zdania zerwały na sali tumult. Przed nim stał na mównicy prezydent, a oni wołając, że chcą wojewodę, zgłaszali dezaprobatę jego osoby, urzędu. Nowy podarek Klejnera. Ile ich jeszcze będzie i jakie? Chcą nas upokorzyć. Już upokarzają. Wirt miał spuszczoną głowę. Przewodniczący zebrania dawał dzwonkiem sygnał do uciszenia, ale nikły głos sygnaturki ginął w ogólnym krzyku rozwrzeszczanych delegatów. Na twarzy Gaśnickiego widziałem zniecierpliwienie, na czole prezydenta krople potu. Nie schodził jednak z trybuny. Stał jak Mohikanin przy pręgierzu. Kiedy z wrzawy coraz wyraźniej zaczął wyłaniać się nakaz: „Niech zejdzie, niech nam tu stanie wojewoda”, wstał ksiądz Andrzej i podniósł dłoń w górę. Sala umilkła, a kapłan powiedział:

– Dziękuję. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, pokój z wami, bracia. Niech brat wasz mówi, co ma powiedzieć.

Znów przyszło na mnie olśnienie: już wiadomo, kto tutaj rządzi – sformułowałem myśl, którą dziś nad wodą powtarzam. Dopiero teraz zabrał głos Gaśnicki, informując zebranych, że wojewoda za jego wiedzą i zgodą pojechał na badania kliniczne, a prezydent reprezentuje tutaj imię i urząd wojewody. Teraz dopiero nasz patron zaczął przemawiać, czyli czytać tekst napisany przez Wirta i zmieniany pięć razy. Skończył i nikt nie zaklaskał. Absolutnie cisza. Gaśnicki też nie kontynuował obrad,

jakby chciał, by milczenie delegatów mocno wlaźło do świadomości prezydenta. Cisza miała spełniać rolę gwizdów. Nagle w bolesnej głuszy usłyszeliśmy jeden oklask. Spojrzałem w tę stronę ze wszystkimi. Pod futryną drzwi wejściowych klaskał Klejner z miną tak nadęciem poważną, że sala odpowiedziała mu żywiołowym wybuchem śmiechu: odgłos jego falował nad nami pod sklepieniem, odbijał, zawracał, potrząsał ludźmi, potężniał, to znów przycichał w dzikawym kwileniu smarkających od śmiechu delegatów.

– Panie prezydencie – powiedziałem półgłębko – trzeba wyjść.

– Cicho, proszę – odszepnął spocony. – Jeśli pan chce, niech pan wychodzi.

Opuściłem salę obrad. Podczas wychodzenia słyszałem powolne cichnięcie, jakby zamieranie śmiechu, a kiedy zamykałem drzwi tuż obok stojącego Klejnara, czułem na plecach uderzenie złych spojrzeń.

Więcej prezentów prezydent nie dostał. Wieczorem Ewa opowiedziała mi z troską w głosie, że dalej obrady szły według porządku dziennego, chociaż przy dużej hałaśliwości. Mnie za wyjście ogłoszono wrogiem postępu i odnowy i przypomniano, że już raz pokazałem oblicze pieska komuny, kiedy nie chciałem oddać pokoju regionowi. Podczas obrad jeszcze raz na salę wtargnęła burza, bowiem delegat spółdzielni spożywców w swoim wystąpieniu powiedział, że prominentne bale nie ustały, bo na spółdzielczym podwórzu stoją dwa samochody dostawcze załadowane skrzynkami piwa. Dla kogo stoją? Pewno dla zmotoryzowanych oddziałów milicji, które wczoraj przyjechały do miasta. Wybuchła piwna awantura. Zażądano, by samochody sprowadzić na dziedziniec zjazdu, niech delegaci zobaczą, co piją ochroniarze władców PRL. Nikt

nie próbował nieporozumienia wyjaśnić. Samochody przyjechały w przerwie obrad, podczas której delegacji, racząc się piwem eksportowym, triumfalnie wykrzykiwali, że znów zapobiegli prominenckiemu ochlajowi.

– Hałaśliwa jest ich nowa demokracja – mówiła Ewa. – Ludzie zamiast mówić, krzyczą, a ten, co mocniej krzyczał, dostawał więcej braw.

– Negacja na ogół oparta jest na krzyku – powiedziałem grubo po północy, bo i Ewa wróciła późno i rozmowę mieliśmy długą, gdyż mojej pani, jak i innym zainteresowanym, nie podobało się, że opuściłem salę obrad. Gaśnicka cały czas trwożyła się, że teraz dopiero sprzysięgną się przeciwko mnie wszelkie siły: z prawa i z lewa. Przyszłość pokazała, że jej niepokój był uzasadniony. Nazajutrz w miejscowej gazecie partyjnej wspomniany już Jerzy Wiór ogłosił zgryźliwy felieton o tym, jak przedstawiciel partii zmykał z sali obrad związku robotniczego. Poszedłem do redaktora naczelnego gazety. W drodze od Dębka zatrzymałem się na progu redakcji, a teraz go przestąpiłem. Redaktor korygował właśnie patetyczny wstępniak dziennikarza, który użył zbyt skromnych słów do opisu owacji, jaką dano najwyższemu autorytetowi regionu w sprawach robotniczych, inżynierowi Gaśnickiemu, po wybraniu go przewodniczącym regionu „Solidarność”. Redaktor Wyżga, strzygąc oczyma na boki i pociągając nosem powiedział, że żadne odwołanie i sprostowania nie są na czasie, a on, Wyżga, najlepiej wie, co w danym momencie partii i jej gazecie jest potrzebne. Jeżeli redaktor Wiór użył wyrazu „zmykał” zamiast „wyszedł”, uznać to trzeba jako drobne przeoczenie, którego nie warto prostować, bowiem felietonista tak czy inaczej napisał, ale nie skłamał.

– Towarzysz jako przedstawiciel partii – zwrócił się bezpośrednio do mnie – salę obrad związku robotniczego

opuścił, a czy tak postępują komuniści? Czy zostawiają towarzysza na placu boju?

Słuchając redakcyjnego pryncypała nie wiedziałem, że przed kilkoma minutami podpisał do druku fotoreportaż, gdzie na jednym ze zdjęć wciskam ciało w uchylone drzwi, zerkając do tyłu na jeszcze rozrehotane twarze na sali. Gazeta zawsze komuś służy – myślałem, wracając z redakcji jak odrzucony od jej łamów głupek – teraz wzrasta znaczenie „Solidarności”, więc z nią się utożsamia, gdyby władzę objął święty Franciszek, adorowałby jako miejsce kultu Asyż. Jako naganne uznali moje postępowanie także ludzie z KW i KM. Nikt nie chciał iść na zjazd, a teraz puszyli się i wydymali, że nawet straconego posterunku walki nigdy by nie opuścili. Przyznać jednak trzeba, że wykołowali mnie przepysznie: wysłali, obwinili, a na dodatek obwołali tchórzem.

– Co sądzisz o tym, tato?– pytałem ojca z niepokojem i goryczą.

– Jeśli wyszedłeś nie z tchórzostwa, a dlatego, by wyjściem wypowiedzieć swoje weto wobec zdarzeń na sali, uczyniłeś jak należy.

– Tylko ten powód miałem na uwadze i oni o tym wiedzą.

Świt zaglądał w okna, kiedy przyjąłem argumenty faterka jako naukę: najczęściej tchórze zarzucają innym tchórzostwo, oportuniści nazywają ludzi oportunistami, niemoralni – amoralnymi. Mają niechęć do obwinionego dlatego, że postąpił jak oni postąpić nie mieliby odwagi. Byłeś tam dzielny – nauczał ojciec – dzielny, ale głupi, bo wyjściem dałeś im cel dla brudnych paluchów, którymi teraz w ciebie pukają jak w tarczę. Będiesz miał szczęście, jeśli cię nie utłuką. Teraz musisz walczyć. Gdybyś teraz załamał się i odszedł z prawdziwym zadowoleniem,

postawią ci polityczną mogiłę, a może nawet pomnik, pod którym zainicjują modły na rzeczy zaszczonego bohatera. Pamiętaj, że żywi politycy bardzo lubią przyjaciół na cokołach. Lubią odsłaniać pomniki i powtarzać po stokroć: Cześć jego pamięci!

XIII

Początek choroby miał znamiona zwykłego przeziębienia. Mogła je złapać, kiedy wracaliśmy z imienin Mariusza Wody: padał śnieg, zaciął wiatr, a Ewa żywa i podchocona alkoholem szalała po parku bez opamiętania, rozpinając kożuch, łapiąc na ciało zdradliwy chłód. Rano miała gorączkę. Ewa jednak nie lubiła roztkliwiać się nad sobą, nie znosiła żadnej słabości, nawet okresowe niedyspozycje damskie wyzywała z dużym obrzydzeniem. Teraz też postanowiła wymęczyć z siebie influencę domowymi środkami, jak herbata z suszonych malin czy mikstura ojca Garbarza, jaką jej przyrzadzam: miód, cytryna, spirytus, wrząca herbata. Pić to trzeba, parząc wargi, zaczem wypocić z siebie wszelkie podskórne paskudztwo. Złe jednak było uparte i dziś na nasze zabiegi patrzę jak na odkażanie ziołami krowy, co straciła mleko. Raka trawami nie przepędzisz. Kiedy stan chorej był gorszy i coraz gorszy, przyszedł lekarz, szpital, wywóz chorej do kliniki specjalistycznej, powrót do domu, czyli próby wyleczenia, następnie tylko wysiłki, by zmniejszyć cierpienie. Ale i to nie było łatwe. Nie tylko przychodnie i apteki, ale i szpitale zachorowały na brak podstawowych środków pomocy: opatrunków, strzykawek jednorazowego użytku, polopiryny, plastrów, a nawet nici i rękawic chirurgicznych. Wobec panującej w mieście epidemii grypy, dyrekcja zamknęła szpital dla odwiedzających, a lekarze mówili, że wobec braku leków grozi im zamiana profesji lekarskiej na zachorską. Tylko ciężkie przypadki brano pod stały nadzór leczniczy. Ewa była poważnie chora, ale zbyt śmiertelnie,

by trzymać ją w szpitalu bez perspektywy wyleczenia. Podobnie powiedziała klinika.

– Niech pan jej nie przywozi, nie męczy – poradzili życzliwie.

Guz zaś w płucach rósł i rozdzielał przerzuty z promienistą szczodroliwością. Znajomi lekarze, co ją wizytowali, jak choćby Jadwiga Biernatowa, w rozmowie ze mną bąkali, że zdarzają się cuda, ale cud nie nadchodził, a chora cierpiała, chudła i słabła w oczach, jakby znikając ze świata. Poświęcałem jej cały wolny czas. W urzędzie zaledwie urzędowałem. Prace społeczne odstawiłem. Oddawałem cześć umieraniu. Poza chorobą i umierającą nic dla mnie nie istniało w te dni. W poczuciu obowiązku pocieszenia czasem mówiłem do niej:

– Wyzdrowiejesz i staniemy w Pałacu Ślubów.

Prawie karciała mnie za takie gadanie wzrokiem i uśmiechem. Głupota na pograniczu drwiny. Kobieta nie może sama wychodzić do toalety, a ja jej mówię o Pałacu Ślubów. Ale mówiłem jak gdyby mi rozum odjęło. Dowiedziałem się także wtedy, jak uciążliwy i dla innych męczący może być chory człowiek. Widziałem, jak ukochane niegdyś ciało szpetnieje i niknie, jak wyciąga się warga, wypadają włosy. Kupiłem perukę. Zakładała ją krzywo i śmiesznie. Broniła się przed śmiercią, ale czasem mówiła, że umrze i wtedy kazała sobie składać przysięgi, że nigdy nie wejdę do łóżka z inną kobietą. Zażądała gwarancji, że tak się stanie, chciała, bym się okaleczył. Chudłem. Wygasła moja aktywność. Pod koniec choroby zaczęły mi dokuczać braki finansowe. Początkowo szastałem oszczędnościami. Kupowałem od handlarzy na czarnym rynku dolary, nabywałem w Peweksie odżywki dla chorej, dawałem lekarzom bakczysze w kopertach. Kasa jednak pokazała dno. Pożyczyłem pieniądze od rodziców, a trzeba powiedzieć,

że tatko mój jest człowiekiem wielkiego serca, ale za kieszeń nie lubi się łąpać. Inicjatorką pomocy była matka, wielka przeciwniczka Ewy zdrowej. Dostałem od mamy znaczną pomoc, ale i to nie mogło wystarczyć: kobiecie od sprzętania – płacić, pielęgniarce od zastrzyków – płacić, jedzenie na czarnym rynku – kupować. Widząc moją mordęgę, Jadwiga Biernatowa nauczyła mnie robić zastrzyki domięśniowe. Kiedy jednak potrafiłem zrobić ten prosty zabieg, powstał nowy problem – strzykawki jednorazowego użytku, najlepszy przyrząd dla dyletanta. Ale jednorazówek nie było. Zdesperowany poszedłem do prezydenta, by może on jakoś z jakichś specjalnych źródeł mi coś wydobył.

– Mam, panie kolego, mam pięć piątek i tyleż dziesiątek, ale trzymam na wypadek choroby wnuka. Proszę mnie zrozumieć.

Zrozumiałem. Mógł powiedzieć, że nie ma, a powiedział, że ma zachomikowane dla najbliższych. Wtedy pomogła mi siostra Lucyna. Od dłuższego czasu spoglądała na mnie, kręcąc głową i pogadywała, że coraz bardziej chudnę, jak Piotrowin, a z tym mi nie do twarzy. Lucyna zresztą od początku choroby Gaśnickiej wyręczała mnie w obowiązkach partyjnych, co sama zaproponowała, a teraz zatrzymała mnie na korytarzu pytaniem:

– Co pana dziś trapi, panie magistrze?

– Dzisiaj jednorazówki, siostrzo.

– Kłopot.

– Wiem, że kłopot, bo gdyby siostra miała, to i ja dla chorej bym miał.

– Bardzo cierpi?

– Cierpi, a ja z nią.

– Niech pan idzie – powiedziała po chwili spoglądania na mnie i poszła do drzwi wyremontowanego właśnie pokoju POP.

Pachniało to świeżą farbą i pustką. Lucyna zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku.

– Niech pan teraz przyrzeknie, że to, co pan zobaczy, zachowa dla siebie.

– Przyrzekam, siostrze.

Otworzyła szafę z tajemnym przejściem do dawnego studia, zapaliła światło i zobaczyłem, że pakamera, w której odbywaliśmy szybkie posiedzenia Akademii, jest załadowana od podłogi po sufit środkami nagłej pomocy leczniczej: plastry, bandaż, rękawiczki chirurgiczne, nici do szycia ran, igły, strzykawki jednorazowego użytku.

– Co to jest, siostrze?

– Proszę wziąć strzykawek, ile panu potrzeba, i zapomnieć, od kogo je pan dostał. Mam nadzieję, że nikt się tego nie doliczy... Niech pan bierze szybko i wychodzimy, bo jeśli ktoś nas zauważy, jutro urząd zahaczy plotką, że jedna dogorywa, a z drugą już się zamyka, sekretarz psia wiara.

– Czyj to magazyn, siostrze? – pytałem, ładując strzykawki we wszelkie możliwe kieszenie.

– Służby zdrowia. Proszę o więcej nie pytać.

Szedłem do swego wydziału, a później do domu przy Strzeleckiej, z kieszeniami mocno wypchanymi i cały czas myślałem o zakonspirowanym magazynie Lucyny. Dlaczego dopuściła mnie do tajemnicy? Przecież mogła przynieść mi strzykawki z rumianym uśmiechem: „Proszę, oto towar, jakiego pan szuka”. Pewno jako kobieta przewidująca łączyła mnie ze sobą węzłami tajemnicy: sekrety często ludzi zespalają silniej niż łoża. Może zresztą tajemnica Lucyny nie jest wielka? Może przesadza w tajemniczości? Gdyby magazyn miał istotnie duże znaczenie, opatrzony byłby plombą, a Lucyna otwierała go kluczem wyjętym z kieszeni fartucha. Czy jednak możliwe, by prezydent nie wiedział o magazynie? Jeżeli wiedział, to po co truć

o jednorazówce dla wnuka. Snuł intrygę? Czy musiał mi mówić o magazynie? Nie za wiele od niego żądam? Lucynie jednak byłem ogromnie wdzięczny: pomogła mi, chociaż wszystkich aparacików nie zdążyłem zużyć. Ewa zmarła nad ranem.

Wszelkie formalności związane z pogrzebem oficjalnie załatwiała rodzina: siostra, brat, bratowa, krewni, bowiem ja nie miałem żadnych praw, a tylko z łaski prezydent dał mi dzień zwolnienia na uporządkowanie siebie. Zresztą rodzina jej patrzyła na mnie zezem. Ostrowąsowie ogłosili swoje anse do wszelkich pociotków, a poza tym oficjalny jej mąż, chociaż separacją odsunięty, był znaną w mieście osobistością. Gdyby dygnitarz regionu szedł oficjalnie w orszaku pogrzebowym, zebrani gapiowie szepotaliby pytania: Kto idzie obok Gaśnickiego? Co to za pani w żałobie? To siostra zmarłej. Druga jest bratową. Gdyby żyła przykładowie z mężem, kondukt pogrzebowy wiódłby dostojny celebrant w asyście wikariuszy, może nawet sam biskup zęgałby jej prochy. Sensacyjny pogrzeb. Za trumną pójdzie jeden młody księżulek z rudymi włosami. Pan Gaśnicki będzie przy opuszczeniu zwłok w mogiłę, ale nie wśród rodziny. Już zapowiedział byłemu szwagrowi, że nie będzie pokazywał żalu, gdyż ma go w sobie tyle, co po zmarłym w Białymstoku. Może zresztą poszedłby z rodziną, jak go o to proszono, ale gdyby zrezygnował z obecności na cmentarzu ten komuch i podlec Garbarz, co powinien nazywać się grabarz, bo grubo przed pogrzebem ludzi uśmiercił. Kroki jego za trumną byłyby marszem przebaczenia i pośmiertnego pojednania z uwięzioną. Żądania rodziny uznałem za gorszące. Nie mogłem Ewy zęgnąć w domu, musiałem iść na cmentarz.

Czy jest sens, by ktokolwiek umierał w maju? Czy jest w tym jakakolwiek przyzwoitość losu? Dla śmierci

powinien być zawarowany październik z listopadem, miesiące schodzenia aktywności w przyrodzie. Tymczasem świt jej choroby był w styczniu, a pochówek w maju – całkowite zaprzeczenie naturze. Grzebałem ją ze wszystkimi jako uczestnik i widz ceremonii, a jako Henry, jak mnie czasem nazywała, żegnam ją do dziś. Sypnąłem na mogiłę garść ziemi i złożyłem wiązankę kwiatów, jak Gaśnicki, ale ja położyłem róże, a on gerbery. Ludzie wszystko zauważyli i rozszepotali dokładnie: kochanek położył na mogiłę róże, odsunięty mąż gerbery. Pogrzeb był tłumny. Zgromadził cały Urząd Miejski i połowę wojewódzkiego. Wielu przybyło dlatego, że ceremonię z asystą umiał przewodniczący potężnego związku „Solidarność”. Niejeden chciał wkroczyć mu się pod oczy, może zamienić z nim zdanie, by nazajutrz opowiadać dookoła, że rozmawiał z księciem robotników. Widziałem zezowate spojrzenia żałobników, gdy ryży ksiądz wołał, by zebrani modlili się za jej duszę, bo żyła w grzechu. Tak. Wypominał nieboszczce przeszłość, a zebrani spoglądali na mnie. Wzrok ich ganił grzesznika za to, że odebrał cześć zmarłej i uszczknął jej nowemu dostojnikowi. Z postępowania jego widać, że jest to osobnik świata znienawidzonych prominentów, odchodzącego pod naporem sprawiedliwości. Okropny komuch, który nawet pokoju zbawcom ojczyzny nie chciał odstąpić. Gorszy niż esbek i zomowiec, niż minister i wojewoda, ich lokaj najposłuszniejszy. Nie jest winna ona, biedna i krucha, piękna i młoda, po kobiecemu uległa, ale diabelski szachraj, wciąż czyhający na nowe ofiary. Czy widzieliście, że nawet na pogrzebie rozmawiała z nim Lucyna? Czy pamiętacie, że w roku ubiegłym w Mrzeżynie ciągle z tą komunistką przebywał? Gorsza od niego. Bo jeśli chłop jest komunistą, to męska sprawa, ale żeby kobieta? Jak ona chce przyszłe dzieci wychować? Czy taką kto będzie

chciał? Podczas choroby nieboszczki chodził po urządzie jak muzulmanin, ale w pokoju partii z pulchną przecież zniknął. Taka jest ich partia. Gdyby mieli trochę wstydu, nie przyszliby kalać pamięci zmarłej.

Całą tę tyradę widziałem w magistrackich spojrzeniach. Przyznaję, że podczas uroczystości pogrzebowych robiłem wszystko, by nie „wejść” na Gaśnickiego. Nad mogiłą stanęliśmy jakby według podziału politycznego: ja na lewicy, on na prawicy, a obok niego ciżba na czele z moim patrycjuszem, zaś obok mnie kilku luźno ustawionych plotkarzy jak dobrze przetrzebiony chwast. Widziałem na prawicy kierowników wydziałów wojewody, ich zastępców, samodzielnych specjalistów, a wszyscy stąpali za szefem związku. Podobno mieli polecenie wojewody, by krążyli blisko Gaśnickiego, ale kondolencji nie składali, by był niby prywatnie, a niby służbowo, by wyrażali żal ważnej osobie, że odszedł bardzo ceniony pracownik administracji państwowej. Dyrektor Wydziału Prawnego złożył nawet wiązankę w imieniu wojewody, a kibice pogrzebu odczytali na szarfie, że wojewoda wyraża żal. Ilu urzędników zmarło podczas mojej pracy w magistracie? Zapomniałem. Ostatnim był magister Jałowiecki. Żadnego z nich nie żegnał wojewoda. Nie Ewę tedy spotkało wyróżnienie, schlebiano Gaśnickiemu: uroczystość pogrzebowa stała się areną politycznych manewrów. Stała się rzecz, którą muszę tu powtórzyć, a opowiedział mi ją Wirt, gdy wracaliśmy z cmentarza z boczami parku. Chciałem iść osobno. Byłem pogrzebem przytłoczony i zmęczony. Zobaczył mnie odchodzącego w głąb cmentarza Wirt i podszedł z pytaniem, czy może mi towarzyszyć. Skinąłem. Wirt był jednym z tych ludzi, których mogłem tego dnia obok siebie znieść. Wracaliśmy z pogrzebu, a wokół zieleni radowała się pysznie jasnością, jakby chciała świat

olśnić tym, że właśnie wywinęła się z pąków. Przed nami, za nami, nad nami panoszył się gwizd ptaków.

– Pana nie było w urzędzie półtora dnia i pan nie wie, że wpadli na pomysł, by panią Ewę pośmiertnie oznaczyć Złotym Krzyżem Zasługi.

– Dlaczego? – zawołałem, bo wiadomość ta chłasnęła mnie jak ściera w twarz.

– Z powodu zasług, jakie wniosła do pracy w administracji państwowej – kontynuował spokojnie Wirt.

– Przecież ona była normalnym pracownikiem.

– Nie chodzi o pracę, panie kolego. Chodziło o to, by stworzyć pretekst obecności na pogrzebie dla władz.

– Nasz prymariusz to wymyślił?

– Podobno sugestia wyszła z Urzędu Wojewódzkiego.

Chciało mi się rzucić na trawę i wyć. Byłem jednak urzędnikiem, wychowankiem dwóch uniwersytetów: intrygi, którym był magistrat w jego wewnętrznej codzienności, i obiektywistów, jaki stworzył nam magister Jałowiecki. Po chwili milczenia zaproponowałem Wirtowi, byśmy odwiedzili grób naszego nauczyciela, Jałowieckiego. Szliśmy cmentarnymi ścieżkami, a następnie główną aleją, gdzie grzebano ludzi znacznych i bogatych. Minęliśmy wiele pysznych grobów piekarzy, samochodziarzy, cinkciarzy, hodowców kur i indyków. Nierówność majątkowa była tu niesłychanie widoczna. Nie, po stokroć nie, nigdy nie będę mógł postawić Ewie monumentu, jaki miał piekarz ułożony obok cinkciarza. Postawię jej skromny pomnik z masy lastrykowej. Szkoda, że nie będę mógł napisać Ewa z Ostrowąsów, primo voto Gaśnicka secundo voto Garbarz. Będzie leżeć pod imieniem męża, który nie był już jej mężem. Zawłości życia znaczą się po śmierci. A co byłoby, gdybym kazał napisać Ewa Garbarzowa? Oddawałoby to prawdę, ale jakie byłyby skutki prawne?

Bezcieszczenie pamięci zmarłej przez samowolną zmianę jej nazwiska? Czy należy przedłużyć spór z Gańnickim? Z jej rodziną? Mogliby mnie włóczyć po sądach, a ze mną jej imię. Szaleńcze myśli nawiedzały mnie tego dnia na cmentarzu.

Razem z Wirtem zrobiliśmy wiosenne porządki na grobie magistra Jałowieckiego. Tej mogiły nie miał kto ochraniać przed inwazją chwastów. Rodzina mieszkała w Przemyślu, przybrana córka dawno o nim zapomniała. Zdaniem rwanymi jak korzenie chwastów przypominamy jego nauki i powiedzenia, nasze spotkania, na których był ojcem i matką, ciałem i duszą. Może to był jedyny Guru, jakiego znały polskie magistraty? Tematem magistra Jałowieckiego i naszej Akademii odeszliśmy od zakońzonego pogrzebu. Był to zabieg oszukańczy. Mała intryga wobec własnych myśli. Przecież wypowiadałem wyrazy o Jałowieckim, ale przed oczami miałem trumnę, a w niej twarz tak zeszepeconą chorobą, że nawet nie odkryto wieka. Razem z Ewą pochowane zostało piękno i miłość. Była wspaniałą kobietą. Gdzie jednak chowani są dranie i podlece? Zapewne też tutaj. Podobno cinkciarz był nie tylko handlarzem waluty, ale i karcianym szulerem, a leży obok członka Komitetu Centralnego Partii, na grobie którego położono krzyż. Zdarli litery informujące o jego godności, zaklajstrowali otwory, jakie po nich pozostały, a na szlachetny marmur nałożyli krzyż z lastriko. Czasy zmieniają groby. Człowieka chowanego jako ateistę rodzina wprowadza do większości, stawiając mu na grobie symbol chrześcijański. Czy pisząc na grobie Ewy „Garbarzowa” mam włączyć się do pośmiertnych sporów?

Z cmentarza wyszliśmy boczną bramą do parku, gdzie matki wietrzyły niemowlęta, na zboczach hasały dzikie króliki, a trzech żołnierze pili wódkę na parkowej

ławce. Jeden z nich, ten bez czapki, podniósł butelkę w górę i popatrzył przez dno na słońce z ogromną uwagą. Między nimi na papierze leżał pokrojony w kostki żółty ser. Wirt spojrział z zainteresowaniem.

– Wódkę można dostać – zażartował – ale skąd wzięli ser?

Wiedziałem, że Wirt lubi żółty ser. Na posiedzeniach Akademii, gdzie raczył się wytrawnym winem, zawsze dostarczał ser, nazywając go z rosyjska gołańdzkim. Uszliśmy kilka kroków bez słowa, aż dopędził nasz żołnierz bez czapki.

– Panowie – powiedział przez małą zadyszkę – życie jest krótkie, a pić się chce. Nie proszę was o pożyczkę na połówkę, ale mam coś do sprzedania. Rajstopy. Porządne damskie rajstopy.

– Rajstopy? – zdumiał się Wirt. – Przecież tego towaru nie ma na rynku. Niech pan pokaże, może kupię dla żony?

– Dobrze rajstopy – zachwalał żołnierz – tanio sprzedam.

– Gdzie je pan kupił? – dopytywał Wirt.

– Nigdzie. Ziemia nimi obrodziła... Pilnujemy magazynu, a magazyn ma dziurę, to my z niego drutem towarek ciągniemy. Niech pan się nie boi, nie rozdartę. Żołnierz to uczciwa firma.

Magazyn – pomyślałem wtedy, a dziś powtarzam – znów do mnie przyszło zaopatrzenie z pilnie strzeżonych magazynów: Lucyna i jej jednorazówki, szeregowiec i rajstopy – wymuszane przez sytuację popieranie złodziejstwa. Wirt kupił parę dla żony, a ja dwie dla siostry i Lucyny, by zrewanżować się majtkami za jej pomoc i życzliwość. I gdzie podziać wszystkie przysięgi o dozwolonej wierności? Prawda, że przez zbieg okoliczności, ale w dniu pogrzebu jednej kobiety, kupiłem majtki dla drugiej. Może miałem nie kupić? Odrzucić ofertę z pogardą,

a sprzedawcę zawlec przed wojskowy trybunał? Jednak kupiłem. Z dzianiną w kieszeniach poszliśmy do restauracji „Znajoma”, gdzie urządziliśmy stypę we dwóch: do ust naszych wpływała wódka, do kieliszków sieroce łzy. Biesiadowaliśmy długo. Pamiętam, że sumitowałem się wobec kolegi z powodu dziwnego zakupu, Wirt cieszył się nabytkiem, mówiąc, że jeśli przyniesie do domu rajstopy, żona nie będzie robić mu wymówek z powodu pijaństwa. Do domu wróciłem w stanie opłakanym. Rodzice zwlekli ze mnie wierzchnie odzienie, a matka postawiła przy łóżku dwa kubki zsiadłego mleka.

XIV

Dla mnie nastał czas apatii. Wielkie sprawy społeczne, jakimi przez ostatnie lata żyłem, poszły do lamusa. Lekcje wyborów do „Solidarności” i pogrzebu spowodowały, że najchętniej dałbym czartu wszelkie funkcje, ale nie było chętnych do ich objęcia. Zostałem tedy figurantem, zza pleców którego w POP, z wyraźnym upodobaniem, rządziła Lucyna. Do zespołu siódmego też przestałem chodzić. Mówiono, że grupa odnowicieli życia zaczęła krok po kroku odchodzić od oficjalnej drogi politycznej, głosząc, że partii najzdrowiej będzie bez władz centralnych, bo od nich schodziły na Polskę nieszczęścia. Nie bywałem też na cmentarzu. Mieszkanie na Strzeleckiej opuściłem tak zupełnie, że nawet nie zabrałem osobistych drobiazgów. Matka spoglądała na mnie z troską i zafrasowana kręciła głową. Ojciec próbował wciągać syna w rozmowy społeczne, ale zbywałem go monotonna powtarzaniem: przemienie. Przemija życie, przemijają jego zdarzenia. Oczywiście dochodziły do mnie informacje o tym, co dzieje się wokół: rynek nieco uspokoiła częściowo wprowadzona reglamentacja, Polacy masowo wyjeżdżają na zachód Europy, „Solidarność” jest z władzami w stanie ciągłej walki na oskarżycielskie słowa, niekiedy popierane groźbami strajkowymi. Patron nasz bystro zauważył apatię sekretarza, bo o tym, jak źdźbła urzędnicze się kołyszą, zawsze był dobrze poinformowany. Na posiedzenie z udziałem POP prosił Lucynę. Potrzebowałam samotności. Rozpocząłem włóczęgę. Z plecakiem i laską przywędrowałem szlaki pieszych wycieczek całej prowincji. Nocowałem

u chłopów, gdzie wzbogacałem się wręcz fantastycznymi opowieściami o ludzkich losach, niekiedy biwakowałem w smolarskich budach, gdzie drwale przechowują żywicę, przepływałem na jeziorne wyspy. Wracałem do domu pocięty przez komary, ale w kolejny piątek, przed wolną sobotą, pakowałem plecak i szedłem.

– Łazisz, synku, i łazisz, jakbyś chciał się na łazika wykierować – powiedziała kiedyś matka. – Jeśli tak polubiłeś wędrowanie, to może lepiej pojechałbyś świat zobaczyć?

– Oglądam świat, mamo.

– Oglądasz okolice, a ludzie za granicę jeżdżą. Dobro do domu zwożą: swetry, włóczkę, mydło pachnące, nawet radia i telewizory. Irenka Ostrowąsówna matce paczki przesyła.

– Znaczy, że dobrze jej się wiedzie.

– Pozdrowiała cię w liście.

– I ja ją pozdrawiam.

– Pisała, że teraz dużo Polaków wyjeżdża – judziła matka. – Może i ty byś ją odwiedził – raila.

– Nie mam dolarów – powiedziałam na odczepne, by nie sprawiać matce przykrości.

– To można by załatwić – wtrącił ojciec, a gotowość wydatkowania pieniędzy była u ojczulka tak niezwykła, że aż gębę mi otworzyło ze zdumienia. Tatko najwidoczniej miał całą rzecz już przemyślaną, bo kontynuował: – Gdybyś tam pojechał, przywiózłbyś mi tabletki przeciw korzonkom.

– Gnębi to tatę? – spytałem, chcąc odwieść temat od wyraźnego swatania mi wyjazdu.

– Teraz w lato nie gnębi, ale jak przyjdzie jesień, wrócą bolesne utrapienia.

Na odczepnego powiedziałem rodzicom, że jeśli będę miał środki, pojedę na emigrancki szlak, którym ciągną tysiące ludzi, by uciec od kolejek i nasycić brzuch mięsem. Przyszedeł koniec sierpnia. Szlaki turystyczne coraz

częściej zaciągała mgła, a ptaki siadały na drzewach, jakby w zamyśleniu, co ze sobą zrobić. Prawda, że wśród wykoszonych łąk leżała wielka obfitość pożywienia, ale chłód już przyciągał mgłą nad jeziorami, jakby ziewając przyszłym mrozem: wędrówki były jeszcze dobre, ale biwaki coraz chłodniejsze. Raz po powrocie z biura zobaczyłem przed domem samochód Ostrowąsa.

– Masz gościa – powiedział ojciec.

– Dzień dobry panu – powiedziałem, witając ojca Ire-ny, bo nie miałem powodu do nieuprzejmości, a przeciwnie, uważałem, że jest sympatycznym i dzielnym człowiekiem.

– Przyjechałem z wiadomościami od Irenki. Przywiozłem od niej zaproszenie dla pana, o którym mamusia mówiła nam.

Matka uknuła intrygę. Przecież ja nie prosiłem Ire-ny o zaproszenie! Chciałem zapytać matkę, co to znaczy, ale nie było jej w pokoju. Zawsze w chwili przybycia nowych wieści lubiła stanąć w drzwiach łączących pokój z kuchnią i słuchać, co się mówi, a teraz skryła się, by twarzy do matactwa nie wystawiać. Ojciec też taką miał minę, jakby przed chwilą puścił najgłośniejszego i najbardziej cuchnącego bąka. Zmowa. Zawiązana jednak w trosce o mnie. Czy miałem wybuchnąć gniewem i zdradzić główną rajfurkę matki? Czy miałam przy obcym naurągać jej pomocnikowi – ojcu? Wreszcie sam Ostrowąs też musiał prze-mieścić w sobie całą sytuację, by tutaj przyjść. Irenka pisała, że zgodnie z rodzicielską wolą wysyła mnie, Henrykowi Garbarzowi, zaproszenie, którego sygnatariuszką jest Pe-tra Sandkrug, córka ogrodnika, u którego pracuje. Nie za-prasza mnie osobiście dlatego, że einladung poświadczony przez Niemkę ułatwia uzyskanie wizy w ambasadzie. Trzymałem w ręku poświadczony przez ambasadę polską w Bonn zaproszenie i milczałem: patrzył na mnie Ostrowąs,

patrzył ojciec, przez szparę w drzwiach spoglądała matka. Atmosferę pełną napięcia przerwał Ostrowąs.

– Panie magistrze, my nie kryjemy z żoną, że do pana wyjazdu przywiązujemy dużą wagę. Chcemy mieć córkę przy sobie. Wiemy, że jeżeli ktoś może sprowadzić ją, to pan, bo ona była za panem... Prosimy pana, ja i moja żona, cała nasza rodzina, niech ją nam pan sprowadzi. Dlaczego moja córka ma być wyrobnicą u niemieckiego ogrodnika? – głos Ostrowąsa zdrzął ze wzruszenia.

– Miej sumienie, synku – powiedziała stojąca już w drzwiach matka.

– Mógłbyś państwu pomóc – dodał ojciec.

– Jeżeli chodzi o koszt, panie magistrze – kontynuował po chwili już uspokojony Ostrowąs – to dowiadywałem się, że najszybciej i najlepiej byłoby pojechać samochodem.

– Nie mam samochodu.

– Weźmie pan mojego Poloneza, prawie nowy. Może pan już go na parę dni wziąć, przyzwyczaić się do niego. Zielone też znajdziemy.

– My od siebie też dołożymy – wtrącił ojciec, co było z jego strony zapowiedzią dużej rozrzutności.

Uległem. Prośby żywych okazały się silniejsze od żałoby. Przygotowania do wyjazdu z natury rzeczy ożywiły mnie znacznie: starania o paszport, o okolicznościowy urlop u prezydenta, oczekiwanie na wizę RFN, a przy tym ciągle kontakty z rodziną Ostrowąsów, która zdawała się zupełnie nie pamiętać, że nie tak dawno byłem najwstrętniejszym typem na obu półkulach, uaktywniły mnie. Pod koniec września dostałem wizę. Przygotowania do wyjazdu pogalopowały. Benzynę na podróż (z paliwem był krach, ale Ostrowąs miał towar wymienny, jakim było mięso), talony na tranzytowy przejazd przez NRD oraz ubezpieczenie samochodu załatwił ojciec. Do

mnie należała operacja walutowa, którą załatwił mi radca prawny banku: chodziło o to, by w ciągu jednego dnia założyć konto walutowe, wpłacić pieniądze i je wybrać wraz z zaświadczeniem uprawniającym do wywozu ich za granicę. Gwałtownie też przypomniałem sobie język niemiecki. Tydzień intensywnych lektur gazet w Klubie Prasy i Książki, kilka spotkań konwersacyjnych z nauczycielem języka przekonało mnie, że w Niemczech nie zginę. Nie była to mowa Kanta i Hegla, ale do przejazdu po autostradach RFN wystarczała w zupełności. Posiedziałem też trochę nad mapą: Świecko, Berlin, Magdeburg, przejście graniczne Marienborn, a później wjazd na autobahn w stronę Hanoweru, skąd zielony drogowskaz sprowadzi mnie białymi literami na zjazd do Celle...

Poza pewną mitręgą związaną z przekraczaniem dwóch granic, zwłaszcza drugiej, wszystko było w porządku. Może tylko w pierwszych minutach czułem się na autostradzie trochę nieswojo, ale szybko zrozumiałem porządek trzech pasów ruchu w każdą stronę: prawy dla wolnych samochodów transportowych, środkowy dla jazdy szybkiej, lewy do wyprzedzania i pojazdów najszybszych. Jechałem pasmem środkowym, utrzymując sto dziesięć do stu dwudziestu kilometrów na liczniku i wydawało mi się, że szybuję nad drogą, ale większość wozów mnie wyprzedzała. Naciskałem silniej pedał gazu, aż silnik zaczął jęczeć, karoseria drzeć, a te szatany drogowe dalej osmały mnie pędem zepsutego powietrza. Skruszony zwolniłem. Sprowadzony do parteru możliwości, jechałem z umiarem, rozglądając się dookoła: wszędzie pola, żadnych lasów, ni tu ptaka, ni zwierzyny. Jedynymi ptakami, jakie widziałem nad drogą, były dwa helikoptery. Jeden z napisem „Polizei” ze znakiem czerwonego krzyża na kadłubie. Doleciały do wzniesienia,

na które wjeżdżał sznur samochodów. Po chwili zobaczyłam je znowu. Ten z krzyżem już startował, policyjny stał na prawym pasie już otoczony łańcuchem kolorowo migających świateł. Mundurowi spychali na pobocze dwa rozbite samochody. Kraksa. W tak pięknie uregulowanym ruchu kraksa. Każdy ład przynosi swój beład. W to miejsce w tym ruchu nie dotarłaby żadna karetka pogotowia. Potrzebna jest interwencja z powietrza. Zaabsorbowany kraksą o mało nie przegapiłem zjazdu z autostrady do Celle, a co to znaczy, wie każdy, kto tam chociaż raz pojechał: trzeba dotrzeć do następnego zjazdu, zawrócić, wjechać na autobahn, znów wjechać, zacem zjechać, razem ze czterdzieści kilometrów utrapienia drogowego dla nieuważnego wieśniaka z Polski. Zjechałem jednak z autostrady jak miejscowy użytkownik drogi, a później miałem szczęście, bowiem ogrodnictwo Sandkruga położone było przy ulicy wjazdowej do Celle. Szefa spotkałem u bramy obejścia.

– Pracuje tutaj Polka, Irena Ostrowąs? – spytałem tęgiego mężczyznę około pięćdziesiątki w roboczych spodniach na szelkach.

– Tak – powiedział – Ona tu pracuje. Spodziewa się pana. Co w Polsce słyhać? Dalej niepokój?

– Względny spokój – odparłem.

– Ale strajki są?

– Bywają.

– A ten Waleza, co to za człowiek? Zna go pan?

– Nie, Wałęsy nie znam. Mieszkam daleko od Gdańska.

– W naszym widzeniu to dzielny człowiek, proszę pana. My, ludzie pracy, bardzo go lubimy. On u was wszystko mądrze zorganizował i pięknie przeciwstawił się rządowi, że go wam zazdrościmy. U nas przydałby się taki Waleza, by z nas podatków nie zdzierali. Drą z nas

jakby chcieli mięso od kości obrać, krwiopijcy i ludojady. Bo musi pan wiedzieć, że ja należę do socjaldemokracji, a teraz w Celle rządzą ci diabelscy chadecy. Myślę jednak, że niedługo ludzie zobaczą, co oni wyprawiają i nie dadzą im głosów. Pan chce wracać do Polski, czy u nas zostać?

– Skąd u pana taka myśl?

– W prasie codziennie piszą, ilu Polaków do nas przyjeżdża i zostaje. Podobno u was głód?

– Nie, mój panie, u nas nie ma głodu. Są kryzysowe braki, ze wszystkim jest skąpo, ale głodu nie ma. Jeśli jest chleb powszedni, mleko, są jaja, można dostać trochę tłuszczu, nawet mięsa, to przyzna pan, że głodu nie ma.

– Jak jest chleb, to głodu nie ma. Prawda. Ale kto mówi prawdę? Czy ci, co przyjeżdżają do nas, by zostać, nasze gazety, czy też pan?

– Nie wiem, co piszą gazety, bo jeszcze ich nie czytałem, nie wiem też, co mówią uchodźcy, ale wiem, że mówię prawdę.

– Dobrze. Pan chyba mówi prawdę, bo pan jest prawnikiem, jak opowiadała Irene, ale gdyby pan kłamał, to też w porządku, bo pan dobrze o swoim kraju mówi. Podobna mi się to. Zaprowadzę pana do Irene, ale ona pracuje. Będziecie mogli się przywitać, a resztę po pracy, bo jutro transport marchwi muszę do Hanoweru zawieźć. Czy pan już wie, gdzie będzie mieszkał?

– Jeszcze nie wiem. Pewno jakiś pokój znajdę.

– Pokój w hotelu jest drogi. Nie trzeba szukać. Mam na poddaszu wolny pokoik i wynajmę go panu za jedną dziesiątą tego, co by pan zapłacił w hotelu – da mi pan pięć marek za dobę i kwita. A może panu jako człowiekowi po uniwersytecie nie wypada mieszkać w mansardzie? Jeśli panu nie odpowiada, proszę oznajmić – mówił, gdy szliśmy w pole, gdzie Irena z Petrą i Polką Anną myły

marchew. – My jesteśmy ludźmi ciężkiej pracy, nas nie stać na luksusy, jakie mają kapitaliści. One tam pracują. Tylko niech jej pan na długo od pracy nie odrywa, bo hurtownik w Hanowerze czeka na towar.

Przywitałem Irenę w polu zwykłym „Cześć”. Miała mokre ręce, nie chciała ich podać. Obok na moment stanęły, spoglądając na mnie ciekawie, Petra i Anna z Płocka. Z daleka kontrolnym okiem liczył minuty przestoju pracy ogrodnik, socjaldemokrata Sandkrug.

– Muszę wrócić do roboty – powiedziała bodajże w drugim zdaniu Ostrowąsówna. – Tutaj nieregularne przerwy w pracy nie są przyjęte. Jeśli chcesz, chwilę porozmawiamy przy korycie, bo transport na jutro musi być gotowy. Zapytam zresztą Petrę, czy możesz przy nas postać, bo przy rozmowie moja wydajność będzie gorsza.

Petra zezwoliła. Irena założyła na ręce gumowe rękawiczki i wróciła do mycia marchwi, bo czystej życzył sobie odbiorca z Hanoweru.

– Już niedługo. Jeszcze tylko godzinka i transport będzie gotowy. Wtedy przebiorę się i pójdziemy do miasta. Rozmawiałam z jednym Polakiem, co mieszka w Celle, ale już pracuje legalnie, że będziesz mógł u niego zamieszkać.

– Twój pryncypał zaproponował mi nocleg u siebie w mansardzie po pięć marek za dobę.

– O, to i dobrze i źle. Dobrze, bo cię w ten sposób uhonorował, a źle dlatego, że pięć marek to dla nas też dużo. Ja pracuję za osiem marek na godzinę. Paskudna sytuacja. Przyjąć propozycję trudno, odmówić nie można.

– Mam ze sobą trochę pieniędzy – powiedziałem, bo nie podobały mi się rozważania Ireny.

– Ja też mam, ale u rodaka w Celle mielibyśmy kwaterę za pół litra wyborowej. Trudno, będziesz mieszkał u pryncypała.

– A ty gdzie mieszkasz?

– My z Anią mieszkamy w szopie na narzędzia. Pokażę ci. Zrobiłyśmy sobie zupełnie dobry pokój. Mamy łóżka polowe, stolik, szafę na ścianie, a nade wszystko jest ciepło, bo szopa przylega do szklarni z kwiatami, a te trzeba ogrzewać. Płacimy pryncypałowi po pięćdziesiąt marek miesięcznie za światło i wodę.

– Dobrze. Porozmawiajmy jak będziesz wolna. A teraz powiedz, jak najlepiej dotrzeć do miasta?

– Zaczekaj. Pójdziemy razem. Teraz idź do samochodu i odpocznij. Albo idź do naszego apartamentu.

Poszedłem do samochodu. Po drodze zatrzymał mnie Sandkrug pytaniem, czy podjąłem decyzję co do noclegu. Odparłem, że chętnie skorzystam z zaproszenia, a on to, że jeśli chcę pobawić się w pracę fizyczną, mogę mu te pięć marek odpracować. Na przykład jutro jedzie z warzywami do miasta i mogę pojechać z nimi. Zobaczą drogę o świcie, miasto, rynek, a przy okazji pomogę im skrzynki rozładowywać, bo syn musi jutro dostarczyć kwiaty na inny rynek Hanoweru. Przystąpiłem. Sandkrug, wyraźnie zadowolony, poszedł ze mną do samochodu, kazał go wprowadzić w obejście, by na ulicy nie stał, po czym zawiódł mnie do pokoiku na poddaszu. Pomieszczenie było całkiem przyjemne. Przez gomółkowe okno rozciągał się widok na uprawy. W kranie była woda zimna i ciepła.

– Chciałem jeszcze jedno powiedzieć – rzekł na odchodnym Sandkrug. – Bardzo pana przepraszam, sam jestem mężczyzną, ale pan rozumie, że Irene tutaj nie może spać. My jesteśmy rodziną porządných ewangelików. Mam przy tym w domu dorastająca córkę. Pan rozumie, w domu jest żona i nieletnia córka.

– Rozumiem. Może pan być pewny, że nie złamiemy moralnego porządku domu.– W porządku. Przy okazji,

jak pan znajdzie chwilę czasu, zapraszam na małe piwo. Miło mi będzie porozmawiać z człowiekiem wykształconym o sytuacji w Polsce, a może całym ostbłoku. Nas, socjaldemokratów, to bardzo interesuje, bo w „Bildzie” piszą same zasaństwa.

Przyrzekłem ogrodnikowi, że znajdę czas na pogawędkę o tym, co słyhać w Polsce i ostbłoku, a kiedy wyszedł, rozpakowałem rzeczy, umyłem twarz, wałnałem się na łóżko. Tak minęły trzy kwadranse. Gdy zszedłem na dół, przy samochodzie stała już Irenka. Wiedziałem, dlaczego nie przyszła po mnie. Miała na sobie spodnie i szykowną kurtkę. Wyglądała dobrze, prawie jak na weselu, była tylko bardziej opalona. Szliśmy do centrum miasta pieszo, bo mieliśmy dużo do gadania. Opowiadałem o sytuacji w Polsce, o rodzicach, siostrze i jej dziecku. Ni jednego słowa o Ewie, ale ona wiedziała. Po drodze wstąpiliśmy do narożnej karczmy, gdzie zjedliśmy parówki na gorąco i popiliśmy je piwem. Irena piła, opowiadając ze śmiechem, bym niczemu się nie dziwił. Początkowo też szukała herbaty, ale herbatę podają w dobrych restauracjach, te zaś są drogie. Dziś pilzner smakuje jej wybornie. Po posiłku, wciąż gadając o tym, co w Polsce i w domu, a co tutaj, zaprowadziła mnie do centrum handlowego Celle, gdzie na pięknie odrestaurowanej starówce sklepy przechwalały się towarami. Podczas drogi i rozmowy czułem jednak, że jest między nami jakby rów: mówimy do siebie z dwóch jego brzegów, słowa nasze stykają się ze sobą, kontaktują, dostają odpowiedź, ale jakby omijały, co najważniejsze.

– Dzisiaj tylko przejdziemy przez deptak, bo Edek na nas czeka.

Skinąłem zgodliwie głową. Na przejściu przez centrum handlowe opowiadała, jak został Edek. Przyjechał z kolegą na przedwiośniu z tą myślą, że popracuje na

budowie i wróci do Polski z pieniędzmi, może nawet samochodem. Kiedy jednak stanął na starówce w Celle, gdzie myśmy przechodzili, krzyknął: Boże, gwałtu, do cholery, tutaj są same Pewexy. Oszłomił człowieka towar, jak większość przybyszów z Polski.

– Jak ciebie – mruknąłem, ale usłyszała i odskoczywszy jak na sprężynie, powiedziała twardo:

– Mnie też. Ale nie to mnie z Polski wyгнаło.

Rów między nami stał się głębszy. Pojąłem, że moje mrugnięcie Irena potraktowała jako przytyk i odpowiedziała aluzyjną wymówką. Nie chciałem zaczynać sporu. Moja misja była nader pokojowa. Wiedziałem jednak od matki, co mówiono u Ostrowasów, że niby z mego powodu Irena po wsi nie może spokojnie chodzić: ścigają ją spojrzenia, uśmieшки, napastują puszczane za nią fugasy, że „przyszły niedoszły zieć się wściekł”. Dumna panna z honornej rodziny, co odrzuciła trzech wiejskich konkurentów, była ścigana powiedzeniami: „Wybierała, przebierała, nie dostała kodyrała”. Czy jednak musiała nasze spotkanie zalewać żółcią wymówek? Musiało jednak nasze rozstanie dla Ewy tkwić w niej mocną zadrą, bo po chwili milczenia powiedziała:

– Mama kilka razy mnie i siebie pytała, co on widzi w tej lisicy?

Teraz już są inwektywy – myślałem, dalej milcząc, by nie wywoływać kłótni, ale Irena najwidoczniej postanowiła, że najpierw musi rozognić stare rany aż do krwi. Przez chwilę szliśmy, milcząc, ale już wiedziałem, że idąca obok kobieta z każdym krokiem przemienia się we wściekłą kłótnicę. Najwidoczniej moje milczenie ją rozjuszyło. Naraz wypuściła z siebie wiązanek słów ostrych jak z garłacza, buchnęła żarem, żalem, rewanżem za upokorzenia, szyderstwem z powodu mego złego gustu. Ja zaś, słuchając

skrzeczenia, osądzałem, że oto wylazła z niej piekielnica. A co by się stało, gdyby nabrała praw do wymówek? Gdybyśmy stanęli w Pałacu Ślubów? Czy potrafi kiedykolwiek złagodnieć? Jest przy tym nietaktowna i małostkowa. Przecież wie, że Ewa zmarła kilka miesięcy temu: prawda, że miała wydłużoną twarz i rudawe włosy, ale to nie powód, by nieboszczkę nazywać ciągle wiewiórą i lisią. Słuchałem jej gadania jak monotonnego koncertu wymysłów. Najwidoczniej to ją jeszcze bardziej rozsierdziło, bo nagle przystanęła i prawie zawołała:

– A ty nie masz mi nic do powiedzenia?

Zrozumiałem, że chce, bym się pokajał. Może pragnie przeprosin? Może powinienem razem z nią szkalować Ewę? Dobrze się stało, że spotkanie z Ewą przerwało nasz kontakt, bo z łagodnej dziewczyny, jaką poznałem na weselu, wylazła jaszczura, zmija, jędza. Nie jest wcale ładna. Złość zesześciła zupełnie przeciętną twarz. Figurę też ma wygiętą. Ręce jej są chropawe i zimne. Usta za wąskie. Oczy nieciekawe, a nos przyplaszczony, po prostu kaczy. Szkarada ta przygaduje Ewie. Wiedźma i czarownica stworzyła intrygę, zwabiła mnie, bym przyjechał, prosił ją o powrót, o uległość, a ona odrzuci moje zaloty jak stary bambosz. Chce walki, to będzie ją miała, pokraka, ja też nie jestem sznurkiem z kanału ciągnięty.

– Widzę, że jest sklep z farbami – powiedziałem, jakbym nie słyszał całej tyrady.

– Po co ci sklep z farbami? – zapytała ze złością.

– Chcę kupić złotą farbę.

– Na co ci farba?

– Na litery dla kamieniarza. Zamówiłem pomnik dla Ewy, a kamieniarz nie ma złotej farby.

Umilkła jak uderzona kolbą karabinu, a ja, schodząc z deptaka w Celle na dość duży plac, gdzie w sklepie

masarskim szklane drzwi otwierają się przed klientem jak na warszawskim dworcu, wiedziałem, że powrotu Ireny, o jakim marzył ojciec Ostrowąs, nie będzie. Teraz ja zacząłem ją katować opowiadaniem, jak wielka jest miłość rodziców do niej, jak słodko upływał czas z Ewą, jak okrutna dla mnie była jej śmierć – grałem, mówiłem dla gry, bo cóż może obchodzić kogoś postronnego mój ból, bo to mam tylko dla siebie. Słowa o bólu mam do walki z tą kobietą – mówiłem tedy ochoczo i przeciwko niej, snując fabułę o Tristanie i Izoldzie. Tak doszliśmy do Edka. Jeszcze kiedy naciskała klawisz domofonu, nie przestałem gadać. Dopiero w windzie umilkłem. Stała tuż obok obca, prawie wroga. Wysiedliśmy na czwartym piętrze. Mieszkanie Edka było małe: ciasny pokój, szurzy korytarzyk, wnęka kuchenna jak dziupla, typowa czynszówka, jaką urząd socjalny RFN obdarowuje Polaków.

– Witam pana, co słyhać w Polsce?

– Jest trochę zawieruchy.

– O tym wiemy. Rosjanie jeszcze nie weszli?

– Nie. Skąd panu to przyszło do głowy?

– Nie czytał pan dzisiejszego „Bilda”? Oto gazeta. Niech pan spojrzy na mapę. To mapa Polski, a na niej czerwonymi strzałkami wyraźnie zaznaczone kierunki sowieckiej inwazji na Polskę. Widzi pan tutaj? Jedna gruba linia od strony Królewca na Warszawę. Druga z terenu NRD. Trzecia od strony Białorusi, czwarta z Ukrainy, a piąta, ta najwęższa, z Czechosłowacji. Całkowite okrążenie. Ani gdzie odetchnąć, ani gdzie pierdnąć.

– Pewien Niemiec powiedział mi, że ta gazeta ogłasza same zasaństwa.

– Oczywiście, że „Bild” jest kurierem morderstw, gwałtów i grabieży, a taka mapa u nich jest zamiennikiem gołej dziwki. Wiadomo. Dlatego pytam, co słyhać?

Edek z Radomia najwidoczniej jednak nie należał do ludzi lubiących słuchać, bo nie czekając na moje wyjaśnienia, mówił:

– Prawda to czy nieprawda, nie jest to ważne, ważne jest, że po takich artykułach nam staje się lepiej. Niemcy, panie, różnie na nas patrzą. Wielu mówi, że przyjechaliśmy zżerać ich podatki. A jak się ukaże taka mapa w gazecie, wiadać od razu, że uciekliśmy, bo musieliśmy uciec. Tę mapę w gazecie pokazał mi mój sztyldziarz. Pan wie, że ja rozklejam afisze na słupach. Jeżdżę furgonetką i rozlepiam. Przyszedł do mnie rano, litościwie pokiwał głową. Zamiast kiwania głową mógłby mi dać markę na godzinę więcej. Co słysząc w Polsce? Podobno jajka po dwadzieścia pięć złotych?

– Po piętnaście.

– Też dużo. Chluśnijmy łyk piwa. W Polsce pewno piwa nie ma. Irenka, kupiłem białe kielbaski, możesz nam przysmażyć? No, to chlup w głupi dziób. Panie – przeszedł naraz do szeptu – pan chce z nią tutaj nocować? Jak pan chce nocować – mrugnął okiem – ja muszę przejść do kolegi, a jak ja pójdę, muszę mu coś postawić, pan rozumie życie.

– Mam nocleg. Wynajął mi pokój Sandkrug.

– To pana będzie drożej kosztować.

– Dostanę pokój, a należność odpracuję. Jutro jedziemy do Hanoweru z warzywami. Pomogę im skrzynki rozładować.

– A to cholerny łupieżca. Za pokoik chce zedrzeć z pana prawie sto marek. Irenka, słyszałaś – zawołał w stronę kuchni – ten utuczony socjaldemokrata w szelkach daje człowiekowi pokój za dzień roboty.

– Słyszałam – zawołała Irena – znalazł jelenia.

– Panie – zaszeptał znów – to może chcecie sobie godzinkę pobyc? Znamy życie. Jeżeli chce pan z nią tutaj poziuziać, to daj pan dychę na sznapsa dla kolegi i baluj

do utraty sił. Niech no tylko pan się nie obraża. Pomagamy sobie, ale postępujemy już jak tutejsi, za wszystko trzeba płacić... Inna sprawa, że jak pan chce zostać, to dobrze mieć zdrowy układ z ogrodnikiem, bo inni są gorsi. Sandkrug lubi Polaków i jest wpływowy. Jeżeli pan chce zostać, musi pan od razu za robotą rozejrzeć się, bo dla prawnika miejsca nie będzie... Ja jestem zaopatrzeniowcem. Mówili, że byłem biegły w branży, ale tutaj zaopatrzeniowców nie potrzebują. Mają ogromne działy sprzedaży, a zaopatrują ich ci, co sprzedają towary.

– Panie – powiedziałem, pokazując na gazetę – a takie druki pana nie trwożą?

– Zupełnie nie. My to czym innym się trwożymy. Bezrobocie jest dla nas plagą egipską. Gdy przybywa zbyt wielu uchodźców, też dla nas źle. Taka mapa to sama radość, zapowiedź wzrostu naszych akcji.

Pop swoje, czort swoje – mawiała matka. Ja pytałem o trwogi z indoktrynacji, jaka z „Bilda” płynęła, Edek o wahaniach koniunktury na rynku pracy. W jednym dniu moja wiedza o życiu wzrosła niezmiernie. Od wielkiej polityki w małym wydaniu odwiodła nas Irena wzniesionymi na tacy przysmakami: kielbaski prawie polskie, musztarda turecka, chleb pszenny, piwo klarownie czyste. Edek jadł i ciągle gadał. Irena milczała. Co myślała? Jakie snuła plany na najbliższy czas? W jaką sieć intrygi chciała mnie zaplątać ta pajęczyca? Udawała, że mnie nie widzi. Gdyby nie trajkotanie Edka, który zbliżał mi emigrancką dolę Polaków, kolacja byłaby nie do zniesienia. Byłem mu wdzięczny za informację.

– Musimy wracać – powiedziałem po posiłku. – Nie uprzedziłem ogrodnika, że wrócimy później.

– W porządku – zgodził się Edek, który poza tym, że jadł i mówił, musiał zauważyć, że u mnie i u Ireny

nie ma żadnych skłonności do wspólnego „ziuziania”. – W porządku, ale ja już powiedziałem, że przyjdę do kolegi z półlitrowką.

– Dobrze – powiedziałem, kładąc na stół banknot dziesięciomarkowy.

– W porządku – powtórzył Edek, zagarniając pieniądze. – W porządku. Wypijemy z kumplem za wasze zdrowie. Transakcja umówiona, jest zawarta, taki tutaj porządek.

Do Sandkruga szedłem z Ireną krok w krok, ale osobno. Zapewne wiecie, czym są milczące kilometry, bo znacie ciche dni, kiedy jedno ze skłóconych siedzi w pokoju, a drugie w karczmie. Nasz cichy marsz ulicami niemieckiego miasta był upiorny. Idąc, wiedziałem, że odchodzę, wsiałam do samochodu, wjeżdżam na autostradę, a po niej przez dwie granice jak najprędzej do Polski. Co powiem Ostrowąsom, a zwłaszcza zajadłej Ostrowąsowej? Przecież muszę opowiedzieć, jak ona tutaj bytuje. Jakie ma plany i perspektywy?

– Co mam rodzicom powiedzieć po powrocie? – spytałem, gdy byliśmy przy ogrodnictwie.

– Że jest mi tu dobrze. Dam kilka fotografii, niech widzą, jak chodzę ubrana.

– Co powiedzieć, jak zapytają o powrót?

– Że wrócę nowym Mercedese. Takim autem, że sąsiadkom gały z orbit wyjdą, a nosem sok im pocieknie.

– Powiedzieć, co robisz i gdzie mieszkasz?

– Pracuję i mieszkam u ogrodnika. Pobyt tutaj traktuję jako naukę. Może kiedyś szklarnie otworzę taką, że cała wiocha będzie przed nią klękać.

– Żyją w tobie złość i chęć zemsty.

– „Jaką miarą dano, taką i oddano” – napisano w piśmie. Wrócę tam, ale tak, że będą bali się ze mnie śmiać. Kiedy chcesz wracać?

– Gdybym nie umówił się z gospodarzem, że jutrzejszym wyjazdem odrobnię nocleg, wyjechałbym jutro.

– Jutro muszę kupić trochę podarków. Niech wiedzą, że wracasz od pani z zachodu.

– Dobrze, wyjadę pojutrze.

Wieczór spędziłem na rozmowie z ogrodnikiem, który też z „Bildem” w ręku wypytywał mnie o sytuację w Polsce. Długo nie rozmawialiśmy, bo gospodarz, poziewując, orzekł, że cała polityka jest najgówniejszym gównem, a jutro o piątej wyjazd z towarem, zatem dziś trzeba iść spać, bowiem o czwartej będzie pobudka. Leżąc w łóżku myślałem, po co mnie Irena zaprosiła? Chciała mnie upokorzyć. Pragnęła, bym walczył o nią? Może w łóżku? Chciała mnie odrzucić i tak osiągnąć zemstę? Może chciała, bym prosił ją o rękę, a ona odpowie ni tak, ni siak, zostanie, by mnie tam trzymać w niepewności, a w końcu mną pogardzić? Ale dlaczego dałem się nabrać na taki kawał? Miałem poczucie winy wobec Ostrowąsów. Potrzebę zmiany. Ruchu. Szlachetne intencje Ostrowąsów, mojej matki, rozbiły się o zapięklą złość kobiety. Zasnąłem. Przed czwartą obudził mnie Jurgen, syn Sandkruga, pukaniem, a gdy otworzyłem, wsunął przez szparę drzwi kombinezon i flanelową koszulę, jaką widziałem wczoraj na ogrodniku. Na dole matka Sandkrug podała nam filiżankę kawy i już rano upieczone w domowym piekarniku bułeczki. Kiedy ta kobieta wstała? Ogrodnik dodatkowo otworzył butelkę z piwem, co mnie zdziwiło, bo u nas piwo należy do alkoholów, a Sandkrug miał się za kierownicą. Po drodze powiedziano mi, że za szklankę piwa w Niemczech nikt nikogo nie ściga. Podróż do Hanoweru była wręcz banalna: autostrada, pasmo świateł samochodowych, powolne wjeżdżanie w świt, wyjazd na wielki targ, odbiór towaru, powrót około godziny dziesiątej do domu, gdzie znów dano mi szklankę piwa.

– Pan mi się podoba, Herr Heinrich – powiedział Sandkrug po powrocie. – Pan nie jest leniwy jak mój syn Jurgen. Petra jest dobrą dziewczyną, ale syna mam kiepskawatego. Czy u was młodzi też są leniwi?

– Są tacy i tacy.

– Pan dobrze rozumie niemiecki. Za pół roku, najwyżej za rok mówiłby pan całkiem richtig. Oczywiście, gdyby pan u nas został.

– Nie mam takiego zamiaru, panie Sandkrug.

– Rozumiem. Pan uważa, że ma swoje miejsce w ojczyźnie. Ja też bym tak myślał. Mówię na wszelki wypadek, gdyby pan chciał zostać, to u mnie robotę pan będzie miał. Ma pan prawo jazdy, zna pan język, mógłby pan wszystkich klientów obsługiwać... Irene i Annie płacę po osiem marek na godzinę, ale panu dałbym trzynaście, a po pewnym czasie może i więcej. Bo widzi pan, mój Jurgen nie chce ciężarówką jeździć. Powiada, że to zbyt wolny pojazd. Oplem Combi rozwozi kwiaty, a ja nie mogę jeździć z warzywami, mam inną robotę. Gdyby był czas i ochota, wozilibyśmy nowalijki do Hamburga. Czy pan wie, że tam można sprzedawać towar znacznie drożej? A ten nie chce pomagać. Ojciec ma jechać, zarobić pieniądze, dać mu je w garść, by mógł z Hamburger SV na mecz do Rzymu jechać. Paskudny diabeł. Żona i córka też mówią, że pan ma dobre oczy i niemieckie imię. Nie namawiam pana, ja wiem, co to ojczyzna, ale gdyby pan chciał zostać, wszystko załatwię: wezmę paszport, pójdę na policję i do Arbeitsamtu – pomogą mi, bo jestem już dziesięć lat w radzie miejskiej. Mówiła mi Petra, że Irene też nie ma zamiaru wracać. Zostałby pan z nią albo z inną, młodszą, a gdyby pan ożenił się z niemiecką dziewczyną, to po pewnym czasie mógłby pan nawet jako urzędnik pracować.

Poznałem prawdę. Nie klótnicza zapalczywość przez Irenę przemawiała, a niechęć do powrotu. Przyznaję, że jeśli do rozmowy z Sandkrugiem miałem pewne skrupuły, że ją prowokowałem, że jest w tym trochę i mojej winy, że nie chce wracać, że jednak powinienem jej coś dla uspokojenia powiedzieć o moim odejściu z Ewą, to teraz nabrałem niechęci do przechernej baby.

Łaziliśmy potem po deptaku w Celle robiąc zakupy, ale było to wypełnianie powinności, jakie miałem wobec ludzi w Polsce: matce pieprzu i włóczki, siostrze rajstopy, ojcu antykorzonkowe tabletki i smarowidło. Patrzyłem na wielką obfitość towarów i tam właśnie sformułowałem myśl o różnicy między handlem u nich a u nas: w Polsce klient poszukuje towaru, u nich towar ściga klienta. Powoduje on ruchami Ireny i moimi, ciągnie nas do stoiska z cytrynami, wyznacza nam przemarsze, nawet staje się sposobem porozumienia pomiędzy ludźmi. Aż uśmiechnąłem się do tej myśli, a może równocześnie do rolek papieru toaletowego w barwne motylki. Kupię matce kilka rolek – pomyślałem i śmiech rozjaśnił mi moją twarz.

– Co cię tak cieszy? – spytała Irena, a z pytania zrozumiałem, że mnie wnikliwie obserwuje.

– Papier toaletowy – powiedziałem. – Kupię dla rodziny kilka rolek.

Spojrzała na mnie jak dla na fiksata z Tworek, nawet odsunęła się ode mnie z dezaprobatą, a ja, widząc jej reakcję, kupiłem dwadzieścia rolek białego z tulipanami. Zerknąłem na nią, gdy stała z twarzą złą i zaciętą, bo chyba sądziła, że zakupem papieru drwię z niej po same uszy. Ja zaś, stary koneser intrygi, byłem dla niej miły, nawet teraz przymilny, im podlejszy, tym na pozór lepszy. W pewnym momencie nawet zapytałem, gdzie w tej Kundhale sprzedają kosmetyki.

– Coś potrzebujesz? – spytała z wyraźną czujnością w głosie, a ja jej na to lirycznie i ciepło:

– Tak, chcę kupić cienie do oczu i tusz do rzęs dla Lucyny.

– To jest jeszcze Lucyna?

– Tak. Lucyna jest – potwierdziłem ochoczo i zacząłem opowiadać, jaka Lucyna jest pulchna, jakie ma niebieskie, ale głębokie oczy, jakie blond włosy, jaką jest dobrą siostrą medycyny, srebrzyście potrafi się śmiać. Katowałem ją mocno, nie przewidując jednak, że moje działania będą dokładnie zrelacjonowane w liście, jaki sam zawiozę. Irena napisała, że nie mogła wrócić z człowiekiem, który dla jednej kupował farbę na pomnik, dla drugiej zaś cienie do oczu, a w ogóle kompromitował ją i wszystkich Polaków wywożeniem do kraju papieru toaletowego. Co Niemcy sobie o tym myśleli?

Zresztą, wieść o moim osobliwym sprawunku rozeszła się po całym Urzędzie Miejskim i wszyscy ludzie oglądali mnie, jak pstrą papugę lat siedemdziesiątych. Przywozić komputery, drogie aparaty fotograficzne, wideo z kasetami, kawę i rodzynki na handel, to było moralne i społecznie akceptowane, ale przywozić papier toaletowy to było wariactwo ostatniego rządu. Po tej enuncjacji dla matki Ostrowąsowej, że jest ze mnie specjalna mieszanina podleca i wariata, a przy tym wydrwigrusza, co za ich pieniądze wycieczkę do Niemiec zrobił, by swoje lampucery i ich dupska prezentami obdarzać. Zniewaga, jakiej dotąd nie notowały żadne kroniki.

Po drodze jednak do erupcji nienawiści ze strony Ostrowąsów przekraczałem dwie granice, a na pierwszej między państwami niemieckimi miałem przygodę, która poważnie waży na szali sądów, jakie dziś nade mną się odbywają. Powiedziałam, że Edek z Celle pokazał mi

w „Bildzie” mapę, gdzie zamiast gołej dziwki wydrukowano strzałkami kłamliwy plan rosyjskiej inwazji na Polskę. Natomiast Irena obdarzyła swoją rodzinę kilkoma tomami katalogów domów towarowych, a i w jednym z nich, nie wiem dlaczego i po co, włożyła egzemplarz „Bilda” ze wspomnianą mapą. Nawet nie zwróciłem na to uwagi. Leżało paskudztwo tam, gdzie je położyła Irena, na tylnym siedzeniu samochodu, ale celnik niemiecki je zobaczył, zrobił awanturę, że przemycam wrogą bibułę, spisał protokół, a gazetę skonfiskował jako corpus delicti mego przestępstwa. Protokół przyszedł do Polski i ja wiem, że on przeciwko mnie szeleści wyrazami, jak formował je niemiecki celnik: „Sie sind ein politischer Schmutzler” – ryknął do mnie potomek feldfebla spod Stalingradu. Wyzwiskiem poczułem się obrażony. Gdybym był w Polsce, z całą pewnością trzasnąłbym wroga w papę, niezależnie od tego, kim był, ale wiedziałem, że na granicy byłem w ich mocy i zaledwie mikro zaprotestowałem, że nie jestem politycznym kontrabandzistą. Przetrzęsęli mi bagaże gruntownie. Odkręcali tapicerkę samochodu. Wyjmowali siedzenia. Po wielogodzinnej rewizji napisali dokument, w którym uwydatnili w liczbie mnogiej, że przewoziłem gazety o wrogiej socjalizmowi treści. W ferworze przeszukiwań i szykan słownych nie zwróciłem uwagi, że z jednej gazety zrobili wiele gazet. Natomiast na naszej granicy celniczka powiedziała, że wwóz papieru toaletowego, jaki czynię, wskazuje na moją intencję handlową. Zapytałem kontrolerkę, do jakiej ilości rolek wolno wozić ten artykuł bez cła i dowiedziałem się, że do piętnastu rolek – kazałem sobie wtedy pięć rolek skonfiskować, ale bez protokołu, z czego celniczka była wyraźnie zadowolona.

Od granicy polsko-niemieckiej jechałem już rozproszony. Nie wiedziałem jednak, że wiozę ze sobą list,

jaki po przeczytaniu w średniowieczu wrzucano do ognia razem z posłańcem. Po przygodach granicznych nie cieszyło mnie nawet rozdawanie prezentów, chociaż ojciec z tabletek i mazidla, siostra z rajstop, matka z pieprzu i włóczki, a Lucyna z tuszu byli niezmiernie zadowoleni. Do przygody na granicy nikomu poza ojcem nie przyznałem się, bo nie było powodów do chwalby: porażki zawsze upokarzają człowieka, a Niemcy urządzili mnie szpetnie. Jak paskudnie, jeszcze nie wiedziałem. Oczywiście, życzliwi mi ludzie, jak ojciec, Lucyna, rozumieli fakty należycie. Inaczej jednak do nich podszedł prokurator, prezydent, profesor, sekretarz, czyli przeciwni mi oportuniści.

XV

Paszport miałem ważny na trzy miesiące, wizę na miesiąc, planowałem pobyt w Niemczech do trzech tygodni, wróciłem do Polski po trzech dniach. Tak szybko, że wstydziłem się pokazywać w magistracie, bym nie został wydrwiony przez stęsknionych za wyjazdami zagranicznymi biuralistów. Szyderstwa z powodu wwozu papieru toaletowego przysły później, kiedy o kolorowym zakupie opowiedział magistrackim Grudzień, zięć Ostrowąsa, obecnie urzędnik spółdzielni mieszkaniowej, bowiem ta praca obiecała mu szybszy przydział mieszkania. Wróciłem i zapadłem w domową dziuplę, nie wytykając z niej nosa. Rodzina tym razem była bardzo dyskretna. Matka wiedziała, że wyjazd nie mógł być udany, bo wróciłem szybko i sam, ale nie dręczyła mnie pytaniami. Podtykała więc synowi frymuśne jedzonka, stawiała chłodniki litewskie i ukraińskie, przyrządzała sławne pulpety rybne w sosie greckim, działała według wypróbowanej recepty kobiet polskich, że Polaka należy przede wszystkim dobrze nakarmić. Pytała tylko, jak ludzie u Niemców żyją? Jakie mają zaopatrzenie? Czy mięsa, masła i oleju mają pod dostatkiem? Ile im dają cukru na osobę? Cukier gnębił ją szczególnie. Byłaby chora, gdyby nie mogła zaprawić śliwek i gruszek, zasmażyć gruszek z borówkami, dyni z jabłkami, czyli plonu zebranego jesienią w ogrodzie. Czy Niemcy mają dosyć octu? Sezon grzybowy w pełni, a w sklepach nie ma octu. Trzy dni przebomblowałem w domu, a czwartego pojechałem z kolegą do lasu na grzyby. Nazbieraliśmy po koszyku urodziwych borowików,

a wracając wstąpiliśmy do zakładu przetwórstwa spożywczego, gdzie znajomy technolog ukradł dla nas po litrze dwudziestoprocentowego octu. Znów kradzież z magazynów, trzecia w mojej opowieści. Zresztą, czy to kradzież? Własność państwowa już dawno była przez Polaków traktowana jako dar boży do własnej rozbiórki. „Państwowe, czyli nasze, bo my też państwowi” – mówiono powszechnie. Matka była szczęśliwa, że syn przywiózł do domu kosz prawdziwków i ocet do ich zaprawiania.

Do Ostrowąsów pojechałem dopiero w niedzielę. Dłużej zwlekać nie mogłem. „Niech się dzieje wola nieba, z nią się zawsze zgadzać trzeba” – wsparłem się fredrowską determinacją, zapuszczając samochód. Czy mogłem jednak zdać się tylko na przeznaczenie? Powierzenie siebie niebiosom to część roztropności, a drugą był wyjazd w dwa samochody: ja wiozłem wóz Ostrowąsa, a za mną jechał kolega Fiatem, bym miał czym wracać. Kolegę Jarka przezornie poprosiłem, by czekał na mnie na poboczu drogi, przy obejściu Ostrowąsów. Wiedziałem, że w domu Ostrowąsów czeka mnie trudna przeprawa. Najlepiej byłoby wjechać samochodem na podwórze, wyskoczyć z niego i zmykać zajęczymi susami, co powinni jednoznacznie zrozumieć. Postanowiłem jednak, że wjadę, powitam gospodarzy z szacunkiem, ale niezbyt wylewnie, list oddam matce, a ojca poproszę o przyjęcie prezentów i samochodu. Zrobiłem najgorzej jak mogłem: matka Ostrowąsowa list szybko przeczytała w izbie i wybiegła z ganku z rozwianym fartuchem, nacierając na mnie słowami szczególnie urągliwymi.

– Luja posłaliśmy – wołała na całe podwórze, a pies na łańcuchu już jej wtórował – paskudnika, co farby lam-pucerom pojechał kupować. Miał dziecko przywieźć, a pojechał drwić z niej opowiadaniem, jak paskudził się ze zdzirami. Precz z podwórza, bo psa z łańcucha spuszczę.

Próbowałem bąkać, wyjaśniać, ale rozjuszonyj baby żadną perswazją nie uspokoisz. Skorzystałem z chwili, że wiedźma podała list Ireny mężowi, by ten zapoznał się, co dziecko im o paskudnym ananasie napisało. Moment ucieczki był jedyny, bo gdyby do złości gburii doszła złość grubiana, mogło by być ze mną krucho. Nim Ostrowąs zdążył wredności Ireny przeczytać, nim przemieniły się one w jego gniew, byłem za bramą, a kolega, widząc mój pośpiech, już samochód zapalał. Wsiadając do wozu widziałem przy bramie czerwoną twarz gospodarza, a dołem szarżującego w naszą stronę rudego psa. Cała rzecz nie skończyła się na mojej rejteradzie z obejścia Ostrowąsów, gdyż matka Ireny odczuwała potrzebę długiego pieklenia. Pewnego dnia przyjechała do Garbarzów, pokazała fragmenty listu Ireny strapionej matce i sfrustrowanemu ojcu, który wraz z pamięcią otworzył moje wyczyny warszawskie i nadjeziorne. Ostrowąsowa, widząc matczyne zafrosowanie, jazgotowała coraz zajadlej i pewniej, jak dziecko od rodziny odłączyłem, jak je na szyderę wystawiłem, jak teraz postąpiłem szpetnie. Posunęła się jednak w łajaniu za daleko, bo zaczęła moje imię zastępować wyzwiskami o dużej szpetocie, a mamusia moja nie mogła pozwolić, by jej pierworodnego aż tak szkalowano. Koniec rozmowy był taki, że mamcia niedoszłą teściową z domu wyrzuciła, nazywając ją żmiją i wiedźmą bez żadnego umiaru. Tamta mamie nie została dłużna i powiedziała, że paskudnicą wobec ziemi i nieba jest ta, co paskudnika na świat wydała. Tak więc wiele szpetoty ze mnie przelazło na Ostrowąsową i stało się w domu lżej: mogłem już mówić, że emigrantka jest wierną kopią swojej rodzicielki, co zamiast przyjąć człowieka jak należy, swary wszczęła. Po spotkaniu z Ostrowąsową mama doszła do przekonania, że wejść w taką rodzinę nie mogłem i napięła mi wybornych placuszków z pszennej

mąki, jabłek i zsiadłego mleka. Prawda, że ojciec to i owo sobie pod wąsem mamrotał, ale matka nie chciała już słuchać: zostałem skrzywdzony przez dwie sekutnice, z których jedna jest z piekła rodem, a druga jej nieodrodną córką. Wtedy, zjadając racuszki i zapijając je matczynym głogowym winem, sądziłem, że intryga zakręciła wokół mnie kolisko, ostatecznie czyniąc mnie zwycięzcą życiowych zawilości. Tylko nie wiedziałem, że pokaże ona swój szcurzy ogon w postaci protokołu sporządzonego na granicy NRD.

U Ostrowasów byłem w niedzielę, do urzędu poszedłem w poniedziałek. Wiedziałem, że nasz pryncypał tydzień zaczyna od odprawy kierowników wydziałów, którą dzieli na dwie połowy: pół godziny dla siebie na bieżące informacje, pół godziny na pytania nasze i jego odpowiedzi.

Narady te nazywaliśmy w urzędzie tygodniowym kazaniem. Szef był święcie przekonany, że mowy jego mają niezwykle dodatni wpływ na pracę urzędu. Nasyceni światłością prezydenckich słów pracujemy przez tydzień jak dobrze naładowane akumulatory. Tym razem część informacyjna dotyczyła wzmożonej przestępczości w mieście: ordynarne napady na przechodniów, zwłaszcza na kobiety, kradzieże, rozboje, porachunki przy pomocy ostrych narzędzi, gangi włamywaczy, złodziei samochodów, narastające ilość zgwałceń. Związane jest to z rozprężeniem społecznym. Rozdęta została do rozmiarów nigdy dotąd niespotykanych niechęć społeczeństwa do organów MO. Jest to niewątpliwie dzieło „Solidarności”. Związek ten czuje się współwinny i ma zamiar powołać specjalne brygady robotnicze do strzeżenia porządku publicznego w mieście. Pytania dotyczyły tylko jednego problemu, jakie będą podstawy prawne powołania owych robotniczych brygad i jakie będą ich uprawnienia? Czy

będą mieli prawo do bezpośredniej i czynnej ingerencji siłowej? Czy będą mieli prawo legitymowania ludzi? Jakim organom państwowym będą podlegać? Na te pytania konkretnie prezydent odpowiedzieć nie umiał. Na zakończenie odprawy prezydent poprosił mnie o pozostanie w gabinecie. Poza mną siedział tam człowiek mniej więcej mego wieku i wzrostu.

– Może panowie zechcą się poznać. To jest magister Marian Cis – rzekł szef, a prezentowany zerwał się zwa-wo z fotela, wyciągając do mnie rękę. – Kolega Cis będzie u nas od dziś rzecznikiem prasowym urzędu. Nie zakomunikowałem jeszcze tego faktu ogółowi kierowników, bo uznałem, że trzeba kolegę Cisa najpierw gdzieś ulokować: urzędnik zaczyna się od blatu biurka i ołówka – zażartował, co znaczyło, że ma w zanadru jakiegoś fugasa. –Rzecznik prasowy prezydenta, takie mam zalecenie wojewody, musi mieć osobny pokój, a w urzędzie wolnego pokoju nie mamy. Dlatego proszę panów, byście doszli do zgody. Moja propozycja jest następująca: magister Cis zorganizuje biuro rzecznika w pokoju POP, a jeśli sekretarz, towarzysz Garbarz, pomieszczenie będzie potrzebował, rzecznik Cis mu je odstąpi. Czy możemy takie ustalenie przyjąć?

Propozycja nie do odrzucenia, jak powiedziano w jednym z gangsterskich filmów. Moja sytuacja dzisiaj jednak była inna niż kilka miesięcy temu: za pomocą pokoju walczyłem wtedy z przeciwnikiem politycznym, prezydenta uznałem za oportunistę, a dziś jest członkiem wojewódzkich władz partyjnych, ja zaś sekretarzem w stanie urlopu, o którym zresztą poszły w kadrowy świat polityczny opinie, że nie można na niego stawiać, bo łatwo się załamuje, ulega nastrojom, czy takie jakieś fiu-bździu na bocznej ulicy. Znów jednak wróciła sprawa pokoju, a samo jej wspomnienie wywoływało u mnie złość.

– Jeśli chodzi o mnie, przyjmuję, co mi pan prezydent przydzielił. Chciałbym tylko prosić o telefon z osobnym wyjściem do miasta – rzekł Cis.

– Oczywiście – przytaknął prezydent – rzecznik musi mieć stałą łączność z miastem. Co pan na to? – spojrzął szef na mnie.

– Musimy znaleźć porozumienie – powiedziałem chłodno. Sympatycznie okrągła twarz Cisa wydała mi się teraz obliczem kucharza, cukiernika, lodziarza. Wyglądała słodko – jak Lukrecja Borgia.

– Cieszę się, że w urzędzie jest zgoda – zawołał kordialnie szef. – Mam tedy prośbę, kolego Garbarz, by zechciał pan zapoznać redaktora Cisa ze wszystkim, czym żyją urząd i POP. Proszę też o sporządzenie komunikatu wewnętrznego o nowym stanowisku pracy w urzędzie. Proszę, by wydziały udzielały rzecznikowi wszelkich informacji.

Fakt, że jak Polska długa i szeroka fundowano sobie rzeczników prasowych, uznałem jako przejaw mody polityczno-obyczajowej. Mają rzeczników ministrowie i wojewodowie, ma „Solidarność”, dlaczego nie ma go mieć prezydent? Uważałem, że osoba taka jest dla szefa wygodna, bo mówi za niego i w jego imieniu, ale zdanie jej można zawsze odwołać. Oczywiście wypowiedzi, że na przykład masła jest pod dostatkiem, można zawsze zaprzeczyć, gdyż zdanie to nie wyszło z ust prezydenta, a z gęby prezydenckiego miotacza słów. Słyszałem zresztą, że na tę posadę wyznacza się na ogół już gdzieś skrachowanych dziennikarzy, starych wycieruchów w młodym wieku, dla których prawdomówność i moralność są brzmieniami podobnymi do obrotów koziego ogonka. W naszym urzędzie rzeczników, a zwłaszcza rzecznika wojewody, nazywaliśmy wykrętne pyski. Była w nas pewna niechęć urzędnicza do osobliwego nadurzędnika pryncypalskich racji.

Zwłaszcza, że był kolejnym intruzem w moim pokoju. Jeśli nie zacząłem walki, to głównie dlatego, że moja aktywność społeczna po śmierci Ewy osłabła.

– Pan pracował w prasie? – spytałem rzecznika, kiedy szliśmy do mego wydziału, by tam poczekać na powrót siostry Lucyny.

– W szkolnictwie na rzecz prasy – odparł – znaczy na wydziale dziennikarskim uniwersytetu.

– Wylali pana?

– Nie wylali. Chciałbym popracować w terenie. Może zebrać materiały do pracy doktorskiej? Może zorganizować u was praktyki studenckie? Widzę, że jest pan prostolinijny w rozmowie, a ja ludzi szczerych bardzo lubię.

– Przepraszam. Wylewanie teraz jest powszechnie modne. Jak się stało, że pan właśnie do nas trafił?

– Proste. Wasz wojewoda zgłosił w uczelni zapotrzebowanie na kadre.

– Przepraszam, że pana jeszcze o coś spytam. Nazwisko ma pan rzadkie, a ojciec opowiadał mi, że w Warszawie miał przyjaciela – Cisa. Razem w Bieszczadach walczyli.

– A jak brzmi pańskie nazwisko?

– Garbarz.

– I ja słyszałem. Znaczy to, że nasi ojcowie w boju przyjaźń zawiązywali. Chętnie pańskiego ojca odwiedzę. Teraz już wiem, że kiedyś go w naszym domu widziałem. Mój ojciec, niestety, nie żyje.

– Mój był na jego pogrzebie.

– Było kilkunastu panów z siwymi włosami na pogrzebie. Kiedyś razem walczyli, dziś chowają zmarłych.

– Gdzie pan będzie mieszkał?

– Na razie w hotelu, a później zobaczymy.

Ponieważ Cis mówił z urzekającą skromnością i po pierwszych zdaniach nie zapowiadał się na „prasowy

wredny pysk”, zaprosiłem go do domu. Matka na tę okoliczność nawarzyła wspaniałych pierogów z grzybami, ojciec dostarczył z wioski od swych kombatantów flaszę bimbru i spędziliśmy przy frykasach miły wieczór. Matka, jak to matka, przesłuchiwała gościa przede wszystkim na okoliczności rodzinne: o zdrowie matki, o stan cywilny. Gdy usłyszała, że Cis trwa w kawalerstwie, prawie ręce ze zgrozy załamała, co teraz na świecie się wyrabia, że mężczyźni tak długo pozostają w stanie bezżennym. Wiem, że jej dezaprobata była głównie skierowana w moją stronę. Znam moją mamusię i jej wymyślne karesy. Cis okazał się niezmiernie sympatycznym kompanem. Pił w miarę, bez specjalnego pociągu do wódki, ale i bez ociągania, mówił poważnie, choć z lekko utajonym humorem, umiał dobrze słuchać i podtrzymywać wywód mówiącego stosownie wtrąconymi pytaniami. Najbardziej rozmownym tego wieczoru był ojciec Garbarz, bowiem miał świeżego adresata wspomnień, który na dodatek był synem zmarłego towarzysza broni.

– Regularni liniowcy niczego dokonać nie mogli. Po prostu byli nauczeni innego sposobu wojowania: okop, natarcie, przełamanie obrony, natarcie, zdobycie terenu, utrzymanie pozycji. Oddziały regularne piechoty nie umiały dostrzec wroga, bo wróg orał w polu, a pod miedzą trzymał automat. Nie wiedział, skąd mu kula leci. Dopiero, jak myśmy przyszli, zaczęła się walka partyzanckimi sposobami i były wyniki.

– Tam ojca ranili.

– Drapnęli go. Po miesiącu wrócił do batalionu. Naginęło trochę naszych ludzi, ale zadanie wykonaliśmy, a w Bieszczadach nastał spokój.

– Drogą pacyfikacji – rzekłem. – Innego sposobu nie było.

– Jak długo banderowcy mieli oparcie w ludności miejscowej – kontynuował ojciec – tak długo mieli zaopatrzenie i wywiad. Czy pan wie, panie magistrze, że ojciec pana na naszym terenie też był? Razem tu byliśmy. Przyeskortowaliśmy grupę wysiedlonych na osiedlenie. Razem konwojem dowodziliśmy. Dziś nazwiska moich pacyfikowanych czasem w gazetach widuję. Biorę kiedyś gazetę, a tam piszą, że niejaki Wasyluk został naczelnikiem gminy. A ja Wasyluka znałem. Bandyta był z niego przesprytny. Zawsze naszych wykołował. Niczego mu dowieść nie było można, a teraz syn jego socjalistycznemu państwu służy. Same zawilości, bo do mnie władze ciągle miały jakieś pretensje. Tak, synkowie, ojcowie wasi w wojnie domowej walczyli, a wy razem w administracji pióra tępicie.

– Nie wiadomo, jaka i z kim nas czeka walka – powiedział Cis, a ja wtedy do słów kolegi nie przywiązywałem specjalnej wagi.

W zadaniu ojca była dobrotliwa drwina z nas, gryzi-piórów, a Cis ją odpowiednio delikatnie zripostował. Typowe fragmenty sporu pokoleń. Kombatanci często wychwalali swoje czyny wobec młodych. Ojciec był dyskretniejszy, ale znałem prawdziwych zebraniowych piewców przeszłości. Byli do tego stopnia śmieszni, że lud magistracki naszego miasta nazywał ich szyderczo „jaja kobyły”, bowiem mowy swoje często zaczynali od zwrotu „Ja jako były...”.

– Słyszałem – kontynuował Cis – jak w żargonie dziennikarskim się mówi „ze źródeł dobrze poinformowanych”, że „Solidarność” w naszym mieście przygotowuje listy proskrypcyjne. Podobno w mieście figuruje na nich około sześciuset osób. Wiemy też, że jest w okresie organizowania własnej milicji.

– Na co komu takie spisy? – spytała matka.

– Jak to na co? – wtrącił ojciec. – Po to, by spisanych łatwiej wyłapać i wyłączyć z działań. Myśmy też robili spisy.

– Co się na tym świecie dzieje? Byłam w kościele, a tam młody ksiądz mówił, że władza przeciw ludziom się szykuje. Wszyscy przeciw wszystkim się gotują, jakby byli wrogami.

– Zawziętość między ludźmi jest duża. Byłem świadkiem takiego zdarzenia – mówił ojciec. – Jeden z naszych zbowidowców, autentyczny inwalida wojenny, co protezę trotuar opukuje, chciał dostać kawałek mięsa poza kolejnością. Popchnęli go i upadł. Podnosząc się, zdenerwowany wołał, że on tych, co go obalili, z automatu by wykosił jak leżąc przed laty z posieczoną szkitą, prał hitlerowców. Może nie musiał aż tak kolejki łajać, ale sam był w szoku. Na jego słowa wyszło z szeregu trzech dryblasów i powiedzieli:

– To znaczy, dziadzie, że my hitlerowcy?

– Tak właśnie postępujecie – zawołał, dźwigając łysinę, ale nie wstał, bo jeden kopnął go, drugi mu butem poprawił, trzeci trafił w protezę, a przy powtórcie dobrze przyłożył nogę do krzyża. Wszedłem do sklepu rymarskiego, co jest naprzeciw masarza i zatelefonowałam do milicji, ale nie przyjechali. Wtedy poszedłem na komisariat, a tam spisali mnie i powiedzieli, że notują, bo to mogła być prowokacja przeciw milicji. Nie człowieka bronili, nie dryblasów ścigali, a mnie spisali na wszelki wypadek jako domniemanego prowokatora. Może jeszcze przed kolegium mnie wezmą, a syn będzie sądził jako wroga władzy.

– Prawda, że było ostatnio kilka antymilicyjnych prowokacji, jak choćby w Otwocku ale w tym wypadku powinni przyjechać – powiedział Cis.

A że późno było, pożegnał rodziców, ja zaś odprowadziłem kolegę do przystanku tramwajowego. Wsiadł do wozu, wsiadłem i ja, chciało mi się jechać, jak niedawno łązić. Dotarliśmy do centralnego skrzyżowania, gdzie

krzyżują się drogi w różne strony świata, jak z Rzymu. Tramwaj nie dojechał do krzyżówki. Cały rozjazd zablokowali kierowcy taksówek, żądając w ten sposób przybycia wojewody, by im na miejscu powiedział, gdzie i kiedy otrzymają benzynę. Spacerowaliśmy między samochodami, wysłuchując uwag o sytuacji. Nie dając paliwa, nie pozwalają ludziom pracować i żyć. Co to za władza ludzi pracy, że pracować nie pozwala? Paliwa na świecie jest za wiele, taniej, a u nas go brak i drożej. Tylko promienci i ich koleżkowie mają paliwo. Muszą mieć benzynę, by dziwki do leśniczówek wywozić.

Na miejsce zdarzenia przybył kierownik Wydziału Komunikacji UW i tłumaczył doraźnemu komitetowi protestacyjnemu, że cysterny z paliwem już jadą, ale jeśli skrzyżowanie będzie zablokowane, powstanie zator drogowy i nie przyjadą. Najlepiej będzie, jeśli maszyny opuszczą skrzyżowanie, pojadą na stację CPN, bowiem on, dyrektor, w imieniu wojewody zarządził, by punkty dystrybucji paliwa rozpoczęły jego sprzedaż natychmiast po odbiorze. Kto pierwszy, ten będzie lepszy, a jadą tylko dwie cysterny paliwa. Ktoś jeszcze zawołał pytaniem, po ile będą dawać, a kiedy usłyszał, że do pełnego baku, popędził do wozu, a za nim poganili inni. Skrzyżowanie było wolne.

– Jak w Klondike – powiedziałem do Cisa. – Na wieść o złote ruszył wielki bieg do wyznaczania działek.

– Żeby po złoto – rzekł Cis. – Tutaj jest bieg, ale nie ma złota. Nikła musi być wartość ruchu, jeśli można go obietnicą tankowania rozproszyć.

– Uważa pan, że paliwa nie będzie?

– Będzie. Jednak z równym powodzeniem mogłoby nie być.

Staliśmy z Cisem przy światłach regulujących ruch drogowy, jakby trochę odurzeni tym, co się stało przed

chwilą. Zamiast wsiąść do ruszających tramwajów każdy w swoją stronę, prawie bez zamawiania poszliśmy do restauracji, a tam zastaliśmy Wirta w otoczeniu artystów. Biesiada była w stanie najwyższego rozwoju. Tego wieczoru wódka zbliżyła mnie do Cisa i poznałem ludzi, o których dotąd tylko słyszałem: malarz, wnętrzarz, rzeźbiarz, pisarz. Z restauracji przeszliśmy do pracowni jednego z artystów, gdzie piliśmy siwuchę z cynowych pucharów gospodarza, gdy ten nucił pieśni legionowe marszałka Józefa Piłsudskiego. W pewnym momencie pieśń podjęli wszyscy obecni, a najgłośniej i najsprawniej śpiewał Cis. Artystyczny gospodarz nawet wykonał pewną inscenizację: wyszedł do drugiego pomieszczenia i za chwilę wrócił ubrany w mundur strzelca legionowego z roku 1915. Biliśmy brawa wojakowi, a artysta, startując do stojącego na komodzie popiersia marszałka, wołał słuźbiście:

– Panie marszałku, strzelec Mieto-Mietkowski melduje swoją gotowość bojową.

– To czemu salutujesz, Mietunio? – zawołał artysta grodzki, autor kobiecych kadłubów na krzyżach – jest odpustowym kiczem i dla sztuki nie ma najmniejszego znaczenia. Takie główki, słowo honoru dają, sprzedają na każdym bazarze Gdańska.

– Sprzedają symbol – wołał przebrany za legionistę artysta.

– Symbolizm w sztuce mnie nie interesuje, fajdam na wszelkie symbole.

– A krzyż? – spytał Wirt. – Krzyż też cię nie interesuje?

– Interesuje mnie jako forma.

Zaczęła się długotrwała i zawiła dyskusja obrońców symbolizmu i ich przeciwników, której do końca nie doczekaliśmy, bo Cis skinął na mnie, pokazując głową w stronę wyjścia. Opuściliśmy pracownię prawie niezauważenie.

Biesiadnicy już nie widzieli niczego i nie słyszeli nikogo: każdy mówił głośno, chcąc przekrzyknąć kolegę obok lub przeciwko i zagłuszyć go swoimi racjami, o których wiedział, że są słuszne dlatego, że on je wykrzykuje. Cis pojechał do hotelu, a ja do domu, a tam jak zawsze w podobnych sytuacjach, w szklance przy łóżku stało zsiadłe mleko. Czy może być dla kawalera lepsza istota od matki? Nawet ukochana Ewa w takich sytuacjach nie była opiekuńcza. Od żonatych kolegów wiem, że gdy wracają do domu rozchwiani, maltretuje ich nawalnicą wymysłów tak gwałtowna, jak trąba powietrzna na obrzeżach Meksyku. Przecież to pogłębia chorobę człowieka. Lucyna też mówi o pijanym, że jest z niego padalec (od słowa „pada”), co go trzeba układać jak ciekącego przez ręce flak. Jest pielęgniarzką i owe potworności widuje. Jedna, jak Ewa, fuka, że chłop po nadużyciu wódki jest dzieckiem w męskości, druga, jak Lucyna – deklaruje obrzydzenie, a matka stawia przy łóżku ozdrowiający napój.

Począwszy od wieczoru z taksówkami na skrzyżowaniu, moje spotkania z Cisem były częste. Nie zawsze doprowadzały nas do pracowni Mieta Mietkowskiego. Odbywaliśmy długie spacerunki za miastem, a tam prowadziliśmy ożywcze dysputy. Cis okazał się partnerem dużej wiedzy i bystrości umysłu. Potrafił precyzyjnie kojarzyć fakty i wyprowadzać z nich trafne wnioski. Przyznaję, że od śmierci magistra Jałowieckiego nie miałem przy sobie człowieka, którego mógłbym darzyć szacunkiem za wybitne walory intelektualne. Chętnie rozmawiałem z nim o kodeksach Justyniana i o tym, kiedy „Solidarność” ogłosi się partią polityczną, by przejąć w Polsce władzę. Żartowaliśmy ponuro, że Gaśnicki zostanie wojewodą, a szef jego straży, Klejner, komendantem policji.

XVI

Nadeszła późna jesień, czas ustabilizowanej reglamentacji, zbierania i kiszenia kapusty, a także powolnych jeszcze, ale już pewnych przygotowań do świąt Bożego Narodzenia. W Polsce wojna i okupacja, zaraza lub obraza, więzienia czy okopy, kolejki czy kartki, nic nie potrafi znieść Wigilii, najbardziej uroczystego przedświątecznego półświęta. Chcąc nie chcąc, każdy człowiek od małego jest włączany w przygotowania do fetowania z bliskimi w wielkim dniu. Nawet zwierzęta domowe, jak psy i koty, dostają prezenty spod choinki. Każda gospodyni chce choć ten jeden raz mieć stół zastawiony przynajmniej jedenastoma potrawami. Ale luksus stołu trzeba w kryzysie opłacić wielogodzinnym wystawianiem w kolejkach po każdy drobiazg. Wiedziały o tym gospodynie i zakupy świąteczne zaczęły robić już w początku grudnia. Matka opowiadała, że prawie cudownym sposobem nabyła sto gramów rodzynek, rarytasu do wypieku ciast drożdżowych: przechodziła obok sklepu, gdzie jej noga nigdy nie stawała z powodu ordynarnej ekspedientki z brodawką na nosie, ale tym razem coś ją pchnęło, jakiś mus wewnętrzny spowodował, że przystąpiła wredny próg, a tam nie było kostropatej, zaś na półkę wykładano rodzynki. Innym razem ze szczęściem w oczach mówiła, że dostała cztery opakowania margaryny i jedną paczuszkę migdałów. Najbardziej narzekała na brak cukru. Znalazła źródło, gdzie mogłaby za kartki na papierosy otrzymać cukier i żądała, byśmy z ojcem ograniczyli palenie, ale egoizm mężczyzn był silny. Wtedy ograniczyła nam słodzenie herbaty. Mąkę na wypieki okupiła katarem.

Tradycyjnie w naszym domu zaopatrzeniem w alkohol zajmował się ojciec, natomiast dostarczycielem mięsa na świąteczny stół byłem ja. Wielkanoc roku osiemdziesiątego pierwszego spędziliśmy przy mięsie nabytym od Ostrowąsa, ale teraz to zawsze pewne źródło zaopatrzenia odpadło. Nie tylko ja, ale nikt z naszej rodziny nie mógł wkroczyć w obejście niedoszłego teścia. Trzeba było szukać chłopca ze świnią w okolicznych wioskach. Na mięso przydzielane kartkami nie było można liczyć nie tylko z powodu ilości, ale głównie z powodu jakości sprzedawanego towaru: mrożona wołowina i łopatka, przyprawiane byle czym wędliny, o których ojciec mówił, że raz je się ugryzie, a dwa razy spluwa. Dochodziły słuchy, że wieśniacy nawet chętnie sprzedawali ludziom wieprze, ale w całości: nie każdy umiał i lubił bić zwierzę, czyścić i obrabiać, nie każdy chciał papraniny z rozważaniem rąbanki, woleli sprzedaż hurtową – mieli towar poszukiwany, dyktowali warunki zbytu. Dlatego ludzie magistracy zmawiali się w dwóch, trzech, najlepiej czterech, w zależności od wielkości rodziny, by kupić wieprza, ubić go, a mięso sprawiedliwie podzielić bez pomocy sądu, sołtysa i „Solidarności”. Trzeba jednak było zważać, by przy dzieleniu nie zaszły ludzkie kwasy, bo wiadomo, że świnia ma cztery nogi, ale tylko dwie szynki i nerki, jeden łeb i jedną wątrobę. Dlatego duety i kwartety nabywców tworzyli ludzie mniej swarliwi i skłonniejsi do ustępstw.

Z początku grudnia mieliśmy doborową czwórkę do nabycia świni: Wirt, Cis, artysta Mieto-Mietkowski i ja. Cis miał spędzać święta w Warszawie, ale już dziś cieszył się z radości matki, gdy wkroczy we drzwi z torbą pełną wędzonek i powie, co jej z dalekiej podróży przywiózł. Wędzenie mięsa zapewnił nam Wirt u znajomego kierownika geesowskiej masarni. Peklowanie miał zrobić

każdy w swoim zakresie. Cisowi miał pomóc ojciec Garbarz. Na wspólnym posiedzeniu ustaliliśmy, że podział świni nastąpi poprzez losowanie, a komu przypadnie przodek, ten uzna siebie za wygranego, bo nie będzie miał szynki, ale dostanie karkówkę na baleron. Dodatkowo każdy podjął, że na świniobicie dostarczy pół litra wódki, bowiem wiadomo, że w Polsce żaden masarz bez alkoholu bił świni nie będzie. Pozostało znaleźć odpowiedniego świntucha.

– Ja to załatwię – powiedział do mnie Mieto-Mietkowski – bo mam Frania, Franio ma przyjaciela Edzia, Edzio ma Hirka, Hirek Gienia i Władzia, a Władzio mieszka na wsi, hoduje świnię i jest także moim przyjacielem.

Wirt szczegółowo wypytał Mieta-Mietkowskiego, gdzie ów ostatni w szeregu przyjaciół mieszka i czy Mieto z nim rozmawiał o transakcji. Wypytywał, jakby nie dowierzał zapewnieniom artysty. Mieto jednak przysięgał na własny pędzel geniusza, że łańcuch przyjaźni, jaki wymienił, nigdy zerwany nie został i żaden świński powód nie jest w stanie go splątać. Przynależał nawet, że po żywca i po mięso pojedziemy samochodem Frania. Wirt jednak następnego dnia robił wywiady wśród ludzi magistrackich, gdzie jeszcze mogło być źródło zakupu zwierzyny ubojnej, bowiem Mietowi nie dowierzał. Obawy Wirta okazały się płonne. Dwunastego grudnia zatelefonował do mnie Mieto, że jutro, trzynastego, przed południem powinniśmy pojechać do wsi Kozie Rogi, bo tam mieszka Władzio, najlepszy przyjaciel przyjaciela. Jedziemy samochodem osobowym Frania – zapewniał – obejrzymy ryj i ogon, pomacamy grzbiet zwierzy, by skrzeblota nie kupić. Poinformowałem zainteresowanych, ale koledzy rano nie mogli jechać: Wirt musiał przygotować jakiś papier dla województwa, Cis także był zajęty. Obaj

powiedzieli, że całkowicie ufają moim znajomości żywny. Podobnie o moje sądy chciał oprzeć się Mieto, gdyż o świni wiedział tyle, że od niej pochodzą peklowane gołonki, jakie podają do wódki. Nie był ekspertem od świństwa i Franio, a co ja o rogaciznie wiedziałem? Że kiedy jest zdrowa, ma zakręcony ogon. Tą wiedzę epatowałem kolegów. Do wsi Kozie Rogi pojechaliśmy około południa. W Warszawie obradował Kongres Kultury Polskiej, nam pod koła i na szybę samochodu zaczął grubymi płatami padać śnieg. Na pierwszym kilometrze było jeszcze ładnie, a na dziewiątym już kopno. Stanęliśmy przed domem najlepszego przyjaciela Mieta i wtedy okazało się, że trzynasty dzień miesiąca jest jednak pechowy: przyjaciel przyjaciela właśnie wyjechał, w domu została para dziadków, a ci o sprzedaży mięsa nic nie wiedzą. Stary Kuna był człowiekiem nadzwyczaj życzliwym i uczynnym. Założył czapkę uszatkę z zim ostatniej wojny światowej i poprowadził nas najpierw szukać gospodarza, co chciałby sprzedać świnię. Znaleźliśmy odpowiednią sztukę (miała dobrze macalny kark i zakręcony ogon), ale gospodarz powiedział, że nie ma warunków, umiejętności ni ochoty do bicia zwierza. Niefrasobliwie jednak kupiliśmy świnię. Wpędzono nam ją do klatki, jaką chłopci wożą żywiec do skupu, powiedziano: wasza jest i ją zabierajcie. Teraz śnieg padał na nas i na klatkę, a my bezradnie patrzyliśmy na siebie i dziadka. Sytuacja była wręcz dramatyczna. Trójka mieszcuchów ze swinią w klatce stała na ulicy wśród padającego śniegu.

– Jest tu jeden taki, co chętnie przy mięsie robi, ale lubi przy tym łyknąć. Jeśli macie coś kropli, to możemy do niego iść – powiedział dziadek Kuna, by zdrowie i jego trwało wiecznie, a kości ischias omijał. Wyboru nie było. Franio z Mietem i z dziadkiem poszli szukać świ-niobijcy, a ja zostałem przy klatce jako stróż przyszłego

schabu, ryja i ogona. Wrócili po pół godzinie z dobrą nowiną w głosach: jest masarz amator, co nam wieprza oporzadzi, ale nie teraz, najpierw musi pod kotłem napalić i wody nawarzyć, bo świni nie opala, a czyści przez parzenie. Postawił jednak dwa warunki. Po pierwsze, krople muszą być, po drugie, musimy od niego kupić świnkę, a on ją ubije, inaczej robota nie będzie mu się opłacać. Franio i Mieto przystali na warunki, bo co mieliśmy zrobić ze swinią w klatce na środku wioski Kozie Rogi? Tylko, co zrobić z tak dużą ilością mięsa? Przecież nie otworzymy w magistracie jatki i nie będziemy sprzedawać rąbania urzędnikom.

– Nie martwcie się – powiedział Mieto – odbiorców wieprzowiny ja zorganizuję. Ulżył w strapieniu dziadek Kuna, który poszedł po konia i sanki, by przewlec świnię na miejsce uboju. Co byśmy zrobili bez dziadka Kuny? Jeśli nikt jeszcze roli dziadków w historii bicia świń nie uwydatnił należycie, ja to dziś czynię: bądź pozdrowiony ty i twoja uszatka, dziadku, niech ci wiśniowa fifka, z jakiej od czterdziestu lat papierosy kurzysz, drugie tyle służy, dziękuję ci, że ręce i nogi pomarzęły mi tylko trochę, dziękuję za Frania, Mieta – łgarza dobrotliwego.

Dziadek pociągnął zwierzę w masarskie obejście, a my pojechaliśmy do miasta, by wrócić do Kozich Rogów na sam czas świńobicia. Zawarliśmy dżentelmeńską umowę, że o piętnastej staniemy przy warsztacie Gienia, gdzie w wozie dostawczym czekał będzie na nas Franio, najlepszy przyjaciel najlepszego przyjaciela. Śnieg walił grubo i zaraz rozmakał. Na jezdni powstawały zwały ziemisto-śniegowej mazi. Widać było, że dzień do jazdy samochodowej jest niesłychanie podły, ale zapotrzebowanie na świąteczną swinię większe od trudów. O piętnastej byliśmy na miejscu zbiórki. Wszyscy poza Mietem

i Cisem. Cis zawiadomił mnie telefonicznie, że przyjechały jakieś ważne fagasy z Warszawy i musi im asystować, prosił, bym transakcji i wyboru dokonał w jego imieniu, na wszystko się godzi. Zatelefonowałem do matki, że na obiedzie nie będę, bo jadę po mięso i poszedłem na spotkanie: Franio siedział już w aucie i trzymał silnik na chodzie, w budzie siedzieli Wirt z Kadukiem oraz jacyś dwaj współnabywcy mięsa, których zwerbował Mieto.

– Panie Franku – powiedział Wirt – niech pan zgasi samochód, bo o ile ja znam życie, Mieto spóźni się znacznie.

– Nie mogę zgasić, bo później nie zapalę. Mam słaby akumulator, nowego kupić nie można. Jak motor zdechnie, to go w mazi nie zapchamy. Za ciężko.

– Jak pan tam silnik zapali? – spytałem niespokojnie, bo jazda niesprawnym wozem wydała mi się ryzykowna.

– Po drodze naładuje się – odparł kierowca, a Kaduk w tym momencie zawołał, że Mieto idzie. Kolejny próg nabycia mięsa został przekroczony. Ruszyliśmy i bez przeszkód dotarliśmy do Kozich Rogów. Gospodarz był już przy robocie. Świnie leżały skłute, z kotła parowała woda. Pomieszczenie, gdzie leżały sztuki, było typową kuchnią gospodarską: duży piec z wmurowanym na stałe kotłem, parnik na kartofle, z boku śrutownik, posadzka betonowa z odpływem wody, pod czarnym sufitem żółta, świecąca żarówka. Dużo pary. Na żelaznych belkach stropu krople wody. Posadzka zasmarkana rozmytą krwią. Patrząc na scenę leżących świń i kręcących się w oparach ludzi pomyślałem, że tak powinno wyglądać przedpiekło, gdzie diabli widłami przywłóczą ciała zmarłych, by je po kolei wrzucać do piekielnego kotła.

– Ubiłem je, bo woda wrzała – powiedział gospodarz, jakby usprawiedliwiając się, że nas pozbawił widoku zabijania. – Zaraz je oparzemy i obmuśniemy z sierści.

– Pięknie – powiedział Mieto – a co do kropli, to teraz ich zażyjemy, czy później?

– Teraz po jednym. Po drugim jak tuszki zawisną. Po trzecim przy rozbiórce mięsa, a resztę, jak Bóg da.

Wypiliśmy za zdrowie gospodarza, do którego odczuwaliśmy wdzięczność, że wybawił nas z licznych kłopotów. Obok dziadka Kuny była to najbardziej pozytywna postać dnia. Masarz-amator pracował sprawnie. Chcieliśmy go po dyletancku wspomagać, ale nie pozwalał, twierdząc, że kto nie potrafi wieprza oparzyć, zaparzy go i zamiast robocie ulżyć, wielce ją utrudni. Staliśmy tedy dokoła wyskoblowanych drzwi, na których leżała skrobana świnia i słuchaliśmy o tym, co na wsi słyhać. Gospodarz był człowiekiem towarzyskim, lubił opowiadać. O przeszłości opowiadał, jak z kuzynem pierwszą świnie bili: źle skłuli sztukę, nie trafili nożem w serce, zwierzę puścił farbę, ryknął z bólu, zrzucił z siebie niefortunnych szlachtowników i biegał po obejściu jak oszalały. Wreszcie wpadł do chlewa, gdzie oprawcy go dopadli, dogłuszyli i dokłuli. Wieczorem w dwóch domach było karanie. Dwaj bracia ojcowie powrozami ćwiczyli synów za partactwo, chociaż chłopacy po dwadzieścia lat już mieli – były to czasy ojcowskiego posłuchu. Teraz Kaziu, syn jego, gospodarstwo z nim niby prowadził, ale na taksówkę polazł. Ma mercedesa na ropę i poloneza na benzynę, bo taką ma chęć i wolę, jakby ojcowej woli w gospodarstwie było za mało. Zmieniły się czasy. Córka kupiła malucha. W domu też wszelkie urządzenia pracują: pralka automatyczna jest, telewizor kolorowy jest, jest dobre radio, co Polskę i zagranicę porządnie odbiera.

– Czy każdy rolnik tak żyje? – spytałem.

– Nie każdy – opowiedział bez wahania – Tylko ten, co potrafi sobie radzić i pracuje.

- Większość jednak, jeśli chce, może żyć dobrze?
- Może żyć dobrze.
- To powiedz pan, oczywiście, jeśli pan zechce – dlaczego rolnicy protestują? Dlaczego zawiązują chłopską „Solidarność”, która przecież jest organizacją protestu?
- Osądzam, że ludziom znudziło się dotychczasowe przydzielanie nawozów i maszyn, chcą odmiany. Może dostaliby więcej i szybciej? Przecież pan zna życie i wie, że każdy chce więcej do brzucha przygarnąć. Sam Pan Bóg stworzył człowiekowi ręce tak, by garnęły, a nie odgarniały. W radio tak mówili. Słyszałem. W naszej gminie na przykład powstały sitwy. Sitwy zawsze między ludźmi były, to fakt, a gdyby zamiast starej sitwy powstała nowa, może by człowiek do niej wlaź i więcej dla siebie przyorganizował.
- Czy to znaczy, że pan do sitwy nie należy?
- A jak można żyć bez sitwy? Bez sitwy niczego nie dokonasz. Kto mocniej w sitwie siedzi, ten więcej ma.
- Czy to znaczy, że pan nie protestuje?
- Nie mogę przeciw sobie protestować. Ale jak protestanci przyszli do mnie po podpis, to ich wsparłem, by żądali więcej maszyn, nawozów, wyższych cen za chłopskie produkty. W radzie gminnej, gdzie zasiadam trzecią kadencję, też wciąż wołałem: chcecie więcej, dajcie więcej. Chłop jest, panie, jak ziemia: więcej w nią włożysz, więcej z niej zabierzesz.

Opowiadając o przeszłości i wypowiadając poglądy o dniu dzisiejszym ani na chwilę nie przestał pracować. W jego ręce migająca skrobaczka na przemian z nożem. Kiedy ostrzył narzędzia na osełce, wypowiadał zdania dobitne, jakby skiby podczas orki odkładał. Moi współtowarzysze zakupu stali dookoła świni jak diabli za mgłą. Gospodarz od czasu do czasu zwiększał parowanie, polewając wrzątkiem słabo odparzone miejsca na wieprzu,

dogadując przy tym skrobanemu, że widocznie bardzo tego nie lubi. Siebie jednak usprawiedliwił, że w robocie czasem się zdarza zły trafunek: dasz na skórę pierwszy chlust wrzątku i okazuje się, że nie zdążyłeś w pachwinach zdjąć sierzchy, a tam zła woda zaleciała i zaparzyła skórę. Trzeba parzyć jeszcze raz. Świnia opiera się nie tylko przeciw zabiciu, ale i przeciw oskrobianiu. Orzesz ziemię i też trafiasz na opór.

Wreszcie obie sztuki były wygolone i miały zdjęte kopytka. Teraz masarz naciął im pęciny i przy naszej pomocy ukrzyżował mięso na orczyku. Podciągnęliśmy sztukę pod mokry sufit, a masarz otarł pot z czoła rękawem i wyciągnął rękę po kieliszek wódki. Wypił. Westchnął. Przystąpił do rozcinania brzucha, mówiąc przy tym, że dopiero teraz zaczyna się wstęp do masarstwa. Trzeba wyjąć jelita, ale ich nie pokaleczyć, bo mięso będzie głównym smierdziało, przepołowić sztukę dokładnie w środku grzbietu, by żadnego schabu nie skaleczyć, słoninę jak po strychnulcu przekroić. Patrzyłem jak ciał toporem kości i wiedziałem, że tuszki rozchodzą się dokładnie w tym miejscu, gdzie od mózgu aż po ogon jest w świni ułożony rdzeń kręgowy. Kaduk znów rajcująco wyciągnął w stronę gospodarza flaszę z „Soplicą”, a gdy ten przyzwalająco skinął powiekami, wypiliśmy. Franio wyszedł na podwórze z chrząkaniem, a jak wrócił, miał minę jeszcze pokorniejszą niż zwykle i oznajmił, że śnieg wali grubszymi płatami niż w południe, natomiast wiatr układa pod bramą zaspę. Będzie ciężki powrót. Już godzina dziesiąta, a dopiero pierwsza tuszka spreparowana. Gospodarz spytał, czy mięso ma pociąć na ćwiartki, czy porozbierać na szynki, schaby, boczki, słoninę i karkówkę? Prawie jednogłośnie odpowiedzieliśmy, że na ćwiartki. Przynieśliśmy wanienki, miski, worki foliowe, wiaderka,

powkładaliśmy mięso w statki i powynosiliśmy do wozu, a masarz zaczął sprawiać drugą sztukę. Pot mu płynął po czole, a nam przez stopy po łydkach aż do samego krzyża ciągnął chłód. Kaduk jako podczasy, Wirt i Mieto jako biesiadnicy pociągali z butelki, a ja stałem przy nożowniku, zachęcając go do wyznań.

– Żonę mam dobrą, panie, ale w młodości taka z niej zgaga była, że na zabawie dwa razy z jedną kobietą nie mogłem zatańczyć. Mnie nic nie zrobiła, ale tamte frycowała po żebrach i za kudły. Sprytna przy tym w bitkach była i podstępna, że dziw bierze. Odmienica jakaś. Ulęgnie się czasem takie. Córka moja pracuje w mieście u fryzjera. Nasłucha się różnych opowieści i ojcu je opowiada. Ostatnio gadali, że pewien człowiek przywiózł z Niemiec do Polski worek papieru toaletowego. Czy nawiedzony jakiś?

Gospodarz mówił głośno, patrząc na mnie przez parę jak chart wąsami ruszał. Wirt przedreptywał jak niedźwiedź podczas tańca i patrzył w uchylone na dwór drzwi, skąd mróz do kuchni opary z powrotem wgniatał. Mieto uśmiechał się do zwariowanego postępuku, chociaż nie szukał we mnie adresata opowieści. Ja zaś odczułem coś w rodzaju zakłopotania, że dokonałem dziwnego zakupu i wwozu. Nie przypuszczałem, że wieść o moim postępku zatoczy szerokie kolisko, by wrócić do mnie w oparach i w smrodzie świeżo bitych świń. Wreszcie zdjęliśmy ostatnią połówkę z drążka i po przecięciu załadowaliśmy mięso do samochodu. Jadąc do Kozich Rogów rozmawialiśmy o koronującym świniobiciu, spożywaniu świeżeniny, jaką kosztowałem kiedyś u Ostrowąsa, ale uznojony gospodarz smażenia nie zaproponował. Wypiliśmy kończącego. Zrobiliśmy rachunki. Wypiliśmy wsiadanego. Właząc do wozu wylewnie dziękowaliśmy,

a Franio chciał uruchomić motor. Maszyna zachichotała dwa razy, trzeci raz nawet z nas śmiać się rozrusznikiem nie chciała.

– Co się stało? – zapytał gospodarz.

– Chyba akumulator stracił moc – powiedział biednie Franio. – Miał po drodze się podładować, a on wysiadł.

– Akumulator to u mnie małe zmartwienie – zawołał gospodarz – mam transformatorek. Włączymy go do sieci normalnego prądu, a on da do maszyny dwunastowoltowy. U mnie wszystko jest – powiedział rad, że może i w tym nam pomóc.

Nasycony prądem motor zaskoczył natychmiast. Franio wymanewrował za bramę i pojechaliśmy w stronę miasta. Zegarek stanął o mi o godzinie jedenastej. Dookoła ośnieżone pola. Białe. Nawet niebo zdawało się być przymrużone śniegiem. Drogowskazami były rzadkie drzewa. W samochodzie wesołość, bo Kaduk głosem chłopca, co zrobił dorosłym pysznym figla, oznajmił, że ma w torbie jeszcze jedną butelkę „Soplicy”, co jadący powitali z ogromną radością. Żartowaliśmy. Wypiliśmy podkurhanego i zakurhanego. Ale w połowie drogi nastrój prysł. Stanęliśmy w zaspie miękko, jakby w puchu. Rozbawiony zdążyłem krzyknąć do Frania, by nie pozwolił zgasnąć maszynie. Ta zaś parsknęła i stanęła cicho, jakby tą ciszą chciała nam serca opatulić. Wszedłem z wozu, wyskoczył w śnieg Franio winowajca, za nami wszyscy ze świniobicia, pytając niespokojnie, czy można to żelastwo uruchomić poprzez popchnięcie? Samochodu jednak w zaspie nie zapchasz. Prawda, że śnieg przestał padać, wiatr ustał, noc była piękna, lecz nas nie uroda nocy interesowała. Chwilę deliberowaliśmy, co uczynić w biedzie? Wracać do gospodarza po akumulator, a później nieść go po śniegu? Pewno już bliżej jest do

peegeru przy głównym trakcie. Tam powinny być traktory. Ciągnik nas może wywlec z biedy. Do wsi poszedł Kaduk, a my zostaliśmy we czwórkę: Franio wciąż z uśmiechem winowajcy, marznący w lekkich półbucikach, Wirt, histeryzujący Mieto i ja skulony z zimna.

– Jak to jest – wołał Mieto do pogodnej nocy – żeby w samochodzie jechało dwóch kierowców, a on im zgasł? Zgasł i żaden nie potrafi go uruchomić. Co z was za kierowcy, żebym ja, wybitny artysta, w polu marzył? Czy to dopuszczalne? Wyście tacy sami jak ten Gierek. On doprowadził gospodarkę do głodu, a wy mnie do chłodu. Gdybym go teraz w swoje ręce dostał.

– Co byś zrobił? – spytał drwiąco Wirt.

– Co bym zrobił? Już bym wiedział, co zrobić – wołał, ale widocznie nie wiedział, bo po chwili triumfalnie wykrzyknął: – W tym śniegu bym go wytarzał.

Śmialiśmy się, podskakując, by mniej zmarznąć. Chichotał także autor wyroku dla niefortunnego przywódcy kraju. Nawet winowajca Franio wydłużył wargi w wąskim uśmiechu. Czekaliśmy w polu około trzech kwadransów. Na szczęście mróz nie był zbyt wielki: ustaliliśmy dyskusyjnie, że nie powinien przekraczać pięciu stopni Celsjusza, chociaż Wirt twierdził, że w nogach czuje około dziesięciu. Wrócił Kaduk z traktorem. Kierowca maszyny za pięćset złotych wyciągnął nas aż do przetartej drogi. Franio włączył dodatkowe ssanie paliwa. Samochód pracował na wysokich obrotach, by znów się nam coś nie przydarzyło. Kaduk opowiadał, jak ogarniając się od psa, szukał traktorzysty, ale nikt go specjalnie nie słuchał. Byliśmy zmęczeni, zziębnięci, upokorzeni mrozem, oklapli. Dopiero pod rogatkami miasta, tam, gdzie jest pierwsze odgałęzienie wjazdowe do miasta ustaliliśmy, że Franio mięso z nami porozwozi do do-

mów. Mruknął coś, że spali wiele benzyny, bo cały czas jedzie przy włączonym ssaniu, ale na mój znak tam, gdzie droga prowadziła do mnie, skręcił w prawo. Siedziałem obok kierowcy jako jego psychiczna asekuracja i kiedy skręcał, przez moment zobaczyłem w światłach reflektorów podjeżdżający pod skrzyżowanie wóz pancerny. Żołnierze muszą odbywać ćwiczenia w każdych warunkach – pomyślałem – są na to przygotowani, nie jak my urzędnicy, cywile podczas wyprawy po mięso. Zimno jeszcze nam dokuczało, bo samochód miał zepsute ogrzewanie, ale bliskość domu poprawiła humory do tego stopnia, że Mieto zaczął opowiadać, jak na mrozie z fajką w zębach i nabrzmiąłym fallusem czekał na dziewczynę.

– A mięso chociaż z tego było? – spytał sprośnie Kaduk.

– Nie było – poskarżył się Mieto.

Przyjechaliśmy pod mój dom. Rodzice czekali. Z ojcem wynieśliśmy mięso nasze i Cisa do kuchni, radując się trochę, że zakrywa nas mrok i nikt z sąsiadów nie widzi, co robimy. Była to, bądź co bądź, rąbanka z nielegalnego uboju, bez badania. Lepiej, by obce oczy występku nie oglądały. Franio, zgodnie z umową, pojechał rozprowadzić mięso i ludzi. Noc w mieście wydała się być ciemniejsza niż w polu.

– Martwiliśmy się trochę – powiedział ojciec – długo was nie było.

– Samochód nam w zaspie zgasł.

Zdziwiłem się trochę, że wszystko, co przeżyliśmy tego wieczoru, można było zamknąć w jednym prostym zdaniu.

– Zaraz podam ci gorącej herbaty – powiedziała matka – Wrzątek trzymałam na ogniu.

– A tutaj dwa razy po ciebie byli – poinformował ojciec.

– Kto był? Milicja?

Czyżby ktoś nas zadenuncjował? – przemknęło mi przez myśl.

– Kurier wojskowy. Plutonowy. Pytałem, po co jesteś im potrzebny, ale nie chciał mówić. Za drugim razem powiedział, że jeszcze przyjdzie.

– Czyżby jakieś ćwiczenia urządzili? Tego mi jeszcze dziś brakuje.

– Pij herbatę, synku, dołałam ci soku malinowego.

– Dobrze, mam, ale najpierw zatelefonuję do Jarka, bo nas zawsze razem na ćwiczenia brali. Podniosłem słuchawkę, ale sygnału nie było. Starym zwyczajem postukałem w widelki, by wywołać sygnał, ale telefon milczał najpaskudniejszym, można rzec awaryjnym milczeniem. Trzynasty – pomyślałem – dzień zakupu świni i szybko przemijających uciążliwości życia. Najwidoczniej złe, jakie dziś wokół mnie krąży, nie jest zbyt demoniczne – zażartowałem sobie, pijąc herbatę i opowiadając rodzicom przygody wieczoru.

– Pewno nie masz ochoty dziś grzebać się w mięsie?
– powiedział ojciec, patrząc jak obejmuję w obie dłonie szklanekę, by więcej ciepła w siebie wprowadzić.

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo u drzwi odezwał się kurant, niemiecki wymysł elektryczny, jaki przywiozłem z Celle. Wstałem, bo wydawało mi się, że to do mnie.

– Może ciebie nie ma? – spytał ojciec.

Podszedłem do drzwi. W wizjerze zobaczyłem podoficera w hełmie. Otworzyłem.

– Czy pan magister Garbarz? – rzekły usta spod hełmu.

– Tak.

– Mam rozkaz doręczyć to panu – powiedział, wyjmując z torby papier. Podał mi odbitą na powielaczu kartkę, gdzie opatrzone podpisem prezydenta było wezwanie do Urzędu Miejskiego. – Mam rozkaz – dodał podoficer, gdy czytałem papier – mam rozkaz zabrać pana ze sobą, bo tramwaje i taksówki nie jeżdżą.

– Co się stało? – spytałem żołnierza, kiedy ulicami miasta jechaliśmy do urzędu.

– Proszę o nic nie pytać. Mam zakaz udzielania informacji. W urzędzie panu wszystko powiedzą.

– Rozumiem, a co mówią żołnierze?

– Żołnierze wiedzą, że jest wojna.

Za przeszklonymi drzwiami Urzędu Miejskiego stał posterunek wojskowy w bojowym rynsztunku. Siedzący w dyżurce portiera sierżant przeczytał moje wezwanie i nakazał, bym poszedł do gabinetu prezydenta. Dyżurny powiódł mnie na pierwsze piętro. Po korytarzach kręcili się żołnierze w połowych mundurach. W sekretariacie siedział podoficer. Przeczytał moje wezwanie i wskazał na drzwi. Od kilku minut byłem w wojskowym ruchu, gdzie decyduje rozkaz, meldunek, skinienie, odesłanie, skierowanie, gest. Nacisnąłem znajomą klamkę. Przyznaję, że po tym, co zobaczyłem, nogi sflaczały pode mną: w głębokim fotelu obok pryncypała i nieznajomego majora siedział magister Marian Cis z Uniwersytetu Warszawskiego.

XVII

Wezwali mnie do karania. Nie kazali przywdziewać munduru, ale powiedzieli dobitnie, szczególnie prezydiesz, bym czuł się zmobilizowany. Zadanie moje dzisiejszej nocy polegać będzie na tym, że w trybie doraźnym karał będę grzywnami ludzi, co przekroczyli przepisy stanu wojennego, jaki dziś w Polsce został wprowadzony. Podstawą prawną jest dekret Rady Państwa, co znaczy, że działał będę zgodnie z przepisami. Pracę muszę rozpocząć natychmiast. Kilku doprowadzonych przez milicję już czeka na orzeczenie kolegium, któremu będę przewodził. Odmówić wykonania zadań nie mogę. Zresztą, takiej reakcji ode mnie nie oczekują. Wezwano mnie jako obdarzonego zaufaniem dla służby Polsce. Znaczy to, że jesteśmy w wojnie?

– Jesteśmy w wojnie, a ty jesteś sędzią sądu polowego – powiedział Cis, pukając palcami po hełmie, który trzymał na kolanach.

– Przeciwko komu wojna? Gdzie jest wróg?

– Jest – powiedział Cis – silny, wewnętrzny przeciwnik.

– Czyli to wojna wewnętrzna?

– Wewnętrzna.

– Cywilna?

– Cywilna. Dlatego wojsko, czyli my, współdziałamy z cywilami, czyli z tobą.

– Rozumiem. Czy to było konieczne?

– Generał w wystąpieniu radiowym powiedział, że była to dramatyczna konieczność. Jesteśmy żołnierzami i wykonujemy powierzone nam zadania.

– Czyżby pan wątpił w słowa premiera? – wtrącił się do rozmowy prezydent głosem prawie napastliwym.

– Nie słyszałem przemówienia generała, a zawsze mnie uczono, że prawidłowy osąd zjawisk można przyjąć po wyczerpaniu wszelkich wątpliwości. Dlatego pytam.

– Wróg wewnętrzny przygotował się, by nas zaatakować i zniszczyć, a myśmy atak uprzedzili. Taka jest prawda, panie kolego. Dla waszej zaś informacji towarzyszu, dodam, że na liście proskrypcyjnej figurowaliśmy razem jako przeznaczeni do uwięzienia lub nawet zgładzenia – rzekł prezydent z dużą zaciekłością w głosie.

– Spokojnie – powiedział Cis – zapewne większość Polaków jeest zaszokowana. Juź dziś, a z całą pewnością jutro w każdym domu rozgorzeje dyskusja. Ludzie będą wątpić w celowość tego, co się stało, a nasza praca polegać ma między innymi na tym, by im wyjaśniać zawiłości sytuacji, jaka powstała. Wybaczcie, towarzysze, ale w sztabie miasta nie wolno tracić czasu na puste dyskusje, co nas jutro spotka: ogień czy cisza, mleko czy krew. O wątpliwościach porozmawiamy za tydzień, gdy sytuacja się wykluje. Dzisiaj proszę wypełniać powinności – zakończył dyskusję Cis, a w głosie jego zabrzmiał twardy rozkazujący ton dowódcy.

Poszedłem sądzić obwinionych. W sekretariacie dognał mnie prezydent, by oznajmić, że jest zalecenie stosować grzywny w wysokim wymiarze, bowiem działać one mają odstraszaąco: jest wprowadzona godzina policyjna i musi być surowo przestrzegana. Jest zakaz zgromadzeń i strajków. Najlepiej, jeśli jako przewodniczący kolegium będę zatwierdzał wnioski organów porządku publicznego, bo oni wiedzą, kogo i jaką grzywną karać.

– To po co ja tam będę, panie prezydencie?

– Żeby zatwierdzać, panie kolego, żeby zatwierdzać. Co wniosek to wyrok, panie kolego – powiedział szef i pobiegł do gabinetu, gdzie wzywał go major.

Szybko pobiegł – pomyślałem, widząc żwawo wyrzucające nogi pryncypała. – Z podobną ochotą jak wtedy, gdy usunął mnie z pokoju i dyktował gastronomii, jakie wymiary mają mieć kiełbaski przygotowane na zjazd „Solidarności”. Pilny w służbie jest mój szef, prawdziwy technik pokazywania gorliwości. Dlatego awansował. Podczas wyborów wszedł do wojewódzkich władz partyjnych, a ja do żadnych. Byłem porażony śmiercią Ewy, a tych, co ulegają żałobie, politycy nie lubią. Byłem słaby, a działania należą do silnych. Życie jest dla żywych. Kto mnie wciągnął w to sądzenie? On czy Cis? Właśnie, Cis. Ciekawy rozmówca. Doskonały kompan biesiady. Uroczy śpiewak pieśni legionowych, a w istocie zakonspirowany w urzędzie komisarz wojskowy miasta. Dobrze utrzymywał tajemnicę. Nawet umizgał się do Lucyny. Sprawny. Mocny. Sądząc ludzi w ich imieniu, będę karał. Treścią wypełniał to, co przygotowali. Czy markot wiedział, na co się w Polsce zanosi? Pewne jest, że zostałem wykołowany przez lepszych. Byłem dobry, kiedy zaproponowałem im budowę Pałacu Ślubów, przeniesienie USC do Wydziału Rolnictwa. Oni byli lepsi, że moje propozycje przyjmowali. Lepszy. Co robić? Trzeba iść sprawować sądy wojny cywilnej. Szedłem jak porażony. Nogi zanosły mnie do ubikacji. Oddałem moc. Umyłem ręce i twarz zimną wodą. Nawyk. Stosowanie zabiegów wokół siebie zalecał magister Jałowiecki mówiąc: – Przed ważnym zajęciem zrób sikę, wypłucz usta, orzeźwij się wodą, bądź czysty i rzeświejszy niż inni, sprawniejszy. Podczas wykonywania powinności nic nie powinno ci przeszkadzać. Wreszcie, mijając kolejkę obwinionych jako petentów do załatwienia, wkroczyłem na salę kolegialnego wymiaru sprawiedliwości.

Usiadłem za stołem. Obok mnie zajęły miejsca zaufane koleżanki, siostra Lucyna i pani Krystyna z Biura Ewidencji Ludności. Przed nami proste jak w gębę strześlił były drzwi wejściowe, którędy mają wchodzić obwinieni, z prawej strony za osobnym stolikiem siedział młody porucznik milicji, oskarżyciel dzisiejszej nocy.

– Ilu będziemy mieć do osądzania? – spytałem porucznika.

– Ilu nam doprowadzą – burknął, a ja z oschłej odpowiedzi pojąłem, że oficer zna swoją rolę za biurkiem i wie o tym, co mówił mi w sekretariacie prezydent. Zmówieni. Mocni. Mam tutaj figurować i zatwierdzać. Mieć władzę zatwierdzania.

Po chwili praca nasza stała się taśmowa. Wprowadzani na ogół mówili: tak jest, proszę kolegium, szedłem ulicą od brata, była godzina dwunasta, zatrzymał mnie patrol, chcieli sprawdzić tożsamość, ale nie miałem dowodu osobistego. Na pytanie, czy obwiniony przyznaje się, że obraził ustawę o stanie wojennym, przestraszeni ludzie odpowiadali, że przyznają, ale czynili to nieświadomie i proszą o łaskawe potraktowanie ich przewinienia. Prawda, że było kilku młodych mężczyzn, którzy, jak wykazał szybki przewód, dążyli do siedziby regionu „Solidarności” na ulicę Chrobrego: po prostu po zajęciu lokalu milicja zastawiła tam sak, do którego potencjalni obrońcy zawieszzonego związku wpadali jak płotki. Faktycznie płotki, bo szczupaki były internowane. Ludzi tych porucznik miał na specjalnej liście i dla nich proponował najwyższy wymiar kary. Obłożył chyba z piętnastu sztrafami od pięciu do dziesięciu tysięcy złotych. Robota zaczęła być monotonna: spotkany na ulicy, doprowadzony, obwiniony, ukarany, zrozumieliście, proszę wyjść, następny proszę. Prawdziwa heca szybkiego sądenia. Po

dwudziestym siostra Lucyna zażartowała, że zarobiliśmy dla kasy miejskiej poważną sumę, ale ani mnie, ani Krystynie nie chciało się śmiać. Rozdzielając grzywny, cały czas myślałem o własnym przewinieniu i o tym, że lada chwila patrol może wprowadzić ekipę naszego świniobicia, która być może jeszcze krąży z mięsem po mieście. Natomiast Krystyna wciąż trapiła się, czy zasnęły zostawione w domu dzieci, a zwłaszcza młodsza Agatka.

Dwudziesty pierwszy delikwent wszedł na salę rozpraw w papciach domowych. Widziałem wyraźnie, że lewy papciuch w okolicach wielkiego palca był rozpruty. Jak na śnieżną porę obuwie zaiste niezwykle. Zainteresowany osobliwością stroju obwinionego zacząłem go dokładnie wypytywać o okoliczności zatrzymania. Doprowadzonym do sprawiedliwości okazał się doktor etnografii, pracownik muzeum w naszym mieście, właściciel czarnego psa. Przyznał on, że o godzinie dwunastej trzydzieści zlął z psem z czwartego piętra na skwerek przed domem dlatego, że Ben dostał rozwolnienia. Puścił pudła na śnieg, a sam stanął w bramie klatkowej i zapalił papierosa, czekając aż chory faworyt się wyczyści. Wtedy podbiegło do niego dwóch milicjantów, przed którymi nawet nie próbował uciekać, a jeden z nich zawołał do trzeciego: – Już go mamy. Etnograf wiedział, że został wprowadzony stan wojenny, słyszał nadawane przez radio przemówienie generała, ale zdziwił się, że nawet w bramie stać nie wolno. Uważał więc, że milicjanci go krzywdzą. Próbował wyjaśnić sytuację, ale nie chcieli słuchać, rozkazując, by poszedł z nimi do wozu, wreszcie, gdy zaczęli go brać siłą, zaczął się szarpać i bronić. Uspokoił go i przywieźli na kolegium do ukarania. Kazałem obwinionemu wyjść i zwróciłem się do oficera:

- Co pan o tym sądzi, poruczniku?
- Kłamię. Oni wszyscy kłamią.

– Ale papcie nie kłamią.

– Stawiał opór. Powiedział, że wsadzili go do „suki”, co znaczy, że użył pogardliwego określenia na milicyjny samochód. Choćby dlatego należy go ukarać. Gdyby był prostym rolnikiem, ale doktor... Proponuję piętnaście tysięcy.

Kazałem wprowadzić obwinionego i powiedziałem:

– Jest pan wolny.

To było moje pierwsze uniewinnienie tej nocy. Czasu sądenia przybywało, przybywało i zwolnień. Można powiedzieć, że zwolnienia łamały monotonię karania. Zaczęła się nawet walka pomiędzy kolegium a oskarżycielem, bo moje asystentki po pierwszym zwolnieniu zaczęły emanować łagodnością. Obniżaliśmy proponowane grzywny, mnożyliśmy wątpliwości, przedłużaliśmy rozpoznanie, nawet zacząłem używać prawniczej łaciny, którą zaraz oficerowi tłumaczyłem, co go mocno irytowało. Po kolejnym zwolnieniu porucznik nie wytrzymał i zażądał przerwy, podczas której telefonicznie rozmawiał z przełożonymi, następnie poszedł do gabinetu prezydenta. Ja zaś rozmawiałem z zespołem orzekającym. Poszło mi łatwo, bo pani Krystyna w roli sędziego czuła się bardzo źle, a Lucyna była wściekła na Cisa komisarza, że dusery jej prawil, umizgi robił, a słowem o przygotowaniach do wprowadzenia stanu wojennego nie powiedział.

– Udawał – mówiła – cały czas udawał. Przebierańca z siebie robił. Rzecznika. A czy kobieta może mieć zaufanie do człowieka, który tak potrafi udawać?

– Wydaje się, że młody poleciał na skargę na nas.

– Niech skarży. Nie będziemy karać niewinnych ludzi

– powiedziała ze złością Lucyna.

– Nie możemy – potwierdziła Krystyna.

Po chwili oficer wrócił i powiedział, że prezydent wzywa mnie do sztabu. Poszedłem. Pryncypał siedział

w towarzystwie majora, zastępcy komisarza wojskowego na miasto. Cisa nie było w gabinecie.

– Panie kolego – zawołał do mnie pryncypał tonem wymówki w głosie. – Porucznik mówi, że pan swoimi orzeczeniami deprecjonuje pracę milicji. Zwalnia pan obwinionych.

– Zwolniliśmy kilka osób. Co do decyzji kolegium było zgodne.

– Ależ to może mieć zły wpływ na służbę patrolową. Oni służą na mrozie, a pan zwalnia doprowadzonych.

– Zaczęliśmy zwolnienia od dowodnego stwierdzenia, że służba patrolowa wykazuje nadgorliwość. Dostarczyli nam człowieka w papciach porannych, co wyprowadzał na wybieg chorego psa. Doprowadzili kobietę w szlafroku, co wybiegła na ulicę, by szukać pomocy dla leżącego w ataku kamicy nerkowej męża. Pan prezydent wie, że telefony są wyłączone. Dowieźli trzech ludzi wracających do domu z ostatniego, a spóźnionego pociągu. Niektórych obwinionych patroli ścigały, gdy przechodzili w klatce schodowej do sąsiadów.

– Po co pan nam te kryminałki opowiada, panie kolego? Być może zdarzyło się patrolom coś nieprawidłowego, ale obrażających prawo nie można masowo zwalniać. Złe sądy może wywołać zły przykład. Powstanie atmosfera bezkarności, a ta może doprowadzić do buntu. Proszę pana, by sądy odbywały się zgodnie z surowością stanu, jaki został wprowadzony. Czy pan wie, gdzie teraz jest pułkownik Cis? W Zakładach Mechanicznych. Zabarykadowała się tam zmiana odlewników, a na ich czele stoi arcybanda „Solidarności”, szef ich policji Klejner miał być zatrzymany, ale uciekł i bunt przeciw władzy organizuje. Tam bunt za barykadą, a tutaj pan liberalizm uprawia. Proszę szybko załatwić obwinionych, bo po sforsowania bram zakładu będzie pan miał nowych klientów.

Złożyłem prezydentowi grzecznościowy ukłon, ale pomyślałem, że markot chce swoją surowością wytrzeć pamięć ludzką z faktów podlizywactwa wobec „Solidarności”, kiedy ta dzierżyła władzę: moja niechęć do prezydusa wzrosła. Wróciłem na salę rozpraw i powiedziałem do oficera:

– Proszę pana, by dowody winy były niepodważalne. Każdą wątpliwość przyjmował będę na korzyść oskarżonego. Takie jest prawo.

Znów ruszyła taśma naszego karania. Teraz jednak każde obniżenie grzywny demonstracyjnie uzgadniałem z zespołem orzekającym, a moje kobiety na złość młokosowi, że jest skarżypytą, urywały sumy sztrafu z pewnym upodobaniem. Nawet jakby wpadły w trans licytacyjny: porucznik proponuje dziesięć, Krystyna zbija do ośmiu, Lucyna do trzech, bo wina jest znikoma, przyznajemy pięć tysięcy. Pracowaliśmy całą noc, urobek nasz rósł do setek tysięcy złotych dla miasta. Zauważyliśmy także, że wśród obwinionych zaszła istotna zmiana nastroju. Pierwsi karani wchodzili na salę z przerażeniem w oczach: przystępowali z nogi na nogę, miętosili czapki, oblizywali wargi, co wskazywało na suchość ust spowodowaną zdenerwowaniem. Po kilku godzinach wśród oczekujących na swoją grzywnę powstał nastrój absurdałnej zga-dywanki, kto dostanie więcej, a kto mniej? Kogo obdarzą większym ciężarem do spłacenia? Opowiadano później w mieście, że oczekujący na rozprawę nawet robili zakłady, kto ile dostanie, a wychodzący byli zobligowani solidarnością sądzonych do złożenia krótkiego sprawozdania z procesu. Pod drzwiami kolegium orzekającego powstało coś w rodzaju teatru absurdu, do którego wciąż przybywało aktorów i widzów. W kolejce oceniano także nas. Nie wiadomo dlaczego miano kosa, siekiery, cholery

dostała najłagodniejsza, prawie rozplakana tym, że musi sądzić, Krystyna. Może dlatego, że twarz miała ciemną i suchą, z wyglądu jędzowatą? O Lucynie mniemano, że jest dobra, bo pulchna, a o mnie, że ładuję wyroki jakbym kieszenie ludziom wywracał. Porucznik jako oskarżyciel był wrogiem kolejki. Wszystkie zwolnienia przypisywano Lucynie, o której w mig się dowiedzieli, że jest pielęgniarką. Nad ranem sądziłem znacznie spokojniej. Nie przywieziono na rozprawę Kaduka ani Wirta, co znaczyło, że przejechali z dziesiątkami kilogramów mięsa, a milicyjni partacze ich nie zatrzymali.

Okolo ósmej rano, gdy po przerwie na wypicie kawy przystąpiliśmy do pracy, nastrój groteskowej zabawy z kolejki prysnął – przywieźli grupę odlewników z Zakładów Mechanicznych. Doprowadzeni pod drzwi robotnicy wyglądali marnie. Mieli na sobie robocze drelichy lub flanelowe koszule, w jakich pracuje się przy giserskiej robocie, gdzie z przodu żar bucha, a z tyłu mróz siecze. Na gołych stopach mieli trepy. Najgorsze jednak były ich oczy: czerwone, zapłakane od działania gazów łzawiących, smutne, chore oczy, którymi patrzyli dookoła półślepo, jakby dziwiąc się, że jeszcze świat widzą. Ocierali oczodoły brudnymi rękawami, co drażniło śluzówki i pogłębiało łzawienie. Lucyna, gdy to zobaczyła, wybiegła. Przyniosła z ambulatorium butelkę wody destylowanej, watek, kieliszek do płukania oczu i zamiast sądzić występnych, opatrywała poszkodowanych. Krystyna odeszła od stołu i buczała w zasłonę. Wszedł robotnik w niebieskiej bluzie, pod którą widziałem owłosioną, z lekka już posiwiiałą pierś.

– Obwiniony był wśród protestujących?

– Byłem.

– Dlaczego obwiniony tam został? Dlaczego nie wyszedł z fabryki po skończeniu pracy?

– Bo inni zostali. Ja tymi rękami – pokazał ręce silne, żyłaste, pobudzone – razem z nimi odlewy z rdzenia wyrwałem. Musiałem zostać. Później szczepiłem się z nimi i trzymałem, póki nam pałkami pięści nie rozbili. Puściliśmy, bo bolało, a z oczu łzy płynęły od bólu i gazu.

– Czy obwiniony żałuje, że zrobił przewinienie?

– Że zostałem żałuję, ale że trzymałem się z nimi, nie żałuję.

– Czy ktoś was do buntu namawiał?

– Mówił coś jeden młody, ale specjalnie nikt go nie słuchał. My na odlewni zawsze swoje wiemy. Jak roboty jest więcej, a na chleb nie ma co położyć, to my już wszystko wiemy.

– Wiecie czym jest abolicja?

– Nie wiem. Nie jestem uczony. Pewno jakieś karanie.

– Abolicja to przebaczenie. Kolegium przebacza wam czyn, ale upomina, by takich występów nie było. Jesteście wolni.

Robotnik wyszedł, oficer patrzył na mnie przez chwilę wzrokiem najzupełniej zbaraniałym. Nie zdążył jednak nic powiedzieć, bo zarządziłem przerwę i wyszedłem z sali. Za mną pobiegła Krystyna. Na korytarzu widziałem jak siostra Lucyna w pielęgniarskim fartuchu i towarzystwie biało odzianej kobiety udziela pierwszej pomocy odlewnikom. Poszedłem do gabinetu prezydenta, a za mną, krok w krok, Krystyna.

– Pani chce iść do szefa?

– Tak. Muszę się zwolnić, ja dłużej nie mogę – buczała, wieszając mi się na marynarce.

– Niech pani idzie do siebie, porozmawiam z prezydentem.

– Bardzo panu dziękuję – wydukała, płacząc, i pobiegła korytarzem.

Interessantów już obsługiwała sekretarka. Młody podoficer siedział przy bocznym stoliku, ilustrując wchodzących. Bez zwykłych, a nabytych przez lata służby urzędniczej zahamowań, nie pytając sekretarki o pozwolenie, wszedłem do sztabowego gabinetu.

– Melduję, panie prezydencie – powiedziałem, nie patrząc na siedzącego z zaczerwienionymi oczami Cisa – że kolegium orzekające jest w stanie rozkładu. Siostra Lucyna opatruje poszkodowanych, pani Krystyna prosi o zwolnienie z funkcji kolegianta.

– Mam rozumieć, że nie pracujecie?

– Nie pracujemy.

– Tym musiało się skończyć. Pan wprowadził atmosferę liberalizmu. Za wyniki pracy kolegium odpowie pan przed sztabem.

– Tak, moja jest wina, panie prezydencie. Żeby jednak była pełna jasność, informuję, że pobitego odlewnika zwolniłem.

– Co pan zrobił?

– Zastosowałem abolicję i zwolniłem.

– Ja pana zwolnię. Dyscyplinarnie. Pan nie był tam od przebaczenia, a od karania. Ja pana przed sądem wojennym postawię.

– Słusznie, panie prezydencie, jeśli jest wina, musi być kara. Tylko ja mniemam, że w tym wypadku abolicja wcześniej czy później nastąpi. Także amnestia. Jestem działaczem, panie prezydencie, po pewnym okresie społecznej apatii znów jestem działaczem, moim obowiązkiem jest myśleć o jutrze, a jutra nie widzę w karaniu, jak parę miesięcy temu nie widziałem go w kokieteryjnych ustępstwach wobec przeciwnika. Oczywiście, po tym, co zrobiłem, nie mogę ludzi sądzić.

– Znaczy, że odmawia pan wykonania zadania?

– Jak długo jestem członkiem partii robotniczej, tak długo nie będę sądził robotników za to, że trwali w robotniczej solidarności.

Podczas tej rozmowy prymariusz wciąż spoglądał na Cisa, jakby w nim szukając pomocy przeciw urzędnikowi, który znów chciał być przewidującym działaczem. Ale pułkownik milczał uporczywie, patrząc w okno, gdzie wstawał zimny i nieco przymglony ranek. Zerknąłem na niego raz i drugi, lecz oficer nawet nie drgnął, tylko patrzył czerwonymi oczyma, jakie widziałem u opatrywanych przez Lucynę odlewników. Milczenie komisarza najwidoczniej nie było dla markota przyjemne, bo naraz przestał na mnie krzyżeć, a chodząc po pokoju, biadolił:

– Że właśnie mnie to musiało spotkać. W naszym urzędzie taka niesubordynacja. Taka plama. Co powie wojewoda? Co powiedzą towarzysze w KW? Jeszcze raz proszę pana jako starszy kolega, niech pan idzie do zespołu i zmobilizuje kobiety do pracy.

– Wykluczone, panie prezydencie.

– Trudno. Dokonał pan wyboru – powiedział pryncypał i pokazał ręką drzwi.

Wyszedłem, ale opuszczając gabinet jeszcze raz spojrzałem na Cisa: siedział bez ruchu jak siedział, patrzył niewidzącym oczyma, gdzie patrzył. Poszedłem do swego pokoju, by w ciszy i samotności rozsądzić zdarzenia nocy. Odmowa wykonania zadania kończy moją karierę urzędniczą. Jeśli mnie na pewien czas zostawią, o najmniejszym awansie mowy nie ma. Czy jednak nie awansowałem? Muszę zapytać ojca. Faterek będzie wiedział, czy jako człowiek dźwignąłem się o jeden stopień. Co by powiedział na mój czyn magister Jałowiecki? Co powiedziałyby Ewa? Jaki manewr by mi w tej sytuacji podpowiedziała? Jaką intrygę? Wiem, że jeśli nie pochwali

mnie terazniejszość w postaci prezydenta, wojewody, ministra i całe ich gremia, moja racja jest w jutrze. Upłynie rok, dwa, może trzy i nadejdzie amnestia, abolicja, dzisiejszy wróg, przeciw któremu wywołana została wojna, będzie nazywany przeciwnikiem, zagubionym człowiekiem, może w końcu przyjacielem, który okresowo miał inne zdanie. Co będzie wtedy? Społeczeństwo zapomni o doraźnych krzywdach i o mnie. O zatarcie w pamięci ludzkiej mojego czynu postarają się wszyscy zainteresowani. Czy to ma znaczenie? Czy o sławę tu idzie? Idzie o to, by postępować godziwie. Pół godziny dręczących rozmyślań. Wstępowania na szczybel, do którego przygotowywał mnie magister Jałowiecki. Po pół godzinie przyszły Krystyna z Lucyną. Siostra powiedziała, że robotnicy są opatrzeni, a obwinionych sądzi już nowy zespół. Na jego czele stoi były prokurator, dziś radca prawny wojewódzkiej spółdzielni mieszkaniowej, znany z mojej opowieści Dąbek, przez żonę współwłaściciel bukiaciarni. Markot wiedział, kogo powołać do nagłej służby. Osiągnąłem stan obiektywizmu, ale mego szefa coraz częściej nazywam markotkiem. Czyżby to znaczyło, że jeszcze tytłam się w emocjach codzienności? Po obu stronach byłego prokuratora zasiedli dwaj uczestnicy wyprawy po mięsne runo, Kaduk i Wirt. Ci nie myślą o awansie historycznym, chcą awansować dzisiaj. Dobrze, że nie wpadli ze świnia. Dowieźli mięso i podczas świąt będą spożywać wyroby z pełną zaciętością zgryzu. Niech im będzie na zdrowie.

+ + +

Powoli zaczęły się stawać dni stanu wojennego. Co rano kupowaliśmy i piliśmy mleko, co wieczór zasiadaliśmy do kolacji. Stawaliśmy w kolejkach, gdzie wyklócaliśmy się o każde deko sera. Znów zaczęliśmy rozmawiać o tym, co ile kosztuje, kto kogo kocha, a kto z kim uprawia zdradę.

Graliśmy w karty i w szachy. Braliśmy przepustki uprawniające do przejazdu do innego miasta. Zaczęliśmy używać nowych słów. Zналиśmy je z historii, ale teraz stały się codzienne, jak wstawanie: internowanie, kryzys, zadłużenie, inflacja, podatek inflacyjny płacony przez zakupie każdego bochenka, godzina policyjna, przepustka. Odzwyczajaliśmy się od gazet. Telewizja zaczęła nadawać program zapowiadany przez umundurowanych spikerów. Cywilni też poprzywdziewali uniformy. Minął tydzień. Dekada. Mięso nasze i Cisa ojciec przepakował i u swoich kombatantów w becze uwędził. Nadeszła pora, by przypomnieć komisarzowi o mięsny nabytku. Powinien otrzymać swoją własność, by ucieszyć matkę w Warszawie domowymi wędlinami.

Przez kilka dni robiłem wszystko, by nie spotkać pryncypała ni komisarza. Sam nie wiem, jak mi się to udawało. Prawda, że markot mnie nie wzywał. Ustawił niesfornego na aucie. Może już przygotował do zesłania z urzędu? Polecenie, by mój wydział wydawał przepustki upoważniające do wyjazdu z miasta, dostał mój zastępca. Byłem, ale mnie nie było. Dlaczego nie zawiesił mnie w czynnościach? Gracz. Woli mnie mieć obok i opowiadać, jak musi przewycięzać trudności. Tak buduje swoją dzielność. Trwałem tedy i słuchałem wieści z Polski. Plotka operowała cyframi setek zabitych stoczniowców i górników. Zagraniczne rozgłosnie zachłystywały się opisami represji wobec robotników. Zaczęły chodzić słuchy o powstającej konspiracji. Klejner znów wymknął się oddziałom pacyfikującym Zakłady Mechaniczne oddziałom. Telewizja pokazywała liryczne obrazki, na których milicjanci i żołnierze występowali prawie jak przedszkolanki. Magistracy powoli zaczynali z tych audycji drzwi. Zabiegi propagandowe przynosiły odwrotny skutek. Nasłuchując wieści z Polski rad jednak byłem, że

w naszym mieście interwencja przeszła bez rozlewu krwi. Prawda, że są uwięzieni, że wielu obłożono karami, ale krew nie popłynęła. Ręce Cisa są czyste. Długo rozważałem, czy iść do niego. Jeśli pójdę, może pomyśleć, że przyszedłem z pokajaniem, że proszę go o opiekę, że marokot, odsuwając, mnie represjonuje. Wreszcie poszedłem, celując jednak tak, by zostać pułkownika samego, co nie było łatwe. Pomogła mi sekretarka.

– Witam cię. Dobrze, że przyszedłeś. Widzę, że trochę mi zeszczuplałeś – przywitał mnie, jakbyśmy wczoraj wstali od biesiadnego stołu w pracowni Mieta-Mietkowskiego.

– Przyszedłem ci powiedzieć, że mięso gotowe.

– Cudownie. Nawet nie wiesz, jak się cieszę. Dziś powiedziano mi, że na święta dostanę trzy dni wolnego. Ależ matczysko się ucieszy.

– Gdzie dostarczyć ci te wędzonki?

– Przyjadę do was.

– Bardzo byliście na mnie zagniewani? – wróciłem do tematu pamiętnej nocy.

– Daj spokój. U nas poszło dobrze. Sądziliśmy, że będzie gorzej. Dziś mogę przyznać, że trwożyła mnie wizja rozlewu krwi. Można było oczekiwać zbrojnego oporu, wręcz wojny domowej. Jest dobrze.

Cis wziął wędzonki i wyjechał na święta do Warszawy, ale już nie wrócił. Jego komisarские miejsce zajął oglądany w prezydenckim gabinecie major. Dostałem od Mariana kartkę wielkanocną z zajączkiem. Pisał, że awansowano go o jedną gwiazdkę i przeniesiono na ważniejsze stanowisko. Moja sprawa na długi czas zupełnie przycichła. Zacząłem widywać się z Lucyną, która pod wieloma względami była lepsza od Ewy: dobrze gotująca, nigdy by nie prasowała bluzeczki na wieku od pianina jak na desce. Kaduk pił teraz więcej. Raz po pijanemu wydu-

kał mi w tajemnicy, że mój kolegiálny incydent omawiano na posiedzeniu sztabu wojskowego, ale dyskusję uciął Cis stwierdzeniem, że ma szacunek do ludzi, co przeżywają wahania, a nie lubi zbyt szybkich zwrotowców. Głos pułkownika był ważny. Należał do wysłannika wojska, a ono rządziło. Prymariusz też wezwał mnie pod błahym pozorem. Mogłem mniemać, że stan wojenny nabiera patyny, za czym moje przygody pójdą w zapomnienie, pokryje je piękna śniedz historia.

Wiosną jednak nadszedł protokół z Niemiec. Napisało w nim, że przemyślałem przez granicę gazety o wrogiej socjalizmowi treści. Rozpoczęto dochodzenie. Przypomniano i spisano do papierów wszystko, co w ostatnim roku robiłem: szkalowałem ludzi, a szczególnie prokuratora i profesora, byłem filarem klubu obiektywizmu, który głosił wrogi rewizjonizm, odmówiłem pracy w aparacie partyjnym, gdy partia była w potrzebie, bo chciałem, by była słaba, kompromitowałem prezydenta, prowadziłem grę niby-walki z „Solidarnością”, ale hardością prowokowałem do wywołania zamieszek, przemyślałem bibułę o wrogiej treści. Kim byłem i jestem, wyszło na jaw, kiedy zostałem przewodniczącym zespołu orzekającego. Solidarnie przeciwko mnie zeznawał prezydent z porucznikiem. Wypytywano współpracowników. Zeznawała Lucyna, ale ona też była obciążona tym, że zamiast sądzić, opatrywała. Lucyna podobno zrobiła przesłuchującym furiacką awanturę. Czy jej głos w mojej sprawie może się liczyć? Dziś jest kandydatką do medalu pielęgniarzkiego, że narażając siebie, ratowała innych. Przysłał swoje oświadczenie Cis. Bez obciążeń mówił o mnie Wirt. Kaduk tłumaczył mi pewnym niezrównoważeniem, a jako dowód podał wwóz papieru toaletowego. Dobrą opinię wystawiła mi POP w magistracie. Ale prokurator, chociaż

już były, zażywający pełnej chwały profesor, prezydent, a także były piewca czynów „Solidarności”, redaktor Jerzy Wiór, obciążali mnie niesłychaną gwałtownością.

Całe lato trwało ustalanie winy zakonspirowanego wroga ludu pracującego miast i wsi. Ileż ponieśli trudu, by fakty zsumować i ułożyć w wygodny porządek. Ile czasu musieli stracić? Ile zapisać deficytowego papieru? Rozumiem ich. Jednak każdy w swojej pracy chce wykazać się dzielnością. Pragnie awansować. Nawet szewc wśród szewców. Gdyby nie było obwinionych, nie byłoby przesłuchujących – powiedziałby magister Jałowiecki. Dopiero teraz, wczesną jesienią, gdy wrzesień rozciągnął na jeziorze lekką mgłę, sprawa weszła na wokandę, a ja po ostatecznym przesłuchaniu czekam na werdykt. Nie wszystko jeszcze musiało być dla sędziów jasne, skoro kazali czekać dwa dni. Może po surowości przesłuchań chcą zajaśnić liberalnością osądu mych czynów? Są przecież także technikami postępowania z ludźmi: szczerzy byli w surowości, szczerzy będą w łagodności. Może poszli z papierami do zwierzchników? Poczekam. Pogibam jeszcze kulasami pod zgrzebną ławą. Pobujam nad urzędniczą grzędą życia. Wrócę do domu. Zjem kolację, śniadanie, obiad, znów kolację i śniadanie, jak oni, jak wtedy po wprowadzeniu stanu wojennego: śniadania były śniadane, obiady spożywane, kolacje zjadane. Życie biegło od posiłku do posiłku. Starania o surowce do sporządzenia jedzenia organizowały nas. Późno. Zapewne matka dąsa się, że nie przyszedłem na obiad. Pewno myśli, że znów kręcę, by nie spotkać Agnieszki sąsiadów, świeżo upieczonej dentystki z posagiem, w matczynym mniemaniu najlepszej kandydatki na żonę dla syna. Dobra matka jest przekonana, że gdybym miał rodzinę, wszelkie troski z wielkich głupstw politycznych prześlubiłbym na mądrość życia rodzinnego. Stworzyć rodzinę?

Odrodzić się w dzieciach? Pracować w urzędzie i hodować indyki jak Cebula kury? A może skończyć pracę w magistracie i założyć przedsiębiorstwo pogrzebowe? Odejść od przemożnej intrygi żywych i przejść do obsługi zmarłych? Nadać przedsiębiorstwu dźwięczną nazwę „Chryzantema” albo po łacinie „Pluralitos”, to nawet dobrze i mądrze by brzmiało. Chować wierzących i ateistów, być przy obsłudze najsprawiedliwszej sprawiedliwości, doprowadzić mniejszość do większości, urządzać żywym stypy po zmarłych. Piękna idea. Wniosła nawet. Rzec ma jeszcze drugą stronę.

Sędziowie zawołają mnie pojutrze. Mam dwa dni czasu obserwacji. Po zachowaniu markota poznam, czym chcą mnie uraczyć. Bene est. Stanę przed nimi przystrojony w uśmiech. Powiem, że nauki życia dziś płyną z cmentarza. Zdaniem tym kopnę ich podbrzusze. Są słabi tym, że zadufani, przyzwyczajeni do skarg, lamentów i kajań. Nie pozwolę im dojść do słowa i powiem, że zakładam przedsiębiorstwo pogrzebowe. Coś w rodzaju Pałacu Ślubów dla zmarłych. Będę ich żenił z bezkresem. Stworzę ateistyczny obrządek. Wyczaruję rytuał i kapłana. Nazwę go świeckarzem. Stworzę chór. Wynajmę solistów. Napiszę im pieśni. Wprowadzę nowe barwy pogrzebowe: czarno-białe szaty w pasy, srebrem lamowane. Dla życia zmarłych wskreszę postać melodosa z dawnych wieków. Niech władza na ich cześć.

Dlatego odchodzę z pracy w magistracie. Chcę dobrze pracować dla pamięci o zmarłych. Złożę takie oświadczenie i opuszczę salkę. Do spółki dopuszczę Lucynę. Zbuduję zdrową i odpowiadającą randze przedsiębiorcy pogrzebowego rodzinę: według rangi będę pijał, przyjmował, bałował. Płacił podatki. Zostanę dyrygentem rodzinnej orkiestry. Będę dźwigał do ust łyżkę z zupą i patrzył, jak czynią to za mną synek Adaś i córeczka Swietka, nazywana tak na cześć babki Swietłany Garbarzowej z domu Białożór.